



Anne O'Brien



***Szcześliwy
przypadek***

Prolog

- Panna Hanwell, milordzie.

Akrill skłonił się sztywno i odsunął na bok, by przepuścić młodą kobietę, która zawahała się, świadoma, że to na niej skupiła się uwaga zebranych. Gdy po chwili weszła, starała się sprawiać wrażenie opanowanej. Wiedziała, że w domu stryja łatwo narazić się na upokorzenie. Nie miała też nadziei, że wyjdzie obronną ręką z tej sytuacji, bez względu na powód nagłego wezwania.

- Akryll przekazał mi, że stryj chciał mnie zobaczyć - powiedziała cicho, dumna z umiejętności ukrywania lęku, który już zaczął czynić w niej spustoszenie.

- Podejdz tu, moja panno. - Wicehrabia Torrington niecierpliwym gestem wskazał miejsce przed swoim biurkiem.

Stała wyprostowana, śmiało odwzajemniając jego spojrzenie. Stryj czekał na nią za biurkiem, stryjenka Cordelia siedziała na krześle przy kominku, a choć jej twarz była kamienna, pozbawiona choćby cienia uśmiechu, to błysk w oku świadczył o... No właśnie, o czym? O chciwości? O nadziei na spełnienie oczekiwań? Przy oknie stał odwrócony plecami Charles, jej kuzyn. Sztywna postawa, którą manifestował dystans do tego, co miało się stać, nie wróżyła niczego dobrego.

- Nie spieszyło ci się, moja panno.

- Przyszłam niezwłocznie po otrzymaniu wiadomości, milordzie.

- Powinnaś wiedzieć, że wszystko zostało ustalone i przygotowane. - Torrington zerknął na żonę. - Za dwa dni poślubisz mojego syna.

Frances wydawało się, że te słowa płyną do niej z bardzo daleka. Co gorsza, nie miały sensu.

- Mam poślubić Charlesa? - wyjąkała w końcu.

- To rozsądna i ze wszech miar godna pochwały umowa między krewnymi, która przyniesie korzyści finansowe obu stronom. -

Wicehrabia zmarszczył czoło nad stertą dokumentów. - Załatwimy to bez zamieszania i bez gości. Nikomu to nie jest potrzebne. Wszystkie prawne procedury zostaną zakończone w ciągu tygodnia.

- Charles? - Frances z niedowierzaniem popatrzyła na kuzyna. - Czy tego chcesz?

- Naturalnie. - Twarz miał nieporuszoną, głos obojętny. - Na pewno rozumiesz, że ta umowa jest dobra dla ciebie i dla mnie, i na pewno jej się spodziewałaś - zakończył niecierpliwie, rozdrażniony oburzeniem widocznym na jej twarzy.

- Nie. Nie spodziewałam się... Bo niby dlaczego? Myślałam, że... W przyszłym miesiącu będę pełnoletnia i zyskam prawo do spadku... Osiągnę niezależność. Zapis matki pozwoli mi...

- Należysz do rodziny Hanwellów i o jej dobro powinnaś dbać - przerwał jej wicehrabia. - A twoje małżeństwo z Charlesem przyniesie pożytek nam wszystkim.

- Nie! Nie zgadzam się.

Wicehrabina Torrington wstała i podeszła do kuzynki, spoglądając na nią bezlitośnie.

- Powinnaś na klęczkach nam dziękować, Frances. Przez całe życie mieszkasz pod naszym dachem, masz wikt i opierunek, wszystko za darmo. A wspaniała rodzina twojej matki nie chciała mieć z tobą nic wspólnego - niemal wysyczała to oskarżenie. - Masz wobec nas wielki dług wdzięczności. Co daje ci prawo sprzeciwiać się życzeniu stryja? Przyszedł czas, żebyś odwdzięczyła nam się za opiekę.

Opiekę? Frances roześmiałyby się w głos, gdyby nie coraz silniejsze przerażenie. Wszystkie jej nadzieje i plany, dzięki którym dotąd przetrwała, zostały zniweczone kilkoma słowami stryja.

- W ten sposób będę musiała tu zostać na zawsze - szepnęła. - Tego nie zniosę.

- Co ty pleciesz - odburknął Torrington i złożył papiery na znak, że rozmowa dobiegła końca. - Wszystko zostało ustalone. Naturalnie nie będziesz podejmować następnych nierozważnych prób opuszczenia tego domu. - Przeszył ją zimnym spojrzeniem. - Dobrze wiesz, jaka czeka cię kara za nieposłuszeństwo.

- Wiem...

- Wracaj więc do pracy. Akrill przekaże ci instrukcje. Mamy dziś wieczorem gości.

Frances odwróciła się, bliska paniki. Dwa dni dzieliły ją od zamknięcia na zawsze w tym piekle na ziemi.

Rozdział pierwszy

Aldeborough usiadł w kącie powozu, zapierając się nogą o siedzenie naprzeciwko, aby zapobiec skutkom gwałtownych wstrząsów. Miał do pokonania krótki dystans do Aldeborough Priory. Zamknął oczy z nadzieją, że pomoże mu to złagodzić bolesne łupanie w głowie.

Czy lord śpi? Ukryta w kącie powozu Frances bardzo na to liczyła. Mimo że działała pod wpływem impulsu i uciekła tak jak stała, powóz wybrała starannie. W żółtawym świetle latarni dostrzegła herb zdobiący drzwi: na niebieskim polu czarny sokół ze skrzydłami rozpostartymi w locie oraz złotymi oczami i pazurami. Był to znak rodowy lorda Aldeborough i właśnie markiz miał umożliwić jej skuteczną ucieczkę z Torrington Hall. Nieznacznie zmieniła pozycję, aby rozruszać zdrętwiałe mięśnie. Oddychała jak najciszej, bała się jednak, czy nie słyszczyć gwałtownego bicia jej serca. Gdyby zdołała niepostrzeżenie przejechać aż do Aldeborough Priory, miałyby szansę na ucieczkę, bo nikt by się nie domyślił, gdzie zniknęła. Nikt by jej nie ścigał i do niczego nie zmuszał...

Gdy markiz drgnął, Frances zesztyniała, lecz na szczęście oddech lorda znowu stał się miarowy. Wolałaby tylko, żeby twarde siedzenie nie uwierało jej tak bardzo w plecy, musiała bowiem długo jeszcze wytrzymać. Opuściła powieki.

Nagle poczuła szarpnięcie, po czym została pchnięta na siedzenie. Jej ramię znalazło się w żelaznym uścisku. Syknęła z bólu.

- Co, u diabła? - Aldeborough schował pistolet i cicho się roześmiał. - To chyba nie rabuś, hm? Dama, słowo daję. Wiedziałem, że szczęście nigdy mnie nie opuszcza. Co pani robi w moim powozie o tej porze? Zaraz zaczną świtać.

- Uciekam, sir. - Frances uznała, że najbezpieczniej będzie jak najmniej mijać się z prawdą.

- Rozumiem, że z Torrington Hall. Czy pani tam pracuje?

- Tak, sir. W kuchni.

- Znaczy się, mam zawrócić powóz i odwieźć cię do chlebowodawcy? Choć wątpię, czy ucieszyłby go tak wspaniałomyślny gest z mojej strony. - Bardzo nie chciało mu się nadkładać drogi dla jakiejś tam pomywaczki.

- Proszę nie wracać. - Starła się, żeby w jej głosie nie było słychać strachu. - Jestem tylko służącą i na pewno nikt nie będzie mnie szukać.

- W takim razie dlaczego ukryłaś się w moim powozie? Czegoś nie rozumiem. Może myślę zbyt wolno. Czyżby z powodu brandy?

- Zapewne, sir.

- Co więc mam z tobą zrobić?

- Może mnie pan zawieźć do Priory. - Przygryzła wargę, czekając na odpowiedź.

- Takie rozwiązanie byłoby najprostsze. Mógłbym oddać cię pod skrzydła pani... do diabła, zapomniałem, jak się nazywa moja gospodyni. Założę się, że o wiele lepiej pracowałoby ci się u mnie niż u Torringtona.

- Gorzej już być nie może, sir - przyznała tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

Przez jakiś czas markiz rozważał, co zrobić z nieoczekiwaną towarzyszką podróży.

- Usiądź koło mnie - rzekł wreszcie.

- Wolałabym zostać na swoim miejscu, milordzie. - Muszę zachować spokój, powtarzała sobie w duchu. - Powóz jedzie bardzo szybko. - Wciśnięta w kął, mocno trzymała się skórzanej rączki i starała się zachować jak największą odległość od lorda.

On jednak bezceremonialnym szarpnięciem posadził ją obok siebie. Z całej siły wtuliła się w oparcie, dzięki czemu nie poleciała ani na markiza, ani na podłogę, gdy powóz znowu podskoczył na wyboju.

- Ustaliliśmy już więc, skąd się tu wzięłaś. - Utkwił w niej bezlitosne spojrzenie polującego sokoła. - Czas, byś wyjawiała, jak się nazywasz.

- Molly Bates, sir - skłamała nad wyraz gładko, gorączkowo przy tym zastanawiając się, co robić, bowiem markiz wciąż trzymał ją za przegub, a jego uścisk sprawiał wrażenie rozgrzanej obręczy.

- Wiesz, Molly, chyba jestem pijany.

- Tak, milordzie. - Prawdę mówiąc, nie było to oczywiste, choć oczy błyszczały mu podejrzanie, a i dykcja nie była perfekcyjna. - Pewnie ocknie się pan jutro z wielkim bólem głowy. - Odczuła złośliwą satysfakcję, że może mu wieszczyć tak przykre przebudzenie.

- Nie postawiłbym na nic innego. - Uśmiechnął się, odsłaniając garnitur pięknych, białych zębów. - Niech no ci się przyjrzę. - Przyciągnął ją bliżej i ujął pod brodę, odsuwając opadające na twarz kosmyki ciemnych włosów.

Odwróciła wzrok przed jego natarczywym spojrzeniem, ale w duchu powtarzała sobie, że nie powinna mu stawiać oporu. Rozsądek nakazywał nie prowokować markiza.

- Ile masz lat, Molly?

- Prawie dwadzieścia jeden, milordzie.

Kciukiem przesunął po jej twarzy, obrysowując kształt kości policzkowych, a potem podbródka. Instynktownie wzdrygnęła się.

- Nie bój się, nic złego ci nie zrobię. - Głos miał dźwięczny i miękki jak aksamit. - Naturalnie musisz być grzeczna. Powinnaś zrozumieć, że jest cena, jaką musi zapłacić ładna dziewczyna, gdy szuka schronienia w powozie dżentelmena, któremu nie została przedstawiona.

Z trudem przełknęła ślinę. Nie mogła udawać, że nie rozumie, o co mu chodzi.

- Tak, milordzie. - Wbrew swojemu zamierzeniu, by mu się nie sprzeciwiać, nie próbowała ukryć rozgoryczenia i niechęci.

Aldeborough cicho się zaśmiał, a Frances zmartwiała. Wsunął jej rękę we włosy i przyciągnął jeszcze bliżej.

- Odważna jesteś, Molly. To mi się podoba.

Zanim zdążyła zareagować, wycisnął na jej ustach brutalny pocałunek. Próbowała się bronić, ale uwięził ją w uścisku i dalej

bezlitośnie rozbudzał jej zmysły, domagając się odpowiedzi. Ze wszystkich sił usiłowała zachować całkowitą obojętność, ale jeszcze nigdy nie całowała się z mężczyzną i nie miała pojęcia, jak niezwykle doznania temu towarzyszą.

Aldeborough puścił ją równie nagle, jak wcześniej zaczął całować.

- Jak pan śmie! - Gdy Frances wreszcie odzyskała mowę, zdecydowała, aczkolwiek dość bezpodstawnie, że nie życzy sobie takich pocałunków.

- Jak śmiesz? - Parsknął śmiechem. - Skoro byłaś na tyle nierozsądna, by narzucić mi swoje towarzystwo i zdać się na moją łaskę, to ja dyktuję warunki. A ty, moja miła Molly, musisz je przyjąć. Wkrótce się przekonasz, że jestem absolutnie bezlitosny. Poza tym czemu się złościysz? Taką ładną dziewczynę na pewno ktoś już całował. W kuchni Torrington Hall musisz mieć jakiegoś wielbiciela.

- Nie mam. I nie dałam panu pozwolenia, aby zwracał się do mnie po imieniu. - Ponieważ trudno jej było wymyślić sensowny sposób postępowania, skryła się za tarczą etykiety, choć niezbyt to pasowało do pomywaczki. - Pan nie jest dżentelmenem, milordzie.

Znów się roześmiał, tym razem cynicznie.

- Może i nie, moja droga, ale zapewniam cię, że jestem dobrym kochankiem. - Gdy Frances znów zachnęła się oburzona; wzmocnił uścisk i ponownie ją pocałował.

Tym razem wybój na drodze przyszedł jej z pomocą. Gdy raptowny podskok rozdzielił ją z markizem, skorzystała z okazji, by

ponownie zająć pozycję w samym kącie. Aldeborough spojrział na nią z rozbawieniem.

- Chyba rzeczywiście nie jest to najlepsza sceneria do uwodzenia. - Na wargach igrał mu uśmiech, wiedziała jednak, że ze strony tego mężczyzny nie należy spodziewać się współczucia. - Dobrze więc, dojedźmy najpierw do Priory. Nie miej takiej spłoszonej miny, panno Molly. Nie dotknę pani. A przynajmniej nie wcześniej niż w domu.

Oparł głowę na wałku i zamknął oczy. Po kilku minutach zaczął znowu oddychać spokojnie i miarowo. Zasnął, pomyślała Frances i odzyskała względny spokój. Zaczęła obserwować swojego wybawcę. Twarz, mimo że nie klasycznie piękna jak u jej kuzyna, zwracała uwagę.

Ogorzała skóra wskazywała, że markiz spędzał wiele czasu na świeżym powietrzu. Wiedziała już, że oczy miał szare, a nad nimi wyraźnie rysowały się ciemne łuki brwi. Prosty nos łączyły z ustami bruzdy, świadczące o skłonności do cynicznych uśmiechów. Usta miały piękny kształt, a falujące włosy były gęste i ciemne. Mocno zarysowany podbródek potęgował wrażenie, że lord przywykł do rządzenia i nie lubi, gdy ktoś wtrąca się w jego sprawy. Nie było w jego twarzy ani trochę miękkości, nawet podczas snu wydawała się surowa. Należało przypuszczać, że lepiej nie wchodzić temu człowiekowi w drogę.

Spojrziała na jego ręce. Wspomnienie ich dotyku wywołało miłe ciarki. Nagle jednak ogarnął ją lęk. Opuściła Torrington Hall bez

zastanowienia, zależało jej tylko na tym, by znaleźć się jak najdalej od bezdusznie wykoncypowanego małżeństwa i absolutnej władzy stryja. Środek ucieczki sam jej się nasunął, a ona chwyciła się go obiema rękami. Jakim jednak kosztem? Dotknęła chłodnymi palcami warg, wciąż rozpalonych niechcianymi pocałunkami obcego mężczyzny.

Rozdział drugi

Aldeborough został zbudzony przez Webstera, jego osobistego służącego, który odsunął ciężkie brokatowe zasłony w sypialni. Promienie słońca wpadły do pokoju, dowodząc późnej pory, ale dotknięty cierpieniem markiz tylko jęknął i naciągnął prześcieradło na głowę.

- Już prawie południe, milordzie. Przyniosłem gorącą wodę. -
Webster zignorował kolejny jęk i zaczął zbierać beztrząsanie porzucane odzienie.

Markiz z wysiłkiem oparł się na poduszkach i przycisnął dłonie do czoła.

- Boże wielki! O której wróciłem do domu?

- Nie umiem powiedzieć, milordzie. Jeżeli milord pamięta, w myśl polecenia miałem na pana nie czekać. Zakładam, że waszą lordowską mość położył do łóżka Benson. Bez wątplenia on, bo ktoś by inny.

- Tak, teraz sobie przypominam. - Aż się wzdrynął na wspomnienie braku delikatności stangreta, który wniósł go do domu i na piętro. Spróbował się wyprostować, ale przyplącił to łupiącym bólem między oczami. - To był straszny wieczór. Co mnie opętało, żeby spędzić go w towarzystwie znajomych Torringtona? Gdyby nie pewien incydent, w ogóle nie wróciłbym do domu.

- To prawda, milordzie, ale decyzja mądra, jeśli wolno mi zauważyć. Które ubranie przygotować na dzisiaj?

Webster służył u Aldeborough już w czasach, gdy obecny markiz nie nosił jeszcze tego tytułu i jako kapitan Hugh Lafford wykazywał się bohaterstwem w walkach na Półwyspie Iberyjskim, wiedział więc doskonale, że po trudnej nocy nie należy wdawać się w czcze rozmowy. Dawniej zresztą jego pan nie pił tak dużo i często, lecz wszystko zmieniło się po tragicznej, a wedle złych języków wielce tajemniczej śmierci lorda Richarda.

Aldeborough wziął od służącego filiżankę i zaczął ostrożnie popijać kawę, czekając, aż opary brandy ulotnią się i umysł będzie znowu funkcjonować.

- Mam kilka spotkań w majątku, na które jadę z Kingtonem. Przynieś mi, proszę spodnie z kozłej skóry, botforty i granatowy surdut.

- Naturalnie, milordzie. - Webster dyskretnie kaszlnął. - Pani Scott poleciła mi powtórzyć, że młoda dama zjadła śniadanie i czeka w bibliotece, aż wasza lordowska mość będzie mógł ją przyjąć. - W milczeniu upajał się zakłopotaniem swego pana.

- Kto taki? - Głos markiza zabrzmiał tak spokojnie, że aż złowieszczo.

- Młoda dama, milordzie. Ta, która towarzyszyła milordowi do domu wczorajszej nocy. - Webster starannie omijał wzrokiem lorda.

- Mój Boże! Wyleciało mi z głowy. Niestety, niewiele pamiętam z tej nocy... - Nerwowo przeczesał palcami potargane włosy, bo wróciła mu pamięć i ogarnęła go trwoga. - Młoda dama? Przecież to pomywaczka. Jest tu jeszcze?

- Tak, milordzie, choć tylko w pewnym sensie - odrzekł z kamienną twarzą Webster.

- W pewnym sensie? A cóż to znaczy?

- Ona nadal tu jest, milordzie, ale to nie pomywaczka, lecz bez wątplenia dama.

- Rozumiem. - Nastąpiła długa pauza. - Byłem pijany.

- Tak, milordzie. Pani Scott uznała, że najlepiej będzie, jeśli ta dama poczeka, aż milord wstanie. Bardzo jej się spieszyło do opuszczenia Priory, ale nie miała na to środków.

Aldeborough odrzucił koc, nie bacząc na przejmujący ból głowy.

- Dziękuję, Webster. Wiem, że mogę na tobie polegać. Potrafisz subtelnie przekazać złe wiadomości. Powiedz łaskawie tej młodej damie, której imienia nie umiem sobie przypomnieć, że będę miał przyjemność służyć jej swoją osobą za pół godziny.

- Tak, milordzie. - Webster cicho zamknął za sobą drzwi.

Markiz delikatnie otworzył drzwi biblioteki. Mimo że ubierał się w pośpiechu, wyglądał nieskazitelnie. Na spodniach z kozłej skóry nie

było najmniejszej plamki, a granatowy surdut z najprzedniejszej tkaniny wspaniale podkreślał męską sylwetkę. Botforty, czyli buty do konnej jazdy z cholewami wyższymi z przodu, lśniły tak, że można było się w nich przejrzeć, a kunsztowny węzeł fularu zdradzał rękę mistrza. Włosy pozostawały w stanie twórczego nieładu, zwanego uczesaniem na Tytusa, a za jedyne ślady burzliwej nocy można było uznać bladość oblicza i wyraźną zmarszczkę między brwiami.

Przez chwilę stał nieruchomo i chłodno mierzył pokój spojrzeniem szarych oczu. Początkowo odniósł wrażenie, że nikogo w nim nie ma, aż wreszcie zauważył damę, która czekała na niego za biurkiem w niszy okiennej.

Światło tworzyło złoty nimb wokół ciemnych włosów. Był to miły widok, tym bardziej że otoczenie stanowiły pięknie wypolerowane meble, bogate, oprawne w skórę tomy na półkach, ciężkie aksamitne draperie i tureckie dywany, zdominowane przez ciemną czerwień i błękit. Płomień w dużym kominku dawał miłe ciepło. Biblioteka była ulubionym pomieszczeniem markiza i rzadko dzielił ją z kimkolwiek. Teraz jednak czekała go niezręczna rozmowa z damą, która wplątała go w jakąś skandaliczną aferę. Siedziała tyłem do okna, widział jednak, że tajemnicza nieznajoma dama głęboko nad kartką papieru. Nieświadoma jego obecności, odłożyła nagle pióro, ciężko westchnęła i ukryła twarz w dłoniach.

Gdy delikatnie zamknął drzwi, dama niespokojnie drgnęła i stanęła przed nim wyprostowana. Wbrew swemu zamierzeniu markiz

nieznacznie skłonił głowę, czego zresztą natychmiast pożałował. Wszelkie rewerencje w tej sytuacji były niewskazane.

- Dzień dobry. Mam nadzieję, że spała pani dobrze.

- Tak, milordzie. Proszę mi wybaczyć... - Wskazała pióro i papier. - Ja tylko...

- Czy moja gospodyni zadbała o pani wygodę?

- Była bardzo miła.

- Rozumiem, że zjadła pani śniadanie?

- Tak, dziękuję.

Zirytowany tą grzeczną paplaniną Aldeborough wreszcie porzucił konwenanse.

- Do diabła, szanowna pani! To jest wyjątkowo kłopotliwa sytuacja! - Gwałtownie podszedł do okna. Milczenie przeciągało się, markiz nie miał jednak pomysłu, jak sensownie poprowadzić tę rozmowę. Zerknął za siebie i przekonał się, że dama wciąż stoi sztywno, twarz ma bladą, a pod oczami cienie. Od bieli policzka wyraźnie odcinała się plama siniaka. - Pani nie jest żadną Molly Bates. Służący poinformował mnie, że w nocy przywiozłem do domu damę i jak widzę, nie pomylił się. - Ironia tych słów mogłaby zabić. - To doprawdy niefortunny zbieg okoliczności, że nie udało mi się dojść do tej konkluzji, zanim pozwoliłem, aby pani narzuciła mi swoje towarzystwo. Muszę wyznać zresztą, że nie mam zbyt jasnego obrazu tych wydarzeń.

- O tym ostrzegł mnie pan zawczasu.

- A jednak... Już wiem, kim pani jest! - Skupił wzrok na paskudnym siniaku. - To pani zesłała deszcz szkła i nędznego porto na wszystkich, którzy mieli pecha znaleźć się w promieniu trzech jardów! - Gdy w milczeniu czekała ze spuszczoneymi oczami, co stanie się dalej, dodał: - Skoro więc nie jest pani Molly Bates, to z kim właściwie mam przyjemność?

- Jestem bratanicą wicehrabiego Torringtona, milordzie.

- Jego bratanicą? W to doprawdy trudno mi uwierzyć. - Zmierzył ją wzrokiem, zwracając baczną uwagę na każdą niedoskonałość ubioru.

Frances uznała, że oczy markiza, zimne i drapieżne, równie dobrze mogłyby należeć do sokoła z jego herbu.

- To prawda! - Wysunęła do przodu podbródek, hardą postawą dając odpór natrętnym oględzinom. - Wicehrabia Torrington jest moim stryjem. A to, że wziął mnie pan za służącą, o niczym nie świadczy.

- Jest pani pamiętliwa.

- Cały ten epizod mocno wrył mi się w pamięć, milordzie, i myślę, że pozostanie tam na zawsze. Nie muszę chyba dodawać, że nie wspominam go dobrze. - Jej obojętny ton niezbyt dobrze skrywał trwogę, wciąż jeszcze żywą po wydarzeniach ostatniej nocy.

W tej samej chwili również markiz wszystko sobie przypomniał.

Minęła północ. Ogień w kominku dawno już zgasł, nikt jednak nie dbał o to, by go podsycić, i tylko polana żarzyły się jeszcze wśród popiołu. Płomienie świec migotały w przeciągu, a choć w kątach

jadalni Torrington Hall panował już mrok, to wciąż rzucano się w oczy, jak zniszczone i poprzecierane są zasłony i dywany. Sześciu dżentelmenów w różnym stadium upicia i rozchełstania siedziało przy ustawionym pośrodku stole, z którego zastawę dawno już wyniesiono, a na blacie pozostały jedynie puste butelki.

Wcześniej dżentelmeni polowali na gruntach Torringtona, a choć łowy były udane, to solidnie zmarzli, przyjęli więc zaproszenie gospodarza na kolację. Najeść się wprawdzie nie mogli, bo stół u Torringtona nie wyróżniał się obfitością, ponieważ jednak całe towarzystwo utopiło smutki w alkoholu, łatwo przeszło do stanu, w którym się nie narzeka. Lord Hay spał z głową wspartą na ramionach. Sir John Masters wpatrywał się w pusty kieliszek z miną kota śledzącego tłustą mysz. Pan Ambrose Dutton dzielił się wspomnieniami z udanych polowań z Torringtonem i jego synem Charlesem Hanwellem. Markiz Aldeborough, popadłszy w refleksyjny nastrój, rozparł się na krześle w bardzo swobodnej pozie, krzyżując przed sobą nogi w butach z cholewami. Jedną rękę trzymał w kieszeni spodni z kozłej skóry, drugą niefrasobliwie obracał na wpół opróżniony kieliszek wina, które w przyćmionym świetle lśniło rubinowym blaskiem.

Frances weszła do pokoju za Akrillem, dźwigając ciężką tacę z karafką i butelkami. Nie była zainteresowana tym, co dzieje się w jadalni, nie obchodziły jej sprawy mężczyzn, którzy kompletnie nie zwracali na nią uwagi. Widać było po niej zmęczenie długimi godzinami spędzonymi w kuchni.

Torrington, któremu oczy błyszcząły od wypitego alkoholu, a starzejącą się twarz przecinały głębokie bruzdy, będące świadectwem niespełnionych ambicji, uniósł rękę, dając znak, że jego kieliszek jest pusty. Akryll skinął głową. Frances podeszła z karafką do stryja, który zastygł w wyczekującej pozie. Jednak gdy pochyliła się nad kieliszkiem, ciężki kryształ wysunął jej się ze zmęczonej dłoni i z wielkim hukiem uderzył o podłogę. Odłamki szkła i strugi czerwonego wina rozprysły się dookoła, nie oszczędzając ani jej, ani wicehrabiego.

- Ty niedorajdo! Popatrz, coś zrobiła. Zapłacisz za to!

Torrington walnął ją pięścią w twarz. W pokoju zapadła cisza. Frances skuliła się i z pewnością uciekłaby z pokoju, gdyby nie to, że zaczepiła nogą o postrzępiony dywan i upadła w czerwoną kałużę z odłamkami szkła u stóp markiza Aldeborough.

Długo nikt nie reagował, wszystkich bowiem zaskoczył ten publiczny pokaz bezsensownego okrucieństwa. Frances tymczasem wolno uniosła się na czworakach z nadzieją, że w półmroku jej upokorzenie będzie mniej jaskrawe. Gdyby tylko udało jej się dotrzeć do drzwi, zanim stryj znowu skupi na niej uwagę...

Chłodna dłoń ujęła ją za ramię i delikatnie, lecz stanowczo pomogła jej wstać.

- Nie pokaleczyła się pani?

Wzdrygnęła się, zaskoczona obcym dotykiem.

- Nie, milordzie, nic mi się nie stało.

Aldeborough z ledwie zauważalną nutą współczucia przyjrzał się stojącej przed nim pannie, która bez powodzenia usiłowała strzepnąć ze spódnicy ślady wina i szklane okruchy. Mimo niemodnego kroju i braku elegancji suknia nie wskazywała na pomoc kuchenną, raczej na ubogą krewną, zmuszoną żyć na łasce Torringtona w całkowitej od niego zależności. Nie był to los godzien pozazdrosczenia. Zapamiętał gęste, długie rzęsy, rzucające cień na blade policzki, i proste, ciemne włosy związane najzwyklejszą wstążką. Gdy pomagał jej wstać, zwrócił też uwagę na bardzo zimne ręce, które drżały, mimo że głos panny wydawał się opanowany i brzmiał obojętnie. Na policzku powoli wykwitał siniak, dowód złego humoru Torringtona.

- Ma pani krew na nadgarstku i dłoni. - Jego szare oczy mogły wydawać się bezlitosne, ale łagodny głos pobrzmiwał współczuciem, jakiego Frances jeszcze nigdy w życiu nie zaznała. - Skaleczyła się pani szkłem. Akrill, pomóż tej pannie. Wygląda na to, że uszkodziła sobie rękę.

On myśli, że jestem służącą! Frances z trudem zapanowała nad histerycznym śmiechem, który ścisnął ją za gardło. I tak będzie wyglądała reszta mojego życia. Jak mogę przed tym uciec? Pierwszy raz podniosła wzrok i spojrzała prosto w oczy Aldeborough z niemym błaganiem nie wiadomo o co. On jednak tylko polecił ją opiece Akrilla, po czym dołał sobie bordo.

- I co pan sądzi, Aldeborough, o moim siwym hunterze? Założę się, że nie masz tak dobrego konia w swoich stajniach.

Słowa stryja przykuły uwagę Frances, która czekała, aż Akryll zakończy opatrywać jej nadgarstek serwetką. Aldeborough! Słyszała o nim, mimo że w Torrington Hall była na towarzyskim zesłaniu, separowana od modnych kręgów.

Miał tytuł i majątek, był właścicielem wspaniałej posiadłości, zwanej Aldeborough Priory. Mówiono też o nim, że dużo pije i lubi hazard, lecz mimo to uchodził za znakomitą partię, choć matki panien na wydaniu spoglądały na niego koso, nieraz bowiem łamał serca okrutnym brakiem delikatności.

- Wspaniały, milordzie. Harmonijna budowa, skoczność, pięknie bierze przeszkody. Wnoszę, że nie zamierza go pan sprzedać?

- Za dobrą cenę mógłbym się zastanowić. - Torrington bezwładnie oparł się na krzesło, a jego twarz wyraźnie spochmurniała.
- Jestem bliski ruiny, wszystko już sprzedałem z wyjątkiem zastawionego majątku. Niedługo na naszym progu pojawią się miejscowi kupcy i zażądadają zapłaty.

- Ojczy! - Charles potrząsnął nim lekko, by go otrzeźwić i skłonić do milczenia w obecność gości. - To nie jest czas ani miejsce na takie rozmowy. - Był mocno zakłopotany.

- Wszyscy o tym wiedzą! - Torrington ze zniecierpliwieniem odtrącił jego rękę i uderzył pięścią w stół. - To przestało być tajemnicą! Konie są moją ostatnią nadzieją.

- Uśmiechnął się chytrze. - Przekonasz się jednak, że jeszcze się wywinę - zapewnił niezbyt wyraźnie, dolał sobie wina i wypił duży łyk.

- No no, Torrington. - Sir Ambrose uniósł brwi. - Ma pan nadzieję na dopływ gotówki, która zadowoli pańskich wierzycieli, czy może wino zbyt mocno uderzyło panu do głowy? - Uśmiechnął się ironicznie. Jak i wielu innych, nie wierzył, że wicehrabia „jeszcze się wywinie”.

- Trafił pan w sedno. Będzie majątek! - Torrington zatarł ręce. - Mam bratanicę... dziedziczkę. To ona odbuduje nasz majątek. Jeszcze w tym tygodniu poślubi Charlesa. Nikt nie będzie patrzył na rodzinę Hanwellów z góry!

- Gratulacje. - Szyderstwo malujące się na twarzy Aldeborough było aż nadto czytelne. - Wizja powrotu do dawnej świetności musi być dla pana bardzo krzepiąca.

- Pan ze swoim bogactwem nie jest w stanie tego pojąć. - Torrington wykrzywił się paskudnie.

- To prawda.

- Wielkie szczęście dopisało panu z tym spadkiem, milordzie. - I temu nie przeczę.

Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta, niemal czuć było zapach krwi. Aldeborough wydawał się tego jednak nie zauważać. Włożył rękę do kieszeni, wyjął z niej śliczną złotą tabakierkę i eleganckim ruchem zwolnił zatrzask.

- Byliśmy wstrząśnięci śmiercią pańskiego brata - ciągnął wicehrabia z fałszywym współczuciem.

- Naturalnie. - Aldeborough schował tabakierkę i ujął nóżkę kieliszka.

Sir Ambrose zastanawiał się, czy markiz nie chluśnie Torringtonowi winem w twarz. To byłby dopiero skandal.

Tymczasem Aldeborough spokojnie wypił łyk trunku. Nagle uświadomił sobie, że jest bacznie obserwowany, i rzeczywiście, panna stojąca przy drzwiach nie odrywała od niego wzroku. Zwróciła jego uwagę swą bladością, a gdy skrzyżował z nią spojrzenia, skonsternował go gniewny blask jej ciemnych oczu. Czy gniew ten był skierowany przeciwko niemu? Było to mało prawdopodobne, a jednak wyraźnie między nimi iskrzyło. Dlaczego jednak właściwie pospolita służąca albo uboga krewna wicehrabiego miałyby okazywać mu tyle wrogości, tyle zajadłej pogardy, zwłaszcza po tym, jak się o nią zatroszczył i pomógł jej wstać z podłogi? Nieważne. Tego wieczoru miał stanowczo dość Torringtona, jego wątpliwej gościnności i grubych insynuacji. Energicznie odsunął krzesło i wstał.

- Miło było mi w waszym towarzystwie, panowie, ale na mnie już czas. - Dziarsko ruszył ku drzwiom, nie dając po sobie poznać, że alkohol wywarł na nim jakiegokolwiek wrażenie. Mogły na to wskazywać jedynie bardziej rumiane niż zwykle policzki i staranna kontrola nad rytmem oddechu.

Ambrose również wstał i zanim Aldeborough zdążył dotrzeć do drzwi, chwycił go za ramię.

- Nie możesz wyjść w takim stanie, Hugh. Jest środek nocy. Przyjechałeś kariolką? Najpewniej skończysz w rowie.

- Tak sądzisz? - Aldeborough zmartwiał, a na jego twarzy pojawił się wrogi wyraz. Wspomnienie przewróconej i połamanej

kariolki oraz leżącego obok martwego człowieka sprawiło mu niekłamany ból. Ambrose natychmiast pojął, że wykazał się wielką bezmyślnością i gruboskórnością, jednak markiz opanował się błyskawicznie. - Nie, jestem powozem. Poza tym pięknie świeci księżyc w pełni. Dojadę do Aldeborough Priory w niecałą godzinę.'- Uśmiechnął się cynicznie. - Troska o moje bezpieczeństwo wielce ci się chwali, drogi przyjacielu.

- Hugh, wiesz, że nie chciałem...

Markiz wykrzesał z siebie dość marny uśmiech i z pewną ostentacją skłonił się towarzystwu.

- Życzę dobrej nocy, panowie. - Nagle sposepniał. - Szczerze współczuję pańskiej bratanicy, Torrington. Zasluguje na lepszy los.

Nie oglądając się za siebie, wyrzuciwszy z pamięci nieszczęsną pannę, która sprowadziła na siebie gniew stryja, opuścił Torrington Hall. Zresztą w chwili, gdy się zegnał, panny już w jadalni nie było.

Frances Hanwell zamrugała powiekami, wytrącona z zamyślenia szorstkim głosem markiza.

- Jeśli jest pani bratanicą Torringtona, czyli dziedziczką Hanwellów, to dlaczego, na miłość boską, odgrywa rolę pomywaczki?

- Dotkliwy ból głowy i chęć jak najszybszego uporania się z przykrymi dla nich obojga wspomnieniami kazały mu zrezygnować z konwenansów i dać upust emocjom. - I dlaczego, u diabła, uważała pani za konieczne ukryć się w moim powozie, by uciec z domu?

- Nie chcę o tym rozmawiać, milordzie, powiem więc tylko, że w danych okolicznościach nie miałam innej możliwości.

- W jakich okolicznościach?

W odpowiedzi pokręciła głową.

- To nie ułatwia sprawy. Jak się pani nazywa?

- Frances Rosalind Hanwell, milordzie.

- Powinienem odwieźć panią z powrotem, panno Hanwell.

Prosto w ręce stryja. - W odruchu irytacji przeczesał dłonią włosy.

- Nie pojechałabym. Już nigdy tam nie wrócę. Wolałabym wyskoczyć z pędzącego powozu.

Te pełne determinacji słowa wypowiedziała tak spokojnym i pewnym tonem, że markizowi na chwilę odebrało głos, stał więc tylko i przyglądał jej się z głęboką dezaprobatą.

Panna Hanwell odruchowo podniosła z biurka pióro, a on zauważył na jej palcach plamy atramentu. Była wyższa, niż zdawało mu się wieczorem. I dlaczego nie zapadły mu w pamięć jej oczy? Zazwyczaj pewnie ciemnofiołkowe, teraz, gdy wyrażały gniew i rozpacz, wydawały się prawie czarne.

- Czyżby nie zdawała sobie pani sprawy ze skandalu, który z tego powstanie? Ze zobowiązań, jakie na mnie spadną? I ze szkody, jakie wyrządzi pani swojemu dobremu imieniu?

Mimo że jego głos brzmiał twardo, nie zamierzała ustąpić.

- Nie ma pan żadnych zobowiązań, milordzie. Po prostu posłużyłam się pańskim powozem jako zesłanym mi przez niebo środkiem do celu. Nikt nie ma pojęcia, że tutaj jestem.

- Założę się, że kamerdyner wie. Nazywa się Akryll, prawda?
Niech pani nie próbuje mi wmawiać, że nie prosiła go o pomoc przy dyskretnym opuszczeniu domu, bo nie uwierzę.

Przygryzła wargę i jeszcze bardziej zbladła. Cóż, Aldeborough miał rację.

- Służba plotkuje, panno Hanwell. Każdy, kto był wczoraj wieczorem w Torrington Hall, dowie się, że pani wyjechała razem ze mną i spędziła noc pod moim dachem. Bez przyzwoitki. Jaki to będzie miało skutek dla pani reputacji? Najprawdopodobniej całkowicie ją zniszczy. Wolę nawet nie myśleć o tych andronach, które Hay i Masters będą roznosić po całym Londynie.

- Nie pomyślałam. Po prostu... - Spuściła wzrok, przytłoczona tym oskarżeniem. - Musiałam wyjechać.

- Uczyniła pani ze mnie porywacza - ciągnął tym samym bezlitosnym tonem. - I to jeśli szczęście mi dopisze. Bo najpewniej zostanę oskarżony o uwiedzenie pani! Jak można było tak ryzykować? Poza tym przecież pani wcale mnie nie zna. Nie wie, do czego jestem zdolny. Mógłbym panią zamordować lub zgwałcić i wyrzucić do rowu. Zachowała się pani całkowicie nieodpowiedzialnie.

- Jeśli za chwilę opuszczę pański dom, nikt nigdy się o tym nie dowie! - Również ona wybuchnęła gniewem. - Nie zasłużyłam na tyle potępienia.

- Zasłużyła pani, a poza tym nie może pani opuścić tego domu. Dokąd pani pójdzie?

- Dlaczego miałyby to pana interesować? Przecież nie ma pan obowiązku troszczyć się o mnie!

- Może panią zaskoczę, panno Hanwell, ale nie życzę sobie zyskać opinii uwodziciela niewinnych panien! - Z najwyższym wysiłkiem starał się utrzymać wściekłość na wodzy.

- Bardzo mi przykro. - Frances odwróciła twarz. - Nie chciałam pana tak rozzłościć.

Aldeborough nalał sobie szklaneczkę brandy i wychylił ją jednym haustem. Wściekłość opuściła go równie szybko, jak wcześniej opanowała. Ta panna potrzebowała jego pomocy, a w Torrington Hall musiała wiele razy ucierpieć z powodu złego humoru wicehrabiego. Siniec na policzku był dostatecznie wymowny.

- Proszę się nie martwić. - Odetchnął głęboko. - Postarajmy się myśleć rozsądnie. - Po chwili zaś dodał niezbyt sensownie: - Pamiętam tę suknię.

- To akurat rozumiem - odrzekła kwaśno. - Jest wyjątkowo paskudna i kiedyś należała do mojej stryjenki, naturalnie przed wieloma laty, jak zapewne pan zauważył. - Patrzyła mu prosto w oczy, jakby chciała sprowokować go do następnych uwag na temat jej pospolitego stroju ze stanikiem zdobionym koronką i sutymi spódnicami. - Przypuszczam zresztą, że na mnie ta suknia wygląda jeszcze gorzej niż na niej.

- Hm... Nigdy nie miałem zaszczytu spotkania hrabiny Torrington w tej kreacji, nie potrafię więc wygłosić miarodajnej opinii. - Wrócił do biurka i w pojedynczym geście wyciągnął dłoń. -

Proszę usiąść, panno Hanwell. Na pewno pani rozumie, że musimy zająć się najpilniejszym problemem i przedyskutować pani przyszłość.

Zignorowała ten gest, za to posłała markizowi wrogie spojrzenie.

On tymczasem pochylił się nad biurkiem, by wyjąć jej z ręki pióro. Zauważył przy okazji nie tylko to, że jej dłonie poplamił atrament, lecz również że są smukłe i drobne, ale w wielu miejscach stwardniałe. Paznokcie były połamane, szkło pokaleczyło nadgarstki. Puścił jej rękę i zadumany usiadł po drugiej stronie biurka.

- Co pani pisała?

- Zestawiałam swoje możliwości.

Podniósł kartkę i obejrzał wynik pracy. Kartka była pusta.

- Widzę, że nie zaszła pani zbyt daleko.

- Jeśli ma to być krytyka, wyjaśniam, że wszystkie moje myśli dotyczyły raczej możliwości na „nie” niż na „tak”. W każdym razie na pewno nie wrócę do Torrington Hall.

- Musimy rozważyć kwestię pani reputacji, panno Hanwell. Nie wydaje się pani rozumieć, że skandal, który wybuchnie w następstwie wydarzeń ostatniej nocy, może być absolutnie rujnujący. Cóż... mogę zrozumieć pani opór przed powrotem do domu stryja, ale czy nie ma pani innych krewnych, do których mogłaby zwrócić się pani o pomoc?

- Nie - odparła. - Moi rodzice nie żyją. Wicehrabia Torrington jest moim prawnym opiekunem.

- Musimy wobec tego wybrać jedyną możliwą drogę ocalenia pani reputacji, panno Hanwell. - Twarz miał surową i nieco bladą. - To całkiem proste.

- Co milord ma na myśli? Bo przyznam, że ja żadnych prostych rozwiązań nie dostrzegłam.

- Musi pani przyjąć moją prośbę o jej rękę, panno Hanwell.

- Nie! - Reakcja była natychmiastowa, choć protest został wyrażony niemal szeptem.

To go naprawdę zaskoczyło. Większość znanych mu młodych dam zrobiłaby wszystko, byle zainteresować swoją osobą markiza Aldeborough, jednak panna Hanwell do nich nie należała.

- Nie musi się pan poświęcać, milordzie - spróbowała złagodzić sprzeciw. Głos jej lekko drżał. - Na pewno istnieją jeszcze inne możliwości. Przecież ubiegłej nocy nie zaszło nic niestosownego. - Starannie wyrzuciła z pamięci jego pijackie pocałunki. - Obezwładnił pana nadmiar brandy, to wszystko.

- Nawet jeśli tak było, panno Hanwell - odparł - to z moją reputacją nie przekonam o tym towarzystwa. Poza tym sama pani powiedziała, że nie ma innych krewnych, którzy mogliby udzielić jej schronienia.

- Mogłabym zostać guwernantką - powiedziała, z trudem panując nad łamiącym się głosem.

- Czy ma pani odpowiednie kwalifikacje? - spytał łagodnie, zdając sobie sprawę z jej trudnej sytuacji.

- Po prostu szukam jakiegoś praktycznego rozwiązania.

- A tak naprawdę oderwanego od rzeczywistości... Umie pani grać na fortepianie? Mówić po francusku albo włosku? Malować akwarelami? I dbać o rozwój wszelkich innych talentów, jakimi powinna wykazać się młoda dama? Moja siostra często narzeka na liczne niedorzeczności, które podobno są niezbędne dobrze wychowanej pannie.

W swej desperacji nie wychwyciła nuty humoru w słowach markiza, lecz nic dziwnego, skoro wbrew swojej woli mogła zostać zmuszona do powrotu.

- Nie umiem. Nie umiem też haftować ani tańczyć. Ani... No, właściwie niczego nie umiem. Pod tym względem moja edukacja pozostawia wiele do życzenia. - Łzy cisnęły jej się do oczu coraz bardziej natrętnie. - W każdym razie nie musi mnie pan tak onieśmielać.

- Próbuję tylko pomóc. Co pani umie?

- Prowadzić dom. Nadzorować pracę w kuchni. - Frances dyskretnie otarła policzek. - Jak to okropnie brzmi. Sądzi pan, że powinnam zostać gospodynią?

- Na pewno nie. Jest pani o wiele za młoda. I kto dałby pani referencje?

Załamana Frances przysiadła na ławie pod oknem.

- Teraz pan rozumie, dlaczego moja lista nie powstała.

- Panno Hanwell... - Aldeborough stanął przed nią. - Nie chcę się powtarzać, nie chcę też pani narzucać swojej osoby, która wydaje się

jej nie do przyjęcia, ale naprawdę jest tylko jedno wyjście. Czy uczyni mi pani zaszczyt zostania moją żoną?

Zdumiała ją łagodność jego tonu, mimo to pokręciła głową.

- Pan jest bardzo miły, ale nie... Mam spadek po matce, w którego posiadanie wejść, gdy osiągnę pełnoletność. Dzięki niemu rozpocznę niezależne życie i nikt nie będzie mi dyktował, co mam robić.

- Jakiej wartości jest ten spadek? Naprawdę wystarczy na godne życie? - Markiz najwyraźniej sceptycznie potraktował jej słowa.

- Dokładnie nie wiem, ale jak rozumiem, dzięki spadkowi nie umrę z głodu. Plenipotent mojego stryja zna szczegóły. Ze mną o tym nigdy nie rozmawiano.

- To jednak wciąż nie rozwiązuje problemu skandalicznych plotek, które wybuchną. Pani reputacja legnie w gruzach, a to oznacza ostracyzm towarzyski. Pani musi mnie poślubić.

- Nie, milordzie. - Jej głos, choć drżał lekko, wciąż brzmiał stanowczo. - Zresztą jakie to ma znaczenie? Nigdy nie przedstawiono mnie w towarzystwie, nie brałam udziału w żadnym sezonie, nie zamierzam też obracać się w kręgu londyńskiej śmietanki. W jaki sposób plotki mogą mi zaszkodzić?

Aldeborough westchnął zirytowany. Prawdę mówiąc, panna Hanwell nie była idealną kandydatką na żonę bogatego arystokraty. Uwięziona na zapadłej wsi, poddana fatalnym wpływom Torringtona, bez znajomych w modnym świecie, pozbawiona towarzyskiego szlif... Jednak dlaczego właściwie nie? - pomyślał zaraz.

Urodziła się w dobrej rodzinie. Wydawała się bystra i inteligentna, znała się na prowadzeniu domu... a wszystkie braki łatwo nadrobić. Przyglądał jej się i wbrew sobie odczuwał podziw dla błysku w oku i wojowniczej miny, w takim bowiem nastroju oczekiwała jego decyzji. W eleganckim świecie naturalnie zahuczy od plotek, kiedy rozejdzie się wieść, że jakaś panna Hanwell, nikomu nieznana prowincjuszka, ma poślubić samego markiza Aldeborough, ale czyż dla niego plotki mogą mieć jakiegokolwiek znaczenie?

Poza tym matka przy każdej okazji przypominała mu o jego powinnościach, może więc istotnie nadszedł czas, by się ożenić. Sam dobrze wiedział, że życie łatwo stracić, a musiał przecież przedłużyć linię, był to winien rodzinie. Gdyby Richard żył... Nie, nie wolno mu o tym myśleć. Nie miało sensu dumać bez końca nad tym, co niemożliwe.

O wiele ważniejsze było jednak to, że nie mógł zgodnie z własnym poczuciem honoru pozostawić tej panny na łasce losu, pozwolić, by sama stawiała czoło konsekwencjom swego nierozważnego ekscesu. Wprawdzie lekceważyła towarzyskie następstwa ucieczki, on wiedział jednak, że okrutne i złośliwe języki mogą wyrządzić młodej panie niepowetowane szkody. Musiał ją ratować, to był jego obowiązek. Obawiał się jednak, że przekonanie tej damy do jakże koniecznego mariażu okaże się nad wyraz trudnym zadaniem.

- Nie przyjmuję pani argumentacji - przerwał milczenie tonem, który wykluczał dalszą dyskusję. - Nie zdaje sobie pani sprawy z

następstw swojego czynu, a jako człowiek doświadczony mogę przewidzieć, że będą one przykre i bolesne. Niestety muszę iść na spotkanie z zarządcą. Wrócimy do tej rozmowy później, panno Hanwell. Służba zadba o to, aby niczego pani nie brakowało. Wystarczy poprosić. - Ostrożnie dotknął sińca na jej policzku, przejęty pragnieniem, by jakoś ją pokrzepić. Ona jednak wzdrygnęła się tylko, z prawdziwym żalem cofnął więc rękę.

- Zapewniam, że nie ma do czego wracać. Nie będę pana zatrzymywać, rządcą czeka. - Spróbowała się uśmiechnąć, choć nieszczególnie jej się to udało. Miała nadzieję, że nie okazała, jaką przyjemność sprawił jej jego dotyk.

- Pani jest bardzo uparta, panno Hanwell. Jak można czynić jakiegokolwiek plany, cały dobytek mając na sobie?

Nie potrafiła znaleźć riposty na to przygnębiająco trafne spostrzeżenie, więc tylko pokręciła głową.

- Muszę iść. - Skłonił się, delikatnie ucałował jej dłoń.

Rozdział trzeci

- Przyjechała lady Torrington, madame. Wytłumaczyłem jej, że jego lordowska mość jest obecnie niedostępny, nalegała jednak, aby zobaczyć się z panią. Wprowadziłem ją do salonu. - Twarz Riversa, kamerdynera markiza, wyrażała ojcowskie zatroskanie. - Czy pani ją przyjmie?

Frances poczuła, że krew zastyga jej w żyłach, a przed oczami pokazały się mroczki. Od czasu wyjazdu markiza na spotkanie z Kingtonem miała kilka godzin, aby w spokoju rozważyć swoją sytuację, to jednak tylko ją przygnębiło. Pani Scott przyniosła jej lekką przekąskę na lunch, ale Frances nie miała ochoty jeść i w końcu zaczęła oglądać bogate zbiory książek w bibliotece. Jednak nawet kunsztownie ilustrowany tom poświęcony roślinom i projektowaniu ogrodów, który w innych okolicznościach wzbudziłby jej nieklamany zachwyty, nie był w stanie oderwać jej myśli od katastrofy, którą na siebie sprowadziła.

- Czy przyjmie pani lady Torrington? - powtórzył pytanie Rivers, widząc wahanie Frances.

- Tak, naturalnie... - Co do jednego była zdecydowana. Tak jak powiedziała markizowi, w żadnym razie nie wróci do Torrington Hall. Dlatego uznała, że im wcześniej dojdzie do konfrontacji ze stryjenką, tym lepiej.

- Mam podać herbatę, madame? Może się przydać, gdyby trzeba było zmienić temat. - Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo.

- Poproszę. To bardzo miłe z twojej strony, Rivers.

Wicehrabina Torrington siedziała przy kominku w salonie. Ośmielona dyskretnym wsparciem Riversa, Frances wyprostowała się w progu, po czym weszła do pokoju.

- Stryjenka Cordelia. - Zdobyła się nawet na wymuszony uśmiech. - Nie spodziewałam się stryjenki w tym domu.

Natychmiast zauważyła, że milady postanowiła wyrzucić wrażenie na Aldeborough. Krepą figurę okrywał zielony aksamitny płaszcz trzy czwarte z jedwabnym wykończeniem. Turban w podobnym odcieniu zdobiło strusie pióro. Czarne półbuciki z koźlej skóry i miękkie skórzane rękawiczki dopełniały stroju, odpowiedniego raczej na wizytę w londyńskim salonie niż w wiejskiej posiadłości. Kręcenie i farbowanie włosów lśniących w słońcu rudawym odcieniem musiało pochłonąć nieszczęsnej, przez lata dręczonej służącej długie godziny, i tak jednak nic nie było w stanie ukryć zmarszczek, jakie niezadowolenie z życia i zawiedzione ambicje wryły wokół niebieskich oczu i wąskich warg lady Torrington.

- Nie dziwię się, ale trzeba było coś zrobić, żeby rozwiązać ten niefortunny problem, a nie wydaje mi się, żeby tak delikatną sprawę można było pozostawić w rękach Torringtona. Gdyby ludzie zaczęli o tym mówić, skutki mogłyby okazać się katastrofalne dla nas wszystkich... - Raptownie urwała. Choć jej słowa były pojednawcze, głos brzmiał szorstko i władczo, a na bratanicę męża spoglądała z nieukrywaną pogardą.

- Co stryjenka zamierza? - Frances ostrożnie usiadła na krawędzi krzesła.

- Przyjechałam zabrać cię do domu. Możemy wyciszyć sprawę i cokolwiek zaszło wczorajszej nocy, udawać, że nic się nie stało.

- Nic nie zaszło - odparła spokojnie Frances, choć pamiętała ostrzeżenie markiza.

- Być może, jednak ludzie w to nie uwierzą. Aldeborough nie cieszy się najlepszą reputacją. Musimy szczerze porozmawiać, Frances. Markiz jest bogaty, przystojny i uważany za świetną partię, temu nie przeczę, ale powszechnie wiadomo również, że żadna kobieta nie jest przy nim bezpieczna. Co zaś do przedwczesnej śmierci jego brata, im mniej się o tym mówi, tym lepiej. To zresztą nie nasza sprawa. Jeśli natychmiast nie wywikłasz się z tej sytuacji, stracisz dobre imię, a to fatalnie odbije się na całej rodzinie. Co cię opętało, żeby uciec i do tego narzucać się markizowi? Gorszego wyboru dokonać nie mogłaś, ty nierozumna istoto. Nie pozostaje ci nic innego, jak wrócić ze mną do domu.

- Dziwi mnie taka troska, stryjenko. Nie przywykłam do tego, że moje uczucia budzą tyle zainteresowania.

Lady Torrington zareagowała spojrzeniem, które mówiło jasno: „Nie drwij, moja panno, bo pożałujesz!”.

- Wrócisz ze mną do Torrington Hall. Charles zgodził się poślubić cię natychmiast, tak jak było w planach.

- Biedny Charles! Czy mam być mu za to wdzięczna?

- Naturalnie. Po tej eskapadzie nie poślubi cię nikt inny, to pewne. Nie da się utrzymać tego w sekrecie. Wystarczy, że tak zwani przyjaciele twojego stryja wypiją trochę wina albo brandy, a zaraz wezmą cię na języki.

- Wcale nie zamierzam wychodzić za mąż. Kiedy odziedziczę spadek, będę mogła...

- Wielki mi spadek! - zadrwiła lady Torrington. - Nie łudź się, moja droga. To tylko małe dożywocie. Rodzina odcięła się od twojej matki, kiedy poślubiła twojego ojca, więc niby czego się spodziewasz? Nie masz wyboru, musisz ze mną wrócić.

Frances twardo stała na swoim, mimo że pewność siebie wyraźnie ją zawodziła. Nigdy dotąd nie sprzeciwiła się stryj, chyba że w drobiazgach, za co i tak była surowo karana.

- Przykro mi, że muszę stryjenkę rozczarować, ale nie - stwierdziła stanowczo.

- Ty głupia, uparta dziewczyno! - Lady Torrington poderwała się z krzesła. - Zawsze byłaś trudna i niewdzięczna. Naprawdę spodziewasz się, że Aldeborough cię poślubi? Że weźmie za żonę takie nic, kiedy może mieć każdą pannę, którą tylko zechce? Nie oszukuj się. Nie złapiesz go w pułapkę. On cię porzuci, stracisz dobre imię i nie będziesz miała do kogo się zwrócić o wsparcie.

- Wygląda na to, że zna pani moje zamiary.

Na progu stał markiz, który natychmiast chłodno ocenił sytuację. Jego uwagi nie uszedł wyraz ulgi, który pojawił się na twarzy Frances.

Lord skłonił się i podszedł do panny Hanwell. Gdy zaniepokojona podniosła się z krzesła, położył jej dłoń na swoim ramieniu i stanowczo przytrzymał, kiedy chciała cofnąć rękę.

- Milady, pragnę poinformować panią, że poprosiłem jej kuzynkę, aby wyświadczyła mi ten zaszczyt i została moją żoną.

Lady Torrington zmrużyła oczy i zacisnęła usta.

- Musi pan wiedzieć - powiedziała po chwili - że ona nie jest jeszcze pełnoletnia. Nie ma pan zgody Torringtona.

- Z całym szacunkiem, nie mówię tego, aby taką zgodę uzyskać.

- Markiz strzelił palcami. - Panna Hanwell, po tym jak Torrington potraktował ją w swoim domu, wyraziła wolę, aby nigdy już nie wracać do Torrington Hall. Zamierzam jej pomóc w spełnieniu tego życzenia.

- Nie wiem, co próbuje pan zasugerować w kwestii jej wychowania ani co ona uznała za stosowne panu powiedzieć. W każdym razie nie dawałabym wiary w jej uczciwość, milordzie. - Wicehrabina spiorunowała Frances wzrokiem. - Musi wrócić na łono rodziny. W tej sprawie skontaktuje się z panem mój mąż. - Jej wzburzenie sięgnęło zenitu.

- Naturalnie, milady. Jestem do usług. Może zechce pani zostać na herbatę?

- Nie, dziękuję. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Frances. Postąpiłabyś rozsądnie, słuchając moich przestróg. Byłoby mi przykro, gdyby historia uwiedzenia przez pana bratanicy mojego męża miała przedostać się do publicznej wiadomości, milordzie.

- Uwiedzenia? To pomyłka. - Markiz uśmiechał się równie szczerze jak kot, który wypuszcza mysz wyłącznie po to, by znów ją złapać. - Gdyby rozeszła się taka pogłoska, czułbym się zmuszony wytłumaczyć znajomym, jaką rolę odegrał w tych wydarzeniach Torrington. Nie jest chyba w dobrym tonie, jeżeli opiekun skazuje swoją wychowanicę na życie, jakie nie przystoi nawet służbie, a tym bardziej jeśli ją krzywdzi i poniża, jakby czerpał z tego swoistą satysfakcję. Odradzam pani taką nierozwagę, jak próby stosowania gróźb wobec mnie lub mojej przyszłej żony.

- Życzę więc miłego dnia, milordzie. - Wicehrabina Torrington skłoniła głowę z wymuszoną uprzejmością, choć trzęsła się z oburzenia, a jej policzki pałały brzydkim pałem. - Co do ciebie, Frances, życzę ci, żebyś gorzko nie pożałowała tego dnia. Niestety, zawsze byłaś uparta i samolubna, mimo że poświęciliśmy ci tyle troski! - Szeleszcząc aksamitem i potrząsając samotnym strusim piórem, przeszła obok Riversa, który z całym szacunkiem odprowadził ją do drzwi.

- No tak! Pani jest uparta i samolubna, prawda? - Potrząsnął głową, widząc grymas Frances. - A jakież to były przestrogi? Czy mam zgadnąć?

- Dotyczyły pańskiej skandalicznej reputacji. - Uśmiechnął się tak czarująco, że Frances zrozumiała, dlaczego tyle zbłąkanych panien poddało się Urokowi markiza Aldeborough. - Nie rozumiem tylko, dlaczego tak bardzo jej zależało, żeby zabrać mnie z powrotem... W najlepszym razie byłam tam traktowana jak uboga krewna, a bywało,

że jak zwykła pomywaczka. Nikt nigdy nie okazał mi tam cienia miłości. I dlaczego Charles miałby się ze mną żenić, skoro zdobyłam tak złą opinię?

- Może pani już o tym nie myśleć.

- Milordzie, zachowuje się pan bardzo uprzejmie, czym jestem bardzo zaszczycona, ale nie widzę konieczności małżeństwa. Błędy popełnione tej nocy, w dodatku przeze mnie, nie mogą zniszczyć panu całego życia.

- Myślałem o pani życiu, panno Hanwell.

Podniosła wzrok, wzruszona pobrzmiewającym w jego głosie współczuciem, ale twarz go nie wyrażała. Mężczyzna nie ma prawa mieć takich pięknych oczu, pomyślała nagle. Były ciemnoszare, otoczone gęstymi, czarnymi rzęsami. Nie znalazła w nich jednak nic poza chłodnym wyrachowaniem i siłą. No cóż...

Zanim zdążyła jednak odpowiedzieć, do salonu niepostrzeżenie wszedł Rivers i dyskretnie zakasłał.

- Sir Ambrose Dutton, milordzie.

Markiz wstał, by powitać przyjaciela, w którym Frances poznała jednego z gości stryja i jeszcze bardziej podupadła na duchu. Nie mogła znieść kolejnego spotkania z kimś, kto był świadkiem jej upokorzenia.

- Proszę mi wybaczyć, milordzie. Przepraszam, sir Ambrose. - Dygnęła i wyszła za Riversem z pokoju, starając się, by wyglądało to godnie. Wreszcie w pełni pojęła, w jak żalosnej znalazła się sytuacji, a stało się to w chwili, gdy ujrzała na wargach sir Ambrose'a znaczący

uśmieszek, który pojawił się tam na widok gospodarza prowadzącego ożywioną rozmowę z młodą panną.

- O, Ambrose. Czyżbyśmy umawiali się na dzisiaj? - Oblicze markiza jawiło się niczym zadziwiające studium prostoduszności.

Lord Dutton uniósł brwi. A więc w to dzisiaj gramy? - pomyślał. Niech będzie.

- Owszem, umówiliśmy się. Jak twoja głowa, Hugh? - Odłożył na stolik szpicrutę i rękawiczki - Nie spodziewałem się, że ujrzę cię, jak stoisz o własnych siłach po podłych trunkach Torringtona.

- Jeśli może to być jakieś pocieszenie, głowa boli mnie zapewne znacznie bardziej niż ciebie. - Skrzywił się boleśnie i opadł na fotel. - Mam nadzieję, że mimo to nie wyglądam aż tak marnie.

- Wyglądasz, Hugh, wyglądasz! Ale... hm... wiem, to drażliwa kwestia... ale dlaczego wszystko wskazuje na to, że panna Hanwell mieszka w Priory? Zdaje się, że spędziłaś o wiele ciekawszą noc, niż mi się zdawało.

- Nic o tym nie wiesz!

- To znaczy, że mi opowiesz? A może prawdę mam z ciebie siłą wycisnąć?

- Czemu nie? - Aldeborough głęboko odetchnął, po czym wprowadził przyjaciela w ostatnie wydarzenia. A na koniec rzekł: - Tak więc przywiozłem ją tutaj, zanadto pijany, by pomyśleć o konsekwencjach. Nie jestem zresztą pewien, czy było inne wyjście, bo zanim ją zauważyłem, znajdowaliśmy się w połowie drogi do Priory. Niby mogłem jeszcze zawrócić do Torrington Hall, ale... - Z jego

głosu wynikało, że nie jest zachwycony swoim postępowaniem. - To nie było mądre, prawda?

- Nie. - Ambrose, jak to miał w zwyczaju, wykazał się brutalną szczerością. - Zawsze jest tak samo. Za dużo alkoholu i człowiek zaczyna się zachowywać irracjonalnie. W dodatku ta panna narzuciła ci się tak natrętnie. Czy przynajmniej warto było?

- Okaż trochę szacunku, do diabła! - Tym wybuchem zaskoczył przyjaciela. - Naprawdę sądzisz, że uwiódłbym niewinną pannę?

- Chyba nie. Byłeś zanadto pijany.

Markiz nieco się odprężył, uśmiechnął z trudem i wyjawiał resztę prawdy:

- Powinieneś się czegoś dowiedzieć... Poprosiłem pannę Hanwell o rękę.

Ambrose oniemiał na moment, wreszcie zaczął mówić, początkowo dukając, potem z coraz większą werwą:

- Wybacz, hm... nie zdawałem sobie sprawy, ale... Hugh, do diabła, nie pozwól się wmanewrować w małżeństwo! Powinowaty Torringtonów, też coś! - Prychnął wzgardliwie. - I nic za nią nie przemawia. Pięknością też nie jest.

- Nie, ale rozpaczliwie potrzebuje schronienia, które mogę jej zapewnić - smętnie stwierdził Aldeborough. - Jakie to zresztą ma znaczenie? Moja kochana matka powiedziałaaby ci, że już najwyższy czas, abym znalazł sobie żonę i spłodził dziedzica majątku Laffordów. Każda panna byłaby gotowa mnie poślubić za pieniądze i tytuł. Panna Hanwell przynajmniej nie jest łowczynią posagów.

- Skąd ta pewność? Torrington byłby najszcześniejszym z ludzi, gdyby przy pomocy bratanicy zdołał położyć łapę na twoich pieniądzach.

Markiz spojrział na niego z rozbawieniem.

- Panna Hanwell nie jest łowczynią posagów - powtórzył. - Wiedz, że odrzuciła moje oświadczenia.

- W to nie uwierzę!

- Kiedy to prawda. Muszę zresztą przyznać, że ta odmowa bardzo ubodła moją dumę.

Brakowało jeszcze trzech stopni do parteru, gdy deska głośno skrzypnęła pod jej stopą. Frances znieruchomiała. Nic się jednak nie stało, ostrożnie więc zeszła stopień niżej. Zgodnie z jej przewidywaniami służba udała się już na spoczynek. Kilka świec wciąż jeszcze płonęło przy głównych drzwiach, ale w kątach panował mrok.

Po szybkiej rejteradzie z salonu resztę dnia spędziła w pokoju, pozorując ból głowy i poddając się troskliwym zabiegom pani Scott. Miała więc dość czasu, by zrozumieć, że musi działać, zanim definitywnie porwie ją bieg wydarzeń, nad którym miała coraz mniej kontroli. Pozwoliła sobie na kilka przyjemnych chwil snu na jawie, kiedy przyjęła oświadczenia markiza i żyła w luksusach. Wyobraziła też sobie, jak olśniewa towarzystwo, ubrana w jasnozielony muślin i jedwabie. Gdy jednak doszła do wizji, w której wirowała w walcu z wysokim, przystojnym mężczyzną, mając modną fryzurę, a w uszach

brylantowe kolczyki, brutalnie powiedziała sobie: „koniec tego” i wyrzuciła z głowy myśli o Aldeborough.

On wcale nie chce cię poślubić, tłumaczyła sobie surowo.

Kierują nim wyłącznie poczucie honoru i obowiązku oraz litość. Na tym wcale jej nie zależało. Zresztą czyż mogła na nim polegać? Wiadomo, jacy są mężczyźni. Jej stryj, wicehrabia... Po prostu musi znaleźć miejsce, w którym doczeka dnia, gdy skończy dwadzieścia jeden lat i będzie mogła objąć spadek.

Miała tylko jedną możliwość. Pojedzie do Londynu i zda się na łaskę krewnych ze strony matki. To prawda, gdy matka popełniła megalomanię, odwrócili się do niej plecami, z pewnością nie okażą się jednak aż tak okrutni, by odciąć się od jej jedynej córki, gdy ta znalazła się w potrzebie. Dlatego zwróci się o pomoc do pastora z Torrington. Miała nadzieję, że z chrześcijańskiego miłosierdzia pożyczyci jej pieniądze na dylizans.

- Dobry wieczór, panno Hanwell.

Serce podskoczyło jej do gardła. Drzwi biblioteki stały otworem, a w prostokącie, światła pojawił się Aldeborough. Szybko podszedł do Frances.

- Pomóc w czymś? - zaproponował ze swobodą.

- Proszę... proszę mnie wypuścić i zapomnieć o mnie raz na zawsze. - Głos uwiązł jej w gardle.

- Mógłbym naturalnie tak zrobić, ale nie chcę. - Władczym gestem wyciągnął rękę. Skapitulowała i pozwoliła wprowadzić się do

biblioteki. - Wygląda na to, że uciekanie wchodzi pani w nawyk. Wolno spytać, dokąd pani się wybiera? Przecież nie do Charlesa!

- W tamtym domu moja noga nigdy więcej nie postanie! - odparła Frances, starając się, by zabrzmiało to godnie. - Zdecydowałam zwrócić się o pomoc do pastora z Torrington.

- Doprawdy... A jak zamierzała pani do niego dotrzeć?

- Piechotą.

- Dziewięć mil? Wiejskimi drogami w całkowitej ciemności? - zadrwił.

- Skoro nie da się inaczej... - Wyzywająco uniosła głowę.

- Nie zdawałem sobie sprawy, panno Hanwell, że małżeństwo ze mną jest aż tak ponurą perspektywą. Najwyraźniej zabrakło mi wyobraźni. - Uniósł rękę, by pomóc w zdejmowaniu narzutki, jednak panna Hanwell, ku jego zaskoczeniu, odskoczyła, zasłaniając rękami twarz, ponieważ zaś potknęła się przy tym o stół, straciła z niego kryształowy wazon, który z wielkim hukiem roztrzaskał się o podłogę.

- Co się stało? Na Boga, co ja takiego zrobiłem? - Markiz spojrzał zmieszany na skuloną, drżącą postać. - Proszę mi wybaczyć. Nie chciałem pani przestraszyć. - Mocno ujął ją za ramiona z nadzieją, że to ją uspokoi, i nagle naszała go niepokojąca myśl. - Pani sądziła, że chcę ją uderzyć, czy tak? Czyżbym zrobił coś, co kazało pani przypuszczać, że mógłbym posłużyć się wobec niej przemocą? - W jego głosie obok zdumienia było słychać oburzenie.

Wreszcie zdołała spojrzeć mu w twarz.

- Kiedyś już próbowałam uciec - wyjaśniła z trudem. - Myślałam, że się uda, ale to było tylko głupie, dziecinne marzenie.

Złapali mnie i...

- I...?

- Stryj mnie ukarał. Zbił mnie za nieposłuszeństwo. Powiedział, że jestem niewdzięczna i muszę się nauczyć doceniać to, co dostaję w prezencie. Przepraszam. Nie chciałam... - Głos jej się załamał.

Ostrożnie zdjął z jej ramion narzutkę, poprowadził do kominka, posadził na krześle i podał szklaneczkę brandy.

- Proszę, niech pani wypije. To lekarstwo na wstrząsy, chociaż z własnego doświadczenia nie polecam brandy na zapomnienie. -

Widział, że lekko się uśmiechnęła na tę autoironię, zobaczył też, że alkohol pomógł jej wziąć się w garść. - A teraz proszę mi powiedzieć, co może zrobić dla pani pastor, czego nie mógłbym uczynić ja?

- Myślałam, że pożyczę mi pieniędzy na dylizans. W Londynie zamierzałam nawiązać kontakt z krewnymi.

- Powiedziała pani wcześniej, że nie ma krewnych.

- To rodzina mojej matki. Wyrzekli się jej, kiedy poślubiła mojego ojca. Dla nich był cynicznym łowcą posagów, więc zerwali wszystkie więzi.

- Pani ojciec, jak rozumiem, był młodszym bratem Torringtona. Nie miałem okazji go poznać.

- Tak. Adam Hanwell. Zupełnie go nie pamiętam, zmarł, kiedy byłam bardzo mała.

- A pani matka?

- Nazywała się Cecylia Mortimer. Umarła wkrótce po moim urodzeniu. To dlatego wychowywano mnie w Torrington Hall, a wicehrabia Torrington jest moim prawnym opiekunem.

- Mortimerowie są chyba spokrewnieni z Wigmore'ami?

- Hrabia Wigmore był moim dziadkiem. Miałam nadzieję, że obecny hrabia nie odetnie się ode mnie, gdy dowie się o moich kłopotach. Przecież jest moim kuzynem. Sądzi pan, że mógłby odmówić mi pomocy?

- Nie mam pojęcia. I nie mogę udawać, że pani plan mnie zachwyił. Jeśli wyprą się pokrewieństwa z panią, wyjdzie pani z ich kamienicy przy Portland Square bez pieniędzy i bez znajomych w Londynie. A jeśli pani krewni wyjechali i ich dom jest zamknięty na cztery spusty? Czy zamierza pani koczować na progu aż do ich powrotu? To szalony pomysł i lepiej, żeby pani o nim zapomniała.

- Jest nie mniej szalony niż małżeństwo z panem, którego sobie nie życzę! - odpaliła Frances. - Nie ma pan prawa traktować mnie z taką wyższością!

- Mam wszelkie prawo. To bez sensu pogarszać i tak niedobłą sytuację.

- W swoim czasie ten pomysł wydawał mi się naprawdę dobry. - Smętnie opuściła głowę. - Sądzi pan, że mogłabym zostać aktorką?

- Na pewno nie! - Roześmiał się. - Wszystkie uczucia ma pani wypisane na twarzy. Aż trudno mi uwierzyć, że poważnie rozważała pani tak obłąkany plan.

- Cóż, w desperacji mogą przyjść do głowy najbardziej obłąkane pomysły. - Próbowала się uśmiechnąć, ale bez powodzenia.

- Bądźmy rozsądni. - Poruszył nogą żarzące się polana. - Zgadza się chyba co do tego, że realnych możliwości ma pani bardzo niewiele. Ciepłe powitanie u Wigmore'ów jest co najmniej wątpliwe. Spędziła pani bez przyzwoitki stanowczo zbyt wiele czasu w moim domu... proszę na razie nic nie mówić... musi więc pani mnie poślubić, bo tylko w ten sposób można naprawić to, co się stało.

- No tak, ale...

- Niech pani pomyśli! To uratuje pani reputację. Możemy to nazwać wspólną ucieczką, jeśli pani sobie życzy. Spotkaliśmy się gdzieś... szczegóły obmyślimy później... jakaś okazja towarzyska... i zakochaliśmy się w sobie od pierwszego wejrzenia. Wiem, że zabrzmiało to niewiarygodnie, ale z uwagi na moje nazwisko nikt nie odważy się imputować niczego niestosownego. Pani uwolni się od stryja i życia, które nie dawało jej szczęścia. A do czasu, aż wejdzie pani w posiadanie spadku, może pani przepuścić część mojego majątku i zabłysnąć w wysokich kręgach.

Propozycja wydawała się atrakcyjna. Skubiąc połataną spódnicę, Frances długo rozważała te fakty. Wreszcie spojrzała w oczy markizowi, próbując zrozumieć przyczyny tego wyzutego z uczuć wyvodu.

- Dlaczego pan chce to zrobić? Przecież żona panu niepotrzebna. A tym bardziej ja w tej roli.

- Myli się pani. Kiedyś muszę się ożenić. Spłodzenie dziedzica to mój obowiązek wobec rodziny. Dlaczego więc nie miałbym poślubić właśnie pani?

- Ponieważ nie jestem stosowną kandydatką! Nie mam talentów ani urody, nie znam się na modzie... Pańscy bliscy pomyślą, że pan oszalał.

- Pochodzi pani z dobrej rodziny, a z resztą się uporamy. Przynajmniej moja matka wreszcie przestanie mnie zadrezczać. I co pani na to? Może uda nam się dogadać, ułożyć wszystko ku obopólnemu zadowoleniu. To małżeństwo, traktowane jako umowa, może przynieść korzyści nam obojgu.

- Tak, ale... - Zamilkła bezradnie.

- Jeśli nie przemawiają do pani takie argumenty, proszę zastanowić się nad moją sytuacją. Może to panią zdziwi, ale poczucie honoru nie jest mi kompletnie obce. - Uśmiechnął się cynicznie. - Za nic nie chciałbym, aby oskarżano mnie o uwiedzenie niewinnej panny i zrujnowanie jej życia. Mam swoją dumę, powinna to pani rozumieć.

- Hm... O tym nie pomyślałam...

- Proszę więc zrobić to teraz. Nie tylko pani ucierpiałaby wskutek tego, co się stało.

- Przecież pan już ma reputację... - Ugryzła się w język.

- Aha, rozumiem - powiedział cicho. - Czyli nawet pani, mimo zamknięcia w Torrington Hall, poznała fatalną opinię o mnie. Czy oczekuje pani, że ją potwierdzę? Jedna panna więcej, jedna mniej, co

za różnica. Może powinienem panią uwieść i porzucić wyłącznie po to, by uwiarygodnić plotki?

Cóż, jestem łajdakiem, a moja propozycja małżeństwa to dla pani zwykła obraza.

Nie znalazła odpowiedzi na tę gorzką ironię, więc po prostu siedziała ze zwieszoną głową, targana sprzecznymi uczuciami. Gdy przez dłuższą chwilę markiz też milczał, odważyła się na niego spojrzeć. Złość już go opuściła, nie potrafiła jednak odczytać z twarzy, co zajęło jej miejsce. W każdym razie wydał jej się w tej chwili zdumiewająco bezbronny.

- I co, panno Hanwell?

- Cóż, chyba muszę przyjąć pańskie oświadczenia, milordzie. Postaram się być przykładną żoną. - Aż trudno jej było uwierzyć, że z jej ust płyną takie słowa.

- Zdziwiał mnie pani. Do tej pory stanowczo spierała się ze mną i była głucha na głos rozsądku.

- Milordzie, nigdy nie...

- Więcej słów nie trzeba. Proszę tu podejść. - Gdy posłusznie spełniła jego życzenie, odwrócił ją ku światłu i trzymając lekko pod brodą, pierwszy raz przyjrzał jej się z uwagą. Młoda i gładka skóra, nieco pobladła wskutek ostatnich przeżyć. Wyraźnie zaznaczone, ciemne brwi miały ten sam odcień co niesforne włosy. W niezwykłych oczach o kolorze fiołków odbijały się wszystkie uczucia, w tej chwili niepewność i onieśmienie, choć markiz widział już w nich gniew i pogardę. Nos miała prosty, podbródek wyrazisty, wargi

niezbyt szerokie, o płynnej linii. Nie zaliczała się do piękności, należało się jednak spodziewać, że w Londynie zdobędzie nieco ogłady. Może więc nie była to najgorsza decyzja, jaką podjął w życiu.

- Proszę na mnie spojrzeć - zażądał, a gdy poddała się jego woli, wsunął dłoń w jej włosy i spróbował ją pocałować, acz niezbyt namiętnie.

Nie poddała się jednak konwenansowi, nie odegrała narzeczeńskiego pocałunku, a gdy markiz wyprostował się, nabrała tchu, zbierając się do protestu.

Delikatnie położył jej palec na ustach.

- Muszę prosić o wybaczenie, jeśli panią zawiodłem. Czy naprawdę jest pani rozczarowana, Frances? Wydawało mi się, że moglibyśmy przypieczętować nasze porozumienie w bardziej poufały sposób, nawet jeśli małżeństwo zawieramy z rozsądku. Co pani na to?

Nie była jednak w stanie sformułować sensownego zdania, wściekła i na markiza, i na siebie, że nie potrafi mu wygarnąć, co sądzi o mężczyznach, którzy rzucają się na bezbronne kobiety, nawet takie, które właśnie przyjęły oświadczenia.

- Niech pan mnie puści! - Odepchnęła go mocno, przypominawszy sobie upokarzającą sytuację w powozie.

Niestety jej zmieszanie go rozbawiło, bo wybuchnął śmiechem i pochylił się nad nią ponownie. Tym razem jego pocałunek był znacznie gorętszy i Frances szybko przestała stawiać opór, mimo że instynkt nakazywał jej zachować rozsądek. Nagle jednak markiz się od niej odsunął.

Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. W głowie miała jeden wielki zamęt. Czy naprawdę mogła poślubić tego człowieka wbrew wszelkim wcześniejszym zamiarom? Gdy o tym myślała, przenikał ją dreszcz. Naturalnie rozumiała, że odniesie z tego związku korzyści. Uwolni się spod władzy stryja, w dodatku bez szkody dla swojej reputacji, a jako markiza Aldeborough zyska nieograniczony dostęp do towarzystwa... Cóż za nieprawdopodobna perspektywa! I co, u licha, pomyśli sobie rodzina jej... męża?

Zatopiła się w myślach, a Aldeborough spokojnie czekał z uśmiechem błakającym się na wargach.

- Powinnam chyba wyraźnie panu powiedzieć, że mój stryj nie da pozwolenia na to małżeństwo - odezwała się w końcu ze spokojem, który zaskoczył ją samą. - Czy to stanowi problem?

- Można go rozwiązać za pomocą specjalnej licencji - stwierdził niefrasobliwie. - Mamy biskupa w rodzinie, niech więc się na coś wreszcie przyda. Wszystko będzie można załatwić dyskretnie i szybko.

- Dziękuję. I jeszcze jedno. - Nie była pewna, czy może sobie pozwolić na taką zuchwałość.

- Co znowu, panno Hanwell? Trudno jest panią zadowolić, z pewnością jednak i z tym kłopotem się uporamy.

- Wciąż pan się ze mnie śmieje, milordzie. To nie jest miłe - odparła kwaśno. - A chodzi o to, że nie poślubię pana w tej sukni.

- Czyli muszę coś na to zaradzić, prawda? Zamrugwała, zdziwiona tak zwyczajną reakcją na jej żądanie.

- Na pewno trzeba dać pani kilka dni na przygotowania. Jest jednak warunek. Obieca pani, że nie będzie już próbowała ucieczki.

- A jeśli? - Pobrzmiwająca w jego głosie pogroźka znów obudziła w niej bunt.

- Inaczej będę musiał panią trzymać pod kluczem aż do mego powrotu.

Nie miała wątpliwości, że markiz jest gotów wypełnić tę groźbę.

- To nie będzie konieczne. - Westchnęła zrezygnowana, uznając przewagę przeciwnika. - Poślubię pana. I nie ucieknę.

- Dziękuję. - Opróżnił szklaneczkę brandy. - Ulżyło mi. Proszę teraz iść spać, panno Hanwell. To był długi i męczący dzień.

Rozdział czwarty

- Aldeborough! Nareszcie! - Głos brzmiał gładko i zimno jak schłodzona śmietana. - Spodziewałam się twojego powrotu przez cały ostatni tydzień. Jak mogłeś opuścić przyjęcie u Vowchurchów? Ze słów Matthew wnoszę, że byłeś w Priory.

Lady Beatrice, markiza wdowa Aldeborough, nienawidząca każdej chwili, odkąd przestała sprawować niepodzielne rządy w rodzinie Laffordów po śmierci męża, odłożyła tamborek i wstała z krzesła w swym salonie, zdominowanym przez kolory kremowy i złoty. Bez cienia uśmiechu poczekała, aż syn się zbliży, wyciągnęła na powitanie wypielęgnowaną dłoń. Szczupła, o śniadej cerze, była

ubrana w wykwintną kremową suknię, idealnie współgrającą z otoczeniem. Nie ulegało wątpliwości, po kim Hugh odziedziczył rysy i karnację. Markiza miała również te same szare oczy, w tej chwili utkwione we Frances, która dość niepewnie weszła za Aldeborough.

Hugh uhonorował matkę cmoknięciem w policzek, jak nakazywał synowski obowiązek, ale brak ciepłych uczuć między nimi rzucał się w oczy tak samo wyraźnie, jak nieodwzajemniony przez wdowę uścisk.

- A któż to jest?

- Byłem w Priory, matko, o czym dobrze wiesz. Musiałem załatwić pewne niezbędne sprawy w majątku. - Odwrócił się do Frances, która ośmieliła się postąpić od progu ledwie o krok, przepelniały ją bowiem złe przeczucia. - Chcę przedstawić ci pannę Frances Hanwell. - Ujął ją za rękę i pociągnął za sobą. - Panna Hanwell, matko, niedawno została moją żoną.

W pokoju zapadła kompletna cisza. Frances z całej siły trzymała za rękę Aldeborough. Dygnęła grzecznie, ale nigdy chyba nie czuła się tak osamotniona, jak podczas tych skrupulatnych oględzin dokonywanych przez oburzoną damę. Miało się wrażenie, że temperatura w salonie spadła poniżej zera.

- Wybacz mi, Hugh. - Milady całkowicie zignorowała Frances. - Czyżbym się przesłyszała? Powiedziałeś, że to twoja żona?

- Tak, matko. Wzięliśmy ślub trzy dni temu w Priory.

- Ach, tak... Kto to jest? - Jeszcze raz zmierzyła Frances od stóp do głów lodowatym spojrzeniem i najwyraźniej nie znalazła niczego zgodnego z jej upodobaniami.

- Jej opiekunem jest wicehrabia Torrington. Poznałem ją w Torrington Hall.

- Czyżby? - Usta markizy utworzyły niemal linię prostą. - Doprawdy, trudno mi to pojąć, Aldeborough. Zawarłeś małżeństwo w tak pokątny sposób?! Mogłeś przynajmniej uszanować moją pozycję. Pomyśl, co to będzie za skandal, ile plotek! Jak spojrzę w oczy lady Grosmont na jej dzisiejszym wieczorku? - Aż pobladła z gniewu. - Jako matka miałam chyba prawo oczekiwać odrobiny szacunku?

- Nie będzie skandalu, matko - stwierdził Hugh z niewzruszonym chłodem. - Gdyby ktokolwiek próbował czynić jakieś uwagi, zapewnisz, że już dawno zawarliśmy z Frances umowę, a cichy ślub na wsi wzięliśmy z przyczyn rodzinnych.

Śmierć dalekiego krewnego na pewno wystarczy, jeśli ktokolwiek okaże się na tyle źle wychowany, że będzie domagał się ujawnienia powodu.

- Tego ode mnie oczekujesz? Wiedz więc, że nie życzę sobie w żaden sposób wspierać tego niefortunnego związku.

- Oczekiwałem cieplejszego przyjęcia mojej małżonki - stwierdził Aldeborough spokojnie, choć w jego słowach kryła się przestroga, którą jednak matka zlekceważyła.

- Richard zawsze brał pod uwagę moją opinię przed podjęciem ważnych decyzji. Zdawał sobie sprawę ze swojej pozycji dziedzica i postępował z dużą rozwagą. Miałam prawo oczekiwać, że i ty...

- Ten tok rozumowania nie przyniesie żadnych korzyści - przerwał jej brutalnie Hugh.

- A Penelope? Co ona sobie pomyśli?

- Nie rozumiem, co wspólnego mogłaby mieć panna Vowchurch z moim małżeństwem - stwierdził zimno.

- Bardzo wiele. Spodziewała się twoich oświadczeń. Po śmierci Richarda rozumiało się samo przez się...

- Nawet jeśli się rozumiało, to ja tego nie rozumiałem. Nigdy nie poczyniłem wobec panny Vowchurch żadnego gestu i nie zająknąłem się słowem, które mogłoby wskazywać, że zamierzam jej się oświadczyć.

- Dla naszych rodzin zawsze było to oczywiste. Po śmierci Richarda nie podjąłeś żadnych kroków, by zakończyć zażyłość z Penelope. Co więc mogliśmy sądzić? A teraz poślubiłeś tę... tę osobę. Któż to jest?

Frances miała wrażenie, że stoi na scenie, gdzie nie ma dla niej roli. Nie ulegało wątpliwości, że matka i syn są w fatalnych stosunkach, a jej obecność sprowokowała kolejne starcie.

Ogarnęła ją czarna rozpacz. Ileż naiwności wykazała, żywiąc nadzieję, że lady Aldeborough spokojnie czy choćby obojętnie przyjmie ten pożałowania godny układ. Rzeczywistość okazała się jeszcze gorsza od jej złych przeczuć.

- Jakieś nic bez pensa przy duszy, które zastawiło na ciebie sidła
- kontynuowała swoją diatrybę milady, jakby Frances wcale przy tym nie było. - Jak mogłeś! Czy nie ma sposobu na unieważnienie tego małżeństwa? Albo na jego rozwiązanie? - zakończyła z furją.

Na twarzy Frances wykwitł delikatny rumieniec. Pośpiech i niewygodna w podróży podjętej natychmiast po ślubie sprawiły, że nie mieli dotąd z markizem okazji, a i chęci zapewne też, do nawiązania intymnych stosunków. To zresztą, jeśli zważyć na wszystkie okoliczności, bardzo ją cieszyło, zarazem jednak było prostym powodem do zakończenia mariażu. Czy mąż pod wpływem markizy nie skorzysta z tego?

- Nie, matko. Nie ma takiej możliwości. Twoja sugestia jest w najwyższym stopniu obraźliwa i dla mojej żony, i dla mnie. Powinnaś lepiej ważyć słowa, zanim znowu coś powiesz. - Zwrócił się do Frances. - Proszę mi wybaczyć, żono. Wolałbym oszczędzić ci tego wszystkiego, ale było to nieuniknione.

- Zaprowadził ją do krzesła przy oknie. - Spocznij, proszę, na chwilę.

Wrócił do matki na dalszy dyskurs, Frances zaś zaczęła rozpamiętywać wydarzenia ostatnich dni. Obrazy z kościoła w Priory były jak sen. Stała w szarym świetle poranka przy ołtarzu, pastor na mocy specjalnej licencji udzielał im ślubu, a jako świadkowie wystąpili sir Ambrose i żona pastora. Nie było kwiatów ani muzyki, tylko surowe normañskie kolumny i przenikliwy chłód starych kościelnych murów. Ten chłód zapamiętała dobrze. Ledwie złożyli

przysięgę i Aldeborough obowiązkowo cmoknął ją w policzek, a już znaleźli się w powozie i rozpoczęli długą, nużącą podróż. Pełen życzliwości sir Ambrose wręczył jej bukietik żółtych kwiatów i, nazywając ją lady Aldeborough, złożył pocałunek na jej dłoni. Jego zachowanie trochę ją pokrzepiło, choć jeszcze teraz trudno jej było uwierzyć, że to wszystko stało się naprawdę.

Markiz był słowny. Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie cudownej niczym z sennych marzeń ślubnej szaty, którą jej przywiózł. Uszyta z żonkilowej tafty, z modnie podwyższoną talią, niepokojąco głębokim dekoltem i niewielkimi bufkami na długich rękawach, cechowała się wytwornością nieznaną dotąd Frances. Stanik był odrobinę za obszerny, ale niewielkie poprawki wystarczyły, by kłopot przestał istnieć, a wykończenie jedwabnymi falbanami u dołu zamaskowało nadmierną długość spódnicy. Prosty atlasowy czepek z żółtymi tasiemkami, podkreślający ciemny odcień włosów, dopełniał stroju. Frances bez żalu pożegnała się z suknią po stryjence i poplamioną narzutką.

Dostała nie tylko suknię, lecz również piękne rękawiczki z kozłej skórki i dopasowane do nich pantofelki, by nie wspominać koszulek, halek i jedwabnych pończoch. Lekko się zarumieniła na myśl o tym, że markiz wybierał dla niej bieliznę. I wcale niełatwo było mu podziękować. Zbagatelizował to jako sprawę nieistotną. Teraz jednak była mu głęboko wdzięczna za przezorność. Podczas jakże przykrych oględzin lady Aldeborough nagle okazało się ważne dla Frances, że ma na sobie elegancką peliszkę z niebieskiego aksamitu

podbitą szarym futerkiem, a do tego jedwabny czepek przyozdobiony fantazyjnie zakrzywionym strusim piórem, wszystko zgodne z ostatnimi kanonami mody.

Jako posiadaczka nowych kreacji czuła się osobą wyróżnioną przez los, ale to, co zobaczyła w domu, który teraz był również jej domem, zaparło jej dech w piersiach. Pierwsze wrażenie było wprawdzie pobieżne, ale i tak wystarczyło, by mogła docenić styl i wytworność tego miejsca. Stojąca w doskonałym punkcie miasta kamienica przy Cavendish Square, z kamiennie-ceglaną fasadą i frontonem nad kolumnowym wejściem, do którego prowadziły wspaniałe schody obramowane żeliwnymi balustradami, musiała wyrzeć wielkie wrażenie.

Westchnęła i ponownie zaczęła się przysłuchiwać wymianie zdań między synem a matką.

- Co powiedziała by ojciec, wolę nawet nie myśleć. A biedny Richard...

Frances nie dowiedziała się jednak, jak skomentowałby mariaż brata Richard, ponieważ drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju wpadł młody człowiek. Nie ulegało wątpliwości, że więcej było w tym wtargnięciu energii niż elegancji.

- Matthew! Może wchodziłbyś do mojego salonu w bardziej stosowny sposób? Twój brat i ja prowadzimy prywatną rozmowę.

- Wybacz mi, matko. Słyszałem, że Hugh wrócił. - Matthew wcale nie sprawiał wrażenia skruszonego, a karcące słowa spłynęły po nim bez śladu. - Czy to prawda? - Uśmiechnął się od ucha do ucha i z

entuzjazmem uściskał brata. - Spotkałem w mieście Mastersa, który wszystko mi powiedział.

- No tak... I co powiedział ci Masters? Zresztą, braciszku, nie jest to najlepszy moment na roztrząsanie tego tematu.

Niestety ostrzeżenie nie zrobiło najmniejszego wrażenia na Matthew.

- Podobno sprzątnąłeś Torringtonowi spod samego nosa bratanicę i uwiodłeś ją, żeby położyć rękę na jej spadku.

Markiza wdowa ponownie zajęła miejsce na krześle i rzekła ponuro:

- To znaczy, że jest jeszcze gorzej, niż sądziłam. Coś ty narobił, Aldeborough?

- A więc to prawda? - dopytywał się Matthew.

- Naturalnie. Czyżbyś wątpił, że jestem zdolny do takiego haniebnego postętku? Nawet ty w to wierzysz, braciszku.

Matthew wyraźnie skonfundowało rozgoryczenie brata. - Wyobraź sobie, że nie. Nie wierzę. Czyżbyś żartował? A jeśli jednak nie, to gdzie ona jest?

- Za twoimi plecami. Zwróć uwagę na jej przerażenie, dostrzeżesz też ślady przymusu stosowanego z najwyższym okrucieństwem. Musiałem uciec się do najdrastyczniejszych środków, aby przekonać ją, że małżeństwo ze mną to atrakcyjna propozycja.

- No tak, oczywiście. - Matthew wyszczerzył zęby w uśmiechu, zadowolony, że brat już się nie złości, zarazem jednak poczuł się mocno zakłopotany, gdy odwrócił się ku wnęce okiennej.

- No, teraz lepiej. Chodź, poznasz moją żonę. Nawet nie śmiem pomyśleć, jakie wrażenie na niej wywarłeś - stwierdził Aldeborough oschle, nie ukrył jednak do końca rozbawienia wywołanego zmieszaniem brata. Podeszedł do Frances, pomógł jej wstać i zaprowadził na środek pokoju.

- Milady, to jest mój niewdzięczny braciszek Matthew, który uważa, że siłą wymogłem na tobie uległość. Masz moje pozwolenie, by traktować go jak powietrze, jeśli taka twoja wola.

- Proszę tego nie robić. Nie chciałem postawić pani... ciebie... w kłopotliwej sytuacji. Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać. - Ciepły uśmiech rozjaśnił jego oblicze.

Frances odpowiedziała uśmiechem na spontaniczne powitanie szwagra. Szczupły, lecz atletycznie zbudowany, wyglądał tak, jakby dopiero co wyrósł z wieku, w którym różne części ciała kompletnie do siebie nie pasują. Chłopak, który właśnie wchodzi w wiek męski. Miał jaśniejszą karnację niż Hugh, niebieskie oczy i pogodną twarz, która natychmiast wzbudziła zaufanie Frances. Z jego zachowania należało wnosić, że nie uznaje autorytetu matki ani brata, a strój świadczył o pasji eksperymentowania w dziedzinie mody. Fular zadziwiał obfitością fałd i marszczeń, a kamizelka w paseczki wywołała niekłamany uśmiech na twarzy markiza.

- I cóż ostatnio porabiasz poza tym, że wystroiłeś się jak dandys?
- spytał. - Pewnie nic dobrego, jak zwykle?

- Skądże znowu. Nie mam żadnych długów i nie wywołałem najmniejszego skandalu. Potrafisz to docenić, Hugh? I czy przypadkiem nie zmieniłeś zdania co do kupna patentu oficerskiego?

- Zdecydowanie nie!

- Wygląda jednak na to, że wojna z Bonapartem wcale się jeszcze nie skończyła.

- To prawda, lecz będziemy musieli ją prowadzić bez ciebie. Przynajmniej do czasu, aż przybędzie ci jeszcze parę lat.

- Tymczasem wojna się skończy, więc rozważ może moją prośbę jeszcze raz.

- Pomyślę o tym, ale nie rób sobie zbyt wielkich nadziei. Niewątpliwie była to wielokrotnie przećwiczona wymiana zdań. Niezrażony Matthew zmienił taktykę.

- Powiem ci też, że dostarczono wczoraj konia, którego kupiłeś od Strefforda. Wspaniały wierzchowiec. Może pójdziemy go obejrzyć?

- To wspaniały pomysł, żebyście poszli do stajni, jeśli chcecie porozmawiać o koniach - wtrąciła lady Aldeborough, zdecydowana odzyskać panowanie nad sytuacją. Wstała i starannie udrapowała szal na ramionach. - Będę miała dzięki temu okazję nieco lepiej poznać twoją żonę, Pogawędzimy sobie przy herbacie, prawda, moja droga?

- Naturalnie. - Frances oczywiście nie zwiodły uprzejme słówka teściowej. To tylko maska, pod którą kryła się pełna jadu złość.

- Czy to ci odpowiada, milady? - Hugh dał jej szansę odegrania roli tchórza, ale ona nie zamierzała z niej skorzystać.

- Oczywiście, milordzie.

- A więc dobrze. Matthew, prowadź mnie do konia. I zanim spytasz, powiem ci, że nie możesz na nim jeździć. Niedługo wrócę. - Na pokrzepienie przesłał żonie uśmiech i śladem brata opuścił salon.

Frances została sam na sam z teściową. Wiedziała, że nie może sobie pozwolić na okazanie żadnej słabości, a tym bardziej nie wolno jej dać się zastraszyć. Lady Aldeborough z pewnością nie liczyła się z porażką.

- Panno Hanwell. Och, proszę mi wybaczyć... Wciąż nie mogę uwierzyć, że naprawdę zawarłaś małżeństwo z moim synem. - Słyszając ten cukierkowy ton, Frances miała ochotę krzyknąć ze złości. - Proszę usiąść koło mnie. Zadzwoń, aby podano nam herbatę. Może zechcesz mi coś o sobie opowiedzieć.

Markiza wdowa uśmiechała się, ale był to uśmiech w najwyższym stopniu wymuszony. Frances z kolei starała się nie okazywać żadnych emocji. Wiedziała, że nie zaskarbi sobie życzliwości apodyktycznej damy.

Wejście służby z herbatą dało jej jakże potrzebną chwilę wytchnienia.

- No, to możemy trochę poplotkować jak kobieta z kobietą - powiedziała markiza wdowa, gdy zostały same. Frances zmartwiała, przeczuwała bowiem kierunek, w jakim potoczy się rozmowa. - Proszę opowiedzieć mi o swojej rodzinie. Czy mam przyjemność ją znać?

- Jestem bratanicą wicehrabiego Torringtona, który jest zarazem moim opiekunem.

- Czyli twoi rodzice nie żyją?

- Tak.

- Bardzo mi przykro. Wydaje mi się, że nigdy nie spotkałam cię ani w Londynie, ani na żadnym wiejskim przyjęciu. Czyżbyś nie została przedstawiona w towarzystwie?

- Przez cały czas mieszkałam na wsi, w majątku stryja. Nastąpiła chwila przerwy. Markiza wdowa porządkowała uzyskane informacje.

- Może masz innych żyjących krewnych? - ponowiła indagację.

- Obecny hrabia Wigmore jest bratankiem mojej matki.

- Doprawdy? Naturalnie znam tę rodzinę, choć niezbyt blisko, ale o twoim istnieniu nigdy nie słyszałam.

- Nie utrzymujemy bliskich kontaktów. - Frances była zdecydowana nie dawać więcej powodów do jakichkolwiek domysłów.

- No tak... Powiedzmy sobie jasno, moja droga. - Markiza wdowa spojrzała karcąco na synową. - Jestem głęboko rozczarowana takim obrotem wydarzeń. To nieuczciwe, sama to pewnie rozumiesz. A jeśli chodzi o wnioski, jakie wyciągnie dla siebie świat z tych plotek o uwiedzeniu...

- Nie było żadnego uwiedzenia. Nie zrobiłam niczego wbrew swojej woli.

- Jakkolwiek wygląda prawda, i tak jest wstrząsająca. Ślub markiza Aldeborough, mojego syna, powinien się odbyć w obecności

całego towarzystwa. Prawdziwe wydarzenie sezonu. A zamiast tego...

- Pogardliwie wzruszyła ramionami.

Frances nie znalazła dobrej odpowiedzi. Uniósłszy filiżankę do warg, czekała więc w milczeniu na następny atak, który zaraz nastąpił.

- Och, nieraz już żałowałam, że Richard nie żyje.

- Richard?

- Mój syn. Mój pierworodny. - Markiza wdowa z melancholijnym westchnieniem wskazała elegancki portret nad kominkiem.

- Doskonale uchwycone podobieństwo. Ten obraz powstał kilka miesięcy przed jego śmiercią.

- Przykro mi. Nie wiedziałam.

- Richard był wszystkim, o czym może marzyć matka. Obowiązek i lojalność wobec rodziny zawsze stawiał na pierwszym miejscu. Bardzo różnił się od Hugh. Nie powinien był umrzeć. - Zaczęła manipulować elegancką koronkową chusteczką przy oczach.

Frances z zainteresowaniem przyjrzała się portretowi. Młody człowiek bardzo przypominał jej męża. Wszyscy Laffordowie mieli ten sam prosty nos, te same ciemne brwi i to samo bezpośrednie spojrzenie. Richard dzielił z bratem śniadą karnację, ale portret podkreślał też pewną różnicę między nimi. W przymkniętych oczach czaił się bowiem zawadiacki błysk, a na twarzy gościł szelmowski uśmiech. Na drugim planie widniały zabudowania Priory, a Richard siedział w swobodnej pozie wśród drzew, trzymając opartą na ramieniu dubeltówkę, obok zaś przysiadł myśliwski pies. Malarzowi bez wątpienia nie brakowało talentu, zdołał uchwycić żywołość

osobowość młodego markiza i jego uwielbienie dla życia. Frances odniosła wrażenie, że Richard w każdej chwili mógłby wystąpić z ram obrazu. Wprawdzie nigdy go nie poznała, ale i tak trudno jej było uwierzyć, że nie żyje. Cóż za straszna tragedia! Nic dziwnego, że matka wciąż nie otrząsnęła się z żałoby.

- Czy... czy to był wypadek? - spytała, by przerwać niezręczne milczenie.

- Niektórzy mogliby wysuwać podobne sugestie, aby ukryć przed światem prawdę, ale jego śmierć przyniosła korzyść Hugh, i to jest fakt oczywisty dla wszystkich. Serce mi pęka, kiedy o tym myślę.

Frances powątpiewała jednak, czy ta starsza dama w ogóle ma serce.

- Jest również Penelope - stwierdziła z niekłamanym żalem teściowa. - Piękna i elegancka, mająca doskonałe koligacje, stosowna dla niego pod każdym względem. Byłaby wspaniałą markizą. Można powiedzieć, że właśnie po to przyszła na świat.

- Rozumiem, że to dla niej poważne rozczarowanie.

- Penelope cechuje godna najwyższej pochwały powściągliwość, choć od dawna miała nadzieję, że w swoim czasie zostanie moją synową. Teraz wszystko się zmieniło. Nie wiem, czy znajdę odwagę, żeby jej o tym powiedzieć. Hugh naturalnie niewiele to obchodzi. Zawsze był samolubny i robił wszystko na pokaz. Swoim wstąpieniem do wojska podczas kampanii hiszpańskiej zabił ojca. - Zdawała się skłonna obwinić syna o wszystkie możliwe nieszczęścia.

Frances poczuła się w obowiązku stanąć w jego obronie.

- Nie zauważyłam, żeby był samolubny.

- Nie umiem wyobrazić sobie niczego bardziej poniżającego, niż zostać uwiedzioną czy uprowadzoną, czy jak tam wygląda prawda w waszym przypadku, bo wciąż nie dostałam zadowalającego wytłumaczenia tego epizodu. I dla mnie trąci to wyjątkową samolubnością.

- Szczerze mówiąc, to nie była jego wina. Mój mąż... - Markiza wdowa aż się wzdrygnęła, słysząc w ustach Frances te słowa - traktuje mnie z największą troską. Dopilnował, żeby na niczym mi nie zbywało w czasie podróży. Rozumiem, że to małżeństwo nie spełnia pani nadziei, ale Aldeborough potraktował mnie tak po rycersku, że nie mogę podzielić pani krytycznej opinii.

- Tak czy owak, nie znasz dobrze mojego syna. Skoro jednak go poślubiłaś, wkrótce dowiesz się o nim całej prawdy. Mam nadzieję, że nie pożałujesz wtedy swojej decyzji. Powiedz mi, czy wniosłaś do tego związku pieniądze? To przynajmniej byłaby jakaś korzyść.

Zastanawiała się, w jaki sposób przedstawić najkorzystniej kwestię spadku, na szczęście w tej chwili powrócili Hugh i Matthew. Opowiadali sobie jakieś facecje i twarz męża całkowicie pochłonęła uwagę Frances. Jeszcze nigdy nie widziała go tak swobodnego. Błysk ożywienia w oczach i szeroki uśmiech miały nieodpartą moc. Uznała, że istotnie musi się jeszcze wiele o nim dowiedzieć. I o Richardzie również.

Uśmiech pozostał na twarzy Hugh, gdy zbliżał się do niej.

- Widzę, że przeżyłaś - stwierdził ironicznie. - Wiedziałem, że dasz sobie radę.

- Naturalnie. - Frances dumnie uniosła podbródek i spojrzała mu prosto w oczy. - Twoja matka i ja miałyśmy przyjemność... wymienić poglądy na niektóre sprawy. Nabrałam poczucia, że dobrze się rozumiemy.

Uniesione brwi Aldeborough wystarczyły za cały komentarz do słów żony.

Tego wieczoru do niej przyszedł.

Cicho zapukał i wszedł do błękitnej sypialni, w której Frances miała mieszkać do czasu, aż sypialnia przylegająca do jego pokoiów zostanie wysprzątana i odpowiednio wyposażona.

Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem. Przystanął na chwilę w napięciu, wnet jednak z niepewnym uśmiechem ruszył naprzód po miękkim dywanie z Aubusson.

- Nie rób tego, Molly. Ufam, że mimo wszystko nie planujesz następnej ucieczki. Tu jest wysoko i nie mogę zagwarantować ci bezpieczeństwa, a kamienne płyty nie znają litości.

Cofnęła się od otwartego okna, przez które wychylała się na dwór, by ochłodzić rozpaloną twarz. Rumieniec zalał jej policzki, w ustach zrobiło się sucho, a serce zabiło szybszym rytmem.

- Nie planuję, ale nie miałbyś prawa mnie winić, gdyby było inaczej. I proszę, nie nazywaj mnie Molly.

Zamknął okno, dając jej czas na odzyskanie równowagi.

- Pokojowa nie przyszła ci pomóc w rozbieraniu się? Trzeba było na nią zadzwonić. - Wskazał zdobioną haftem taśmę od dzwonka przy kominku.

- Odesłałam ją... Nigdy nie korzystałam z pomocy służącej. Chyba to rozumiesz? - Przelotnie dojrzała swoje odbicie w lustrze toaletki. Sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej. Pod oczami miała cienie, blada skóra stała się niemal przezroczysta. W dodatku obecność Aldeborough bardzo ją zakłopotowała.

- Mówiłam, że popełniasz błąd, decydując się na małżeństwo ze mną. - W jej głosie słychać było znużenie. - Twoja matka mnie nienawidzi. Z wielką satysfakcją rozpowie po całej rodzinie i wśród przyjaciółek, że jestem zwykłą łowczynią majątku, pozbawioną jakiegokolwiek stylu, talentów i prezencji. Ujął ją za ramiona, a potem ostrożnie zaczął wygładzać kciukiem bruzdki, jakie napięcie wryło na jej czole. Minę miał jednak posepną.

- Przepraszam, to był dla ciebie trudny dzień. Powiniennem był najpierw porozmawiać z matką w cztery oczy, choć niewiele by to zmieniło. Muszę wyznać, że jestem z ciebie dumny. Zachowałaś godność i opanowanie w bardzo trudnej sytuacji. Na pewno nie przyszło ci to łatwo.

Zamrugła powiekami, zaskoczona tym komplementem.

- Jeśli będziesz dla mnie taki dobry, to zaraz się rozplaczę. Uśmiechnął się ciepło.

- Dziękuję za ostrzeżenie. Nie chcę, żebyś płakała. Jeśli choć trochę cię to pocieszy, to wiedz, że matka również i mnie niezbyt lubi.

- To akurat marna pociecha - odparła zgryźliwie. - Nie oczekiwałam powitania z otwartymi ramionami, ale nie sądziłam też, że stanę się przedmiotem publicznej krytyki i potępienia za wszystkie braki w pochodzeniu i wychowaniu. I nie ręczę za siebie, jeśli jeszcze raz będę zmuszona wysłuchać listy cnót i talentów panny Penelope Vowchurch. - Całkiem udatnie zaczęła parodiować lady Aldeborough: - Czy umiesz śpiewać, Frances? Nie? No tak, Penelope jest bardzo uzdolniona muzycznie. Jej śpiewu słucha się z prawdziwą przyjemnością, a jak wspaniale gra na fortepianie! Może więc umiesz malować? Nie? Penelope naturalnie... Czy ona ma jakiegokolwiek skazy charakteru?

Aldeborough roześmiał się dość sztucznie.

- Nie przejmuj się moją matką. Ona nie myśli nawet połowy tego, co mówi.

- Miło mi to słyszeć, choć trudno w to uwierzyć. Mogłeś mnie zawczasu ostrzec - wybuchnęła.

- Proszę na mnie nie krzyczeć. - Mocniej zacisnął palce na jej ramieniu.

- Czemu nie? - Uwolniła się z bolesnego uścisku palców, ale natychmiast pożałowała swojej gwałtowności. - Proszę mi wybaczyć, za dużo miałam mocnych przeżyć. Jutro będę jak nowa. Naprawdę jestem ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś - dodała sztywno.

- Nie potrzebuję twojej wdzięczności - odparł szorstko.

Podeszła do lustra i zaczęła wyjmować atlasowe wstążki, niezbyt wprawnie wplecione we włosy. Była świadoma, że Aldeborough śledzi każdy jej ruch. Narastało pełne napięcia milczenie, w końcu postanowiła je przerwać.

- Trudno mi nie wyrażać wdzięczności, skoro dałeś mi to, czego nigdy nie miałam.

- Jeszcze niczego ci nie dałem.

- Stroje. To wszystko. - Wskazała meble z gustownymi niebiesko-srebrnymi obiciami, eleganckie łóżce z zasłoną, ogień płonący w kominku. - Bogactwo. Tytuł. Pozycję. Czego więcej mogłabym chcieć? - Z goryczą uświadomiła sobie, że dla niego nie ma w tym niczego nadzwyczajnego.

- Zaraz mi powiesz, że wolałabyś wrócić do Torrington Hall i poślubić Charlesa - rzucił z gryzącą ironią.

- Nie. Och, nie! Gdybym tak powiedziała, bardzo bym skłamała.

- Lubię twoją szczerość - przyznał łagodnym tonem. - Chciałbym ci coś podarować. To osobisty drobiazg. - Wręczył jej oklejone aksamitem puzderko. Aksamit był wytarty na rogach, a zapięcie ułamane. Pośrodku wieczka widniał złoty herb. - Proszę potraktować to jako prezent ślubny. Wszystkie pamiątki rodzinne i całą biżuterię wciąż trzyma moja matka. Dopilnuję, abyś dostała klejnoty, które będą ci pasować. O ile pamiętam, jest tam trochę ładnych kolczyków i kompletów z pereł. To natomiast stanowiło własność mojej babki i od niej dostałem ten drobiazg dla przyszłej żony. Jest trochę staromodny

i niezbyt kosztowny, ale pełen uroku i mam nadzieję, że będziesz chciała go nosić, póki nie postaram się o coś lepszego.

Otworzyła puzderko i na spłowiałej jedwabnej wyściółce zobaczyła owalny srebrny medalion z kunsztownym łańcuszkiem. Musiał być bardzo stary, rzemieślnik wykonał go z wielką pieczołowitością. Z wierzchu ozdobił go rollwerk i ornamenty kwietne. Środki kwiatów zaznaczono szafirkami. Otworzyła medalion. Wewnątrz znajdowało się wolne miejsce na miniaturę, a na dnie wygrawerowano napis: „Moja ukochana należy do mnie”.

- Piękny - szepnęła, ostrożnie przesuwając palcem po linii rollwerku. Nie śmiała spojrzeć mężowi w oczy. - Jeszcze nigdy nie dostałam w prezencie żadnej biżuterii.

Wyjął jej medalion z dłoni i zawiesił go na szyi.

- Róże pasują do ciebie, piękna Rosalind. - Dotyk jego palców, gdy zapinał łańcuszek, wywołał w niej dreszcz. Szeroko rozwartymi, ciemnymi oczami pochwyciła jego spojrzenie w lustrze. Skinął głową. - Pięknie wyglądasz. Wśród rodzinnych klejnotów jest szafirowy naszyjnik w odcieniu twoich oczu. - Zawahał się. - Obawiam się jednak, że matka, póki żyje, nie będzie chciała się z nim rozstać.

Medalion znalazł swoje miejsce powyżej jej piersi, w szafirkach załamywało się światło, gdy poruszały się w rytmie oddechu.

Chciała się odsunąć, ale Hugh mocno przytrzymał jej nadgarstek, a drugą ręką odchylił jej głowę i palcem zaczął obrysowywać wargi. Zaparło jej dech, wyczytała bowiem w jego oczach wszystkie zamiary. On tymczasem objął ją, pochylił się i wargami

odnalazł miejsce tuż przy szyi, nieco powyżej medalionu, gdzie wyczuł jej puls.

Przeraziła się, chciała go odepchnąć.

Hugh uniósł głowę. Spojrzenie miał skupione, zaborcze.

- Nie broń się przede mną, Frances.

- Nie bronię się... - szepnęła, gdy znów zaczął okrywać pocałunkami jej szyję. - Nie spodziewałam się...

- Pamiętasz? Nasza umowa jest oparta na wspólnych interesach.

- Z jego głosu biła gryząca ironia. - Tak też będzie. Masz mój majątek i nazwisko. Dopóki będziesz zachowywać dyskrecję, postaram się nie mieszać się do twoich... rozrywek ani zanadto się narzucać. - Serce jej zamarło, gdy wyobraziła sobie taką przyszłość. - Potrzebuję jednak dziedzica. Nie mogą też istnieć podstawy do anulowania małżeństwa, bo twój stryj, w interesie podupadłego majątku Torringtonów, może nie spocząć w swych zamiarach. Chyba że chcesz wpaść w szpony kuzyna Charlesa...

- Milordzie, znam swoje obowiązki - odrzekła, chłodem maskując rozczarowanie.

- Zabrzmiało to w sposób umiarkowanie zachęcający. Sądzę jednak, że powinność żony może dać nieco przyjemności - stwierdził kpiąco. - Czy jako mąż jestem dla ciebie odpychający?

- Nie, milordzie.

Odnalazł jej usta, a jednocześnie uwolnił z reszty wstążek włosy Frances, które opadły na ramiona. Gdy zanurzył w nie rękę, ciesząc się ich miękkością i połyskiem, zwiększył napór ust. Frances

nieśmiało rozchyliła wargi. Po chwili odsunął się nieco, ale tylko po to, by zająć się jej suknią.

- Wygląda na to, że muszę być służącym i kochankiem jednocześnie - szepnął w zagłębienie jej szyi.

Obsypując ją delikatnymi pocałunkami, zręcznie pokonywał kolejne guziczki i sznurówki. Po ciele Frances rozlewało się ciepło, wkrótce też biały muślin w deseń spłynął z niej i ułożył się u stóp. Mogła liczyć jedynie na wyrozumiałość męża dla jej niewiedzy i braku doświadczenia.

Naturalnie wyczuwał jej napięcie, wargami odczytywał lęk panicznie bijącego serca.

- Ufasz mi? - spytał.

- Nie wiem - odrzekła szczerze, pełna jak najgorszych przeczuć.

Wziął ją w objęcia i dłońmi gładził ciało okryte cienką koszulką, pozwolił sobie nawet delikatnie trącić wzgórki piersi. Potem ukląkł u jej stóp, by zdjąć podwiązki. Zsuwając pończochy z kształtnych nóg, pieścił uda, łydki, kostki.

W końcu wstał i zdmuchnął świece, by w mroku Frances poczuła się swobodniej. Jednak wciąż była spięta.

- Boję się - szepnęła.

- Niepotrzebnie.

Chwytał ją na ręce i położył na łożu. Chciał, aby te chwile były dla niej jak najprzyjemniejsze. Szybko się rozebrał, a potem ułożył się obok i zaczął ją całować. Początkowo czule, potem coraz bardziej chciwie upajał się ustami, okrył pocałunkami włosy, twarz i szyję,

wędrując wargami aż do ramion. Nie wyobrażała sobie, że jej zwykle chłodny i opanowany mąż może rozniecić taki ogień. Zadrżała, kiedy odsunął koszulkę i dalej poznawał jej ciało, coraz śmielej i śmielej...

- Zaufaj mi - wyszeptał. - Postaram się, żeby bolało jak najmniej. Teraz!

Mocnym pchnięciem wdarł się do jej wnętrza. Krzyknęła, zaskoczona tą nieoczekiwaną inwazją i poczuciem wypełnienia. Pierwszy raz instynktownie próbowała stawić opór.

- Leż spokojnie - nakazał, ale w tym rozkazie była jedynie wielka czułość.

W końcu zaczęła się odprężyć i poczuła, że Hugh powoli porusza się w niej. Jej mięśnie znów chciały się sprzeciwić temu zaborowi... aż w końcu wtuliła się w męża z całej siły, wbijając mu paznokcie w plecy. Gdy wreszcie pragnienie okazało się silniejsze od woli, przygniótł ją, a jego ciałem wstrząsnął potężny dreszcz. Frances leżała bezsilna w uczuciowej i fizycznej pustce, niesamowite wrażenia stopniowo słabły i odpływały, a ona długo nie była w stanie zatrzymać żadnej myśli. Wreszcie jednak ogarnął ją niepokój. Wiedziała, że Hugh bardzo się starał, że chciał okazać jej wiele czułości, i miała wrażenie, że nie odwzajemniła mu się należycie, że go zawiodła.

On zaś ułożył się, zaborczo ogarniając ją ramieniem. Podobała mu się. Miała szczupłe, jędrne ciało z niedużymi, lecz krągłymi piersiami, i skórę gładszą niż jedwab. Przesunął dłonią po jej plecach i zatrzymał ją na biodrze. Mimo że osiągnął spełnienie fizyczne, nie

czuł się jednak pewnie. To prawda, że Frances go nie odepchnęła, ale nie udało mu się pokonać jej rezerwy.

Tego się nie spodziewał, mimo że brakowało jej doświadczenia. Miała przecież wojowniczą naturę. Nie obawiała się konfrontacji, nigdy nie robiła mu wyrzutów i nie czyniła oręza z łez. Liczył więc, że ich zespolenie da jej przynajmniej trochę przyjemności, a w najgorszym razie nie wyrze żadnego wrażenia. Nie sądził jednak, że tak się od niego oddali, niemal go odrzuci. Uważał się za doświadczonego kochanka, a tu takie fiasko.

Westchnął ciężko i odsunawszy się od żony, chciał wstać, by pozbierać rozrzucone odzienie. Usiadł na krawędzi łóżka, ale zatrzymało go nieśmiałe dotknięcie ramienia.

- Milordzie... - szepnęła. - Czyżbym nie umiała cię zadowolić? Przykro mi, jeśli wydałam się mało pociągająca. Nie wiedziałam jednak.

- Frances. - Jej słowa były bardziej bolesne niż mocne uderzenie. Jak mogła uznać, że nie jest z niej zadowolony?! - Nie myśl tak. Po prostu sądziłem, że chcesz mieć trochę prywatności i będziesz wolała spać sama.

- Proszę mi wybaczyć... - bąknęła głęboko zakłopotana. - Nie chciałam zasugerować... Naprawdę nie zamierzałam się narzucać.

Odwróciła się na drugi bok

Westchnął. Naprawdę powinien był okazać jej więcej ciepła, a tak po prostu ją przestraszył i teraz niewiele już mógł na to poradzić. Ogarnęły go wyrzuty sumienia. Znowu położył się przy niej.

- Chodź do mnie - szepnął.
- Proszę, niech pan nie będzie na mnie zły.
- Dlaczego miałbym być zły? - zdumiał się.

Pieczołowicie otulił ją koszulą, ułożył jej głowę na swoim ramieniu i przykrył ich oboje prześcieradłem. Cicha i delikatna, nie opierała się.

- Wygodnie ci?

Nieznacznie skinęła głową.

- Nie wolno ci myśleć, Frances, że nie potrafisz mnie zadowolić, rozumiesz?

- Tak, milordzie.

- Milady, milord... Dajmy temu pokój.

Wyczuła, że się uśmiechnął. Wtuliła się w niego mocniej.

- Śpij, Frances Rosalind... - Ileż kłopotu z tymi dziewczynkami, pomyślał, choć prawdę mówiąc, nie miał bogatych doświadczeń w tym zakresie. Wyćwiczone miłosne gesty Letitii Winters były o wiele bardziej przewidywalne i nigdy go nie rozczarowały. Przez chwilę wyobrażał sobie apetyczne piersi i kształtne biodra Letitii, a także wprawny i podniecający dotyk jej palców. Wnet jednak położył tamę tym myślom. Zaczął czule głaskać Frances po głowie i nie przerwał pieśczoły, póki jej oddech nie stał się głęboki i miarowy. Z poczuciem, że jest cudownie miękka i ciepła, również zapadł w sen.

Gdy w pokoju zawitał brzask, ocknęła się i przekonała, że męża już obok niej nie ma. Usiadła na łóżku, czując każdy mięsień. Na poduszce pozostał wyraźny odcisk głowy, nie pamiętała jednak, kiedy

Hugh wstał. Jej suknia i halki leżały równo poskładane na krześle, na nich wisiały pończochy, pod spodem stały pantofelki, ale jego odzienie znikło. Nie żałowała tego. Ogarnął ją wstyd, gdy przypomniała sobie, czego domagało się jego ciało. I jeszcze większy z powodu tego, że nie umiała pokonać skrepowania. Pamiętała też jednak czułość męża, jakiej zupełnie się nie spodziewała. Przytknęła dłoń do ust, wspomniała smak pocałunków. A potem podniosła się z nadzieją, że gdy się ubierze, odzyska panowanie nad sobą, zanim przyjdzie jej znowu stanąć twarzą w twarz z mężem.

Rozdział piąty

Frances niepotrzebnie się martwiła. Gdy stary kamerdyner, Watkins, wprowadził ją do pokoju śniadaniowego, nie musiała patrzeć w oczy męża, ponieważ go tam nie zastała. Ku jej wielkiej uldze nie pojawiła się również markiza wdowa. Powitały ją za to przyjacielski uśmiech Matthew i skrupulatne oględziny ze strony ślicznej pani, którą Frances natychmiast rozpoznała, choć dotąd nie widziała jej na oczy. Młoda dama, ubrana w muślinową suknię w deseń z niebieską szarfą debutantki, beztrosko kołysała słomkowym czepkiem. Była podobna do Matthew, chociaż włosy miała jaśniejsze, wpadające w kasztanowy odcień. Cechowały ją młodzieńczy wdzięk, nieposkromiony wigor i figlarne błyski w oczach. A więc to była siostra Aldeborough, która nie potrafiła docenić dobrodziejstw

edukacji, lecz bez wątpienia z entuzjazmem przeżywała swój pierwszy sezon.

- Frances! - Matthew zerwał się od stołu. Jego powitalny uśmiech znacznie poprawił jej nastrój. - To jest Juliet, moja młodsza siostra. Wczoraj wieczorem ciotka Elizabeth zaprowadziła ją na maskaradę, więc jeszcze nie miałyście okazji się spotkać.

- Usłyszałam rodzinne ploteczki, więc wróciłam wcześniej do domu, żeby cię poznać. - Nie ulegało wątpliwości, że Juliet jest niezwykle prostolinijną młodą damą. - Czy to prawda? Czy Hugh z tobą uciekł i potajemnie poślubił bez zgody twojego opiekuna?

Frances spłoneęła rumieńcem, przeklinając w duchu jasną karnację, która natychmiast ujawniała każde jej zakłopotanie.

- Juliet! Muszę przeprosić za braki w manierach mojej siostry, Frances. Ona nie grzeszy taktem. Usiądź, proszę, i napij się kawy. I nie martw się, mama nie opuszcza swojego pokoju przed jedenastą.

Skonsternowana Frances uświadomiła sobie, że pąs na jej policzkach jeszcze się pogłębił.

- Nie chciałam cię zakłopotać. - Juliet spojrzała na Frances z błyskiem w oku, potem zajęła miejsce obok niej i położyła na stole zmaltretowany czepek. - Mnie się to wszystko wydaje bardzo romantyczne.

- To wcale nie było romantyczne, zapewniam.

- Moja siostra czytuje niestosowne powieści, kiedy mama nie widzi - usłużnie wyjaśnił brat.

- Siedź cicho, Matthew! Romantyczny bohater uwozi ukochaną w mrok... niczego równie wspaniałego ostatnio nie czytałam. Nie potrafię, niestety, wyobrazić sobie Hugh w takiej roli, ale pewnie dlatego, że to mój brat. Owszem, uchodzi za przystojnego i dobrze jeździ konno, stanowczo jednak wolę bohaterów o złotych lokach i niebieskich oczach.

Frances roześmiała się beztrzesko.

- Za to ja spróbuję sprostać twoim oczekiwaniom wobec bohaterki romantycznej. Chciałabym jednak napić się kawy i coś przekąsić, zanim zemdleję.

Podczas śniadania Matthew wprowadził ją w plany związane z jej pierwszym porankiem w Londynie.

- Brat udzielił mi szczegółowych instrukcji. Przesyła za moim pośrednictwem słowa przeprosin, ponieważ miał umówione spotkanie w interesach, którego nie mógł odwołać, będzie jednak zaszczycony, jeśli pozwolisz się obwieźć po Hyde Parku dziś o drugiej po południu. Przed południem mam natomiast ci towarzyszyć w wyprawie na zakupy.

Frances ukryła uśmiech, musiała bowiem docenić dobrą wolę, z jaką Matthew wypełniał polecenie brata. Niewątpliwie wolałby spędzić ten czas w inny sposób.

- To wspaniale! - ucieszyła się jego siostra. - Naturalnie idę z wami.

- Tylko nie potraktuj tego jako pretekst do robienia zbędnych wydatków - ostrzegł ją Matthew, niewątpliwie kopiując przestrogi,

jakie sam nieraz słyszał od brata. - Frances potrzebuje strojów na pobyt w Londynie. Musimy ją ubrać z klasą.

- Tak się cieszę, że akurat przyjechałam do domu - nie dawała za wygraną Juliet.

- Nie mogę zajmować ci tyle czasu, Matthew. Z pewnością miałeś inne plany - bąknęła Frances.

- Dostałem polecenie z góry, a to kończy sprawę. - Uśmiechnął się uroczo.

- Oczywiście. - Frances w duchu bardzo się cieszyła z tej opieki, przestała się więc opierać.

- Dokąd proponujesz iść najpierw, Juliet? - spytał Matthew.

- Bez wątplenia do madame Francine. Ona ma wspaniałe kreacje. Ależ będzie zabawa! Jesteś mężatką, Frances. Pomyśl tylko o kolorach, które będziesz mogła nosić! Nie to co my, debiutantki...

Przedpołudnie przeszło najśmielsze oczekiwania Frances. Nigdy dotąd nie miała ładnych strojów, do tego zgodnych z najnowszą modą. W najlepszym razie donaszała rzeczy po lady Torrington, a w najgorszym... Ech, szkoda gadać. Teraz zaś madame Francine powitała markizę Aldeborough z entuzjazmem, zadbała o wszelkie wygody, zaproponowała drobną przekąskę i z dość podejrzanym francuskim akcentem wyraziła pragnienie uczynienia z niedawnej oblubienicy najelegantszej damy w tym sezonie.

- A co z pieniędzmi? - Zakłopotana Frances dyskretnie zwróciła się z tym pytaniem do Juliet, która właśnie wpadła w zachwyty nad

piękną, lecz niepraktyczną pelerynką z różowego atlasu, wykończoną falbanami.

Matthew, nie bez uczucia ulgi, zdecydował wcześniej, że zostanie w powozie, całą odpowiedzialność za zakupy scedował więc na Juliet, która nie lubiła komplikować spraw.

- Po prostu poleć, by wszystkie rachunki przesłano Hugh.

- Nie mogę tego zrobić!

- Dlaczego nie? Ja mogłam. Najlepiej cieszyć się możliwościami. Bogaty mąż to wielka zaleta. Ja z pewnością znajdę sobie dżentelmena, który ma dość pieniędzy, bym mogła zawsze iść z duchem mody.

- To nie jest szczególnie romantyczne.

- Może nie, ale za to praktyczne. A więc na początek sezonu potrzebujesz...

Następna godzina minęła pod znakiem licznych kreacji na najrozmaitsze okazje. Frances tylko obracała się przed lustrami. Strój spacerowy, strój na przedpołudniowe wizyty, strój na popołudniowe wizyty, strój wieczorowy, strój na bal kostiumowy...

- Przecież nigdy nie będę miała okazji włożyć tych wszystkich sukien.

- Jako żona markiza Aldeborough musisz być modna i elegancka. I pod żadnym pozorem nie wolno ci zbyt często pokazywać się w tej samej sukni wieczorowej!

Potem okazało się, że potrzebne są jeszcze rękawiczki, trzewiczki i bardziej intymne części garderoby.

Taka obfitość dóbr wszelakich wprawiła Frances w oszołomienie. Jako kobieta cieszyła się jednak każdą chwilą spędzoną u madame Francine. Przyjemnie jej było, że nowe suknie pięknie na niej leżą, a także podkreślają kolor włosów i oczu. Niewiele brakowało, by pomyślała o sobie, że jest ładna. Ku jej zaskoczeniu madame Francine i Juliet nie szczędziły jej komplementów. W chwilach otrzeźwienia zastanawiała się natomiast, co powie mąż, gdy przekona się, na co zostały wydane jego pieniądze.

Uzyskawszy zapewnienie, że wszystkie zakupy zostaną dostarczone jeszcze tego samego dnia, wrócili do powozu, gdzie czekał Matthew. Niektóre pakunki pojechały jednak z nimi. Frances nie mogła na przykład oprzeć się pokusie włożenia nowej sukni na przejażdżkę po parku w towarzystwie Hugh.

- Teraz pojedziemy do Josephine, żeby kupić czepki. Frances na chwilę zamknęła oczy. Jej zdaniem zakupy należało już zakończyć.

Po wyczerpującym przedpołudniu, spędzonym na wydawaniu pieniędzy markiza, powrócili do domu na lekki lunch.

- Mama postanowiła zjeść dzisiaj z lady Vowchurch i Penelope - oznajmiła Juliet - nie grozi więc ci z jej strony przykre przesłuchanie. Mama czuje się w obowiązku poinformować panie Vowchurch o tragicznym zdarzeniu, jakim jest wasze małżeństwo!

Matthew parsknął pod nosem, rozsądnie jednak postanowił nie komentować złośliwych plotek dam.

- Mama - ciągnęła Juliet - widzi w Penelope wzór wszelkich cnót. To prawdziwy ideał, z którym żadna z nas nie wytrzymuje porównania. - Zachichotała.

- Zorientowałam się w tym wczoraj wieczorem. Panna Vowchurch wydaje się mieć niemało talentów, których mnie brakuje. Prawdę mówiąc, zawiodłam pod każdym względem.

- Ja też stoję na straconej pozycji. - Juliet ucieszyła się, że znalazła towarzyszkę niedoli. - Penelope nieustannie wypytywała moją guwernantkę, czego się uczyłam, a potem miała do biedaczki pretensje, kiedy okazywało się, że niczego nie umiem. Biedna panna Dennison. Prawda jednak jest taka, że byłam beznadziejną uczennicą. A Penelope nie należała do rodziny, więc nie miała prawa jej krytykować.

- Mogłabyś mi powiedzieć... - Frances dostrzegła okazję do dyskretnego zdobycia informacji. - Czy dobrze mi się zdaje, że panna Vowchurch miała poślubić twojego brata Richarda?

- O tak. - Juliet wręcz pałała żądzą wprowadzenie Frances w rodzinne tajemnice. - A po jego śmierci mama postanowiła ożenić z nią Hugh. Penelope nie wydawała się temu przeciwna, a Hugh nigdy nie powiedział wprost, że jej nie poślubi. Dopóki nie przyjechałaś, wszyscy spodziewaliśmy się takiego obrotu spraw.

- Zamknij buzię, Juliet. Za dużo paplesz!

- Wcale nie, a nasza bratowa ma prawo wiedzieć, w co się wpakowała.

Frances postanowiła rozwinąć temat.

- Lady Aldeborough powiedziała mi, że Richard zginął tragicznie, ale wcale nie musiał to być wypadek.

- Naturalnie, nie wiesz... - Matthew spojrzał karcąco na Juliet i wtedy pierwszy raz na jej wyrazistej twarzy pojawiła się rezerwa. - Richard spadł z kariolki i skrzył sobie kark. Mama zawsze go rozpieszczała, więc był to dla niej ciężki cios i dotąd nie pogodziła się z losem. Nie ma jednak wątpliwości, że to był wypadek. - Ponieważ brat ponownie przesłał jej spojrzenie pełne dezaprobaty, nie dodała już ani słowa.

Frances musiała się więc zadowolić tylko tym.

Lunch minął w miłej atmosferze, ale Hugh się nie pojawił.

- Pewnie zapomniał o żonie i pojechał kupić konia - cierpko skomentowała to Juliet bez najmniejszego respektu dla utytułowanego brata. - Możliwe też - dodała z niechęcią - że jest w klubie boksterskim Jacksona!

- Nie słuchaj jej, Frances. Musiały go zatrzymać sprawy finansowe. Odkąd przejął schedę po Richardzie, nie może się od nich opędzić. Skoro jednak nie ma Hugh, to będę zaszczycony, mogąc zaproponować ci przejażdżkę po parku.

- Pojadę z wami, dobrze? - spytała Juliet z promiennym uśmiechem. - Właśnie kupiłam śliczny czepek, który chciałabym włożyć.

- Nic z tego. Będę powoził, więc w kariolce nie znajdzie się miejsce dla trzeciej osoby. I od razu ci powiem, że nie zamierzam na siłę go robić.

- Mógłbyś wziąć kolaskę - nalegała przymilnie. - W Hyde Parku są wszyscy, którzy się liczą.

- Nie.

- Rozumiem. Chcesz powozić końmi Hugh. - Juliet nadała się. Matthew szeroko się uśmiechnął.

Juliet pomachała im na pożegnanie. Frances w nowej, podbitej futerkiem pelisce i czepku przyozdobionym jedwabnymi kwiatami i fantazyjnym piórkiem, koncentrowała uwagę głównie na tym, by zgodnie z zaleceniem bratowej trzymać z szykiem śliczną kremową parasolkę, Matthew natomiast pouczył ją surowo, aby uważała i nie spłoszyła koni.

- Jeszcze nigdy nie jechałam kariolką - wyznała, gdy znaleźli się parku. Powozik był elegancki, choć jak na jej gust za mało stabilny. Matthew zapewnił ją jednak, że to ostatni krzyk mody. Dwa piękne gniadosze stanowiły wspaniałą parę.

- Czy Hugh pozwala ci brać swoje konie? - spytała, nawiązując do kąśliwej uwagi Juliet.

- Tak, chociaż tych kasztanów, które niedawno kupił, nie ważyłbym się tknąć. Wiele bym dał, żeby je wypróbować, ale tylko gdyby brat mi na to pozwolił. Jeszcze mi życie miłe.

- Poza tym wciąż jeszcze nie tracisz nadziei, że Hugh kupi ci patent oficerski, prawda? - zażartowała.

- Racja - odparł ze śmiechem. - Oplaca mi się mieć u niego wysokie noty.

- Uda się go namówić, jak sądzisz? - Bardzo ją to interesowało. To, że bracia są ze sobą blisko, było widać na pierwszy rzut oka.

- Na powożenie kasztanami czy na patent? Zwykle z Hugh łatwo się dogadać, ale akurat w tych kwestiach zachowuje się inaczej. - Matthew wyraźnie nie chciał ciągnąć tematu.

Frances zajęła się obserwacją otoczenia. W dostojnym tempie objechali cały Hyde Park. W porze największego ruchu, a taka właśnie była, zjawiała się tu cała elita, wszyscy, którzy chcieli się pokazać i zobaczyć innych. Park huczał jak ul od plotek, co do tego Frances nie miała wątpliwości, wyczuła bowiem, że stała się obiektem powszechnego zainteresowania.

Zdarzało się nawet, że gapiono się na nią całkiem otwarcie, bez żadnego skrepowania, choć najczęściej zerkano ukradkiem, by potem szeptem zamienić parę słów. Wolą nie domyślać się ich treści i bardzo żałowała, że nie ma z nią męża. Matthew spojrzał na nią i by rozproszyć zły nastrój bratowej, zaczął zabawiać ją informacjami na temat mijanych ludzi.

- Naprawdę nie musisz się martwić - stwierdził w końcu, widząc, że jego paplanina nie wywołuje żadnej reakcji. - Bez względu na krążące plotki nikt nie będzie cię sekował. Jako markiza Aldeborough masz wstęp do najelegantszych domów w Londynie. No, chyba że zrobisz coś wyjątkowo niestosownego, ale to mało prawdopodobne.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością za te krzepiące słowa. Poza tym uznała, że nie powinna stroić fochów, tylko cieszyć się z pobytu w parku.

Akurat wyprzedziła ich grupa jeźdźców.

- Lubisz jeździć konno?

- Uwielbiam. Hugh i ja uznaliśmy, że to jeden z moich nie-licznych talentów - wyznał szczerze, choć dumy w tym było niewiele, zgoła wcale.

- Kiedy powiedziałam Hugh, że chciałabym zostać guwernantką, uznał, że to nie jest dobry pomysł. - Zataiła jednak przyczynę tej dezaprobaty markiza

- Uważam podobnie. Juliet poddawała pannę Dennison bardzo ciężkim próbom. Wątpię, czy dobrze byś się czuła w takiej roli. Małżeństwo z Hugh wydaje mi się o wiele lepszym wyborem.

- Pewnie masz rację... - Znaczące spojrzenie Matthew sprawiło, że szybko zmieniła temat. - Lecz jeździć konno umiem. Zdarzało mi się towarzyszyć stryjowi na polowaniu, kiedy chciał przeciwiczyć nowe konie. Jak sądzisz, czy markiza wdowa nie miałaby nic przeciwko temu, gdybym chciała pojeździć konno po Hyde Parku? To chyba jedyny szczegół z mego wychowania, który wczoraj wieczorem nie został wspomniany.

- Cóż, mama... - Wymienili porozumiewawcze uśmiechy. - Wiedz jednak, że Hugh przywiózł do domu hiszpańską klaczkę. Trzyma ją w Priory, ale jest zbyt ciężki, by jej dosiadać, ja niestety też. Za to dla ciebie zdaje się wprost stworzona. Będiesz mogła zadawać szyku w eleganckim świecie.

- Rozumiem, że mój mąż walczył na Półwyspie Iberyjskim?

- Tak. Wybacz, wciąż zapominam, jak niewiele o nim wiesz, a on rzadko wspomina wojenną przygodę, choć miałby co opowiadać i czym się poszczycić. Był kapitanem w pułku huzarów, ale po śmierci Richarda musiał wykupić się z wojska, choć uczynił to niechętnie. Teraz ja chciałbym zająć jego miejsce.

- Tyle że markiz nie odnosi się do tego pomysłu zbyt przychylnie...

- Przyjąłbym jego decyzję spokojniej, gdybym nie wiedział, z jaką nostalgią wspomina tamte czasy. Naturalnie nie rzeź bitewną, śmierć przyjaciół i oblężenie Badajoz, ale strategię i... no wiesz. Myślę zresztą, że mój brat jest stworzony do wielkich rzeczy. Wspomniano go w rozkazie dowództwa po bitwie pod Salamanką. - Matthew westchnął, z uwagą przeprowadzając konie przez grupkę spacerowiczów. - Chciałbym, żeby częściej o tym opowiadał, ale kiedy go proszę, zamyka się jak ostryga. Co innego jednak poczytać o tym w „Timesie”, a co innego usłyszeć od kogoś, kto tam był. Wiem tylko, że Hugh wolałby pozostać w swoim pułku. Nigdy nie pragnął rodzowego majątku, tytułu i tych wszystkich obowiązków. Pewnie nudzi się śmiertelnie po emocjach wojaczki. Może właśnie dlatego teraz tak lubi hulanki... choć akurat tego nie powinienem ci mówić, prawda?

- Że mój mąż lubi hulanki? Chyba nie. - Z pewnym rozba-
wieniem odnotowała jego konsternację.

- Chodziło mi tylko o to, że...

- Wiem, co chciałeś powiedzieć.

- To dobrze. Nie zamierzałem cię zaniepokoić. - Z wyraźną ulgą zakończył temat, by przedstawić Frances znajomemu.

Miała jednak po tej rozmowie wiele spraw do przemyślenia. Hugh był o wiele bardziej skomplikowanym człowiekiem, niż jej się początkowo zdawało. Bardzo chciała poznać go lepiej.

Z zadumy wyrwał ją Matthew.

- Ot, i nasza góra lodowa - uśmiechnął się ponuro. - A jednak szkoda, że nie ma z nami Juliet. Jest znacznie lepsza ode mnie w towarzyskich pogawędkach.

Obok nich zatrzymał się staroświecki landolet. A więc to była bezgranicznie podziwiana panna Penelope Vowchurch. Pierwszy rzut oka nie dodał Frances otuchy. Zobaczyła elegancką, przystojną damę z lśniąco, starannie ułożonymi kasztanowymi lokami i niebieskimi oczami. Jasna karnacja była nieskazitelna, rysy regularne, zgodne z kanonem klasycznym. Szykowny, lecz skromny ubiór miał jednak wiele akcentów świadczących o znajomości najnowszych trendów mody. Panna Vowchurch z wdziękiem skinęła Frances głową, ani na chwilę nie zapominając o obowiązkowym uśmiechu. Była wszak znakomitą akwarelistką, zachwycająco śpiewała i perfekcyjnie znała włoski oraz francuski, a ktoś taki nie może mieć złych manier, szczególnie zaś choćby cienia złośliwości w charakterze. Tylko z oczu, do których nie dotarł uśmiech, biło wyzwanie. Frances pomyślała, że lepiej je podjąć. Z determinacją złożyła parasolkę. Niechętnych uwag, jakich nasłuchiwała się od lady Aldeborough, miała dość na całe życie.

Gdy Matthew dokonał prezentacji, panna Vowchurch wy-
ciągnęła do Frances smukłą dłoń odzianą w rękawiczkę.

- Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać. Lady Aldeborough
jadła dziś lunch z moją mamą i wiele nam o pani opowiedziała. - Jej
starannie modulowany głos był nie mniej elegancki niż wygląd.

- Naprawdę? Mnie lady Aldeborough wiele opowiedziała o pani
wczoraj wieczorem. Czuję się tak, jakbym już panią znała.

Panna Vowchurch lekko uniosła brwi.

- Pani jest spokrewniona z Mortimerami, prawda? Utrzymujemy
z nimi zażyłe stosunki towarzyskie. To dziwne, ale nie miałam dotąd
okazji być pani przedstawiona. Nie mogę się mylić, pamiętałabym na
pewno.

- Tak się złożyło, że jeszcze nie poznałam hrabiego Wigmore'a,
mojego kuzyna, ale mam nadzieję, że teraz, kiedy przyjechałam do
Londynu, wkrótce się to zmieni. Być może zna pani lordostwo
Torrington, moich krewnych ze strony ojca, u których mieszkałam?

- Byliśmy sobie przedstawieni. - Panna Vowchurch zwróciła się
do Matthew, kończąc w ten sposób rozmowę o wspólnych znajomych
z Frances. - Mam nadzieję, że spotkamy się dziś wieczorem na
przyjęciu u drogiej Phoebe. To moja przyjaciółka. Czy pan się tam
wybiera, Matthew?

- Bez wątplenia. To ma być, o ile wiem, pełna gala rodzinna, a
ponieważ Frances jest członkiem rodziny, Aldeborough życzy sobie
przedstawić ją możliwie wielu krewnym.

- To musi być dosyć przykre doświadczenie, kiedy nikogo się nie zna. - Penelope przesłała Frances spojrzenie pełne współczucia. - Słyszałam, że to pani pierwsza wizyta w Londynie i jeszcze nie miała pani okazji uczestniczyć w sezonie. Szkoda, bo to nieoceniona szansa, aby nauczyć się zachowania w towarzystwie.

- Istotnie, z powodów rodzinnych nie byłam dotąd w Londynie, ale bardzo mi się tutaj podoba.

- Wkrótce miasto zacznie panią nużyć, kiedy tylko lepiej je pani pozna. - Panna Vowchurch zademonstrowała stosowne zmęczenie światem. - Jestem pewna, że Matthew się ze mną zgodzi.

- Och, daleko mi jeszcze do znużenia. - Frances uroczo się uśmiechnęła. - Tyle jest tu do obejrzenia, tak wiele spraw zajmuje uwagę.

- A gdzie podziewa się Aldeborough? Spodziewałabym się raczej, że przyjedzie z panią do parku, skoro to jej pierwszy dzień w stolicy. Czyżby był zbyt zajęty?

Spodziewałabym się tego samego, pomyślała Frances, ale wciąż była w wojowniczym nastroju i znajdowała przyjemność w tej słownej szermierce.

- Mój mąż istotnie zamierzał mnie tu przywieźć, okazało się jednak, że musi omówić z adwokatem pewne kwestie. Mój spadek, pani rozumie. To pilna sprawa, a mąż nie chciał mnie tym niepokoić. Jest bardzo troskliwy. Szczerze mówiąc, to wielka ulga móc zostawić te wszystkie zawiłości w rękach męża, nawet sobie pani nie wyobraża, jak wielka.

- Takie wsparcie musi być dla pani bardzo krzepiące. - Frances z satysfakcją zobaczyła, że wargi Penelope ułożyły się w cienką linię, a uśmiech całkiem znikł z jej twarzy.

- Chyba powinniśmy już jechać, Matthew. Blokujemy drogę. Au revoir, panno Vowchurch. - Skłoniła głowę, celowo kopiując pełne wystudiowanego wdzięku ruchy „góry lodowej”. Potem z trzaskiem otworzyła parasolkę.

- Dobrze zrobione! - mruknął z uznaniem Matthew, choć zachował absolutnie obojętną minę. - Utarłaś nosa maminemu wzorowi cnót wszelakich. Juliet zapiszczy z radości.

Gdy pojazd panny Vowchurch oddalił się, Frances wróciła do poruszonych wcześniej tematów.

- Proszę mi coś powiedzieć o tym przyjęciu.

- Och, takie niewielkie spotkanie dla uczczenia zaręczyn naszej kuzynki Phoebe z wicehrabią Petersfieldem.

- Czy muszę tam iść?

- Oczywiście, przecież należysz do rodziny. Poza tym to będzie dobra okazja, żeby poznać tych ludzi w kameralnych warunkach. To zawsze lepsze niż te wielkie bale. Zresztą większości dalekich krewnych pewnie już nigdy nie spotkasz. Radzisz sobie znakomicie, a w ten sposób po jednym wieczorze najgorsze będziesz miała za sobą.

Pewnie tak, pomyślała Frances. Matthew świetnie rozumiał, że czuła się jeszcze niezbyt pewnie wobec takiego zalewu twarzy i nazwisk. Pozostawało jej mieć nadzieję, że Hugh będzie równie tolerancyjny.

Gdy zbliżali się do domu, Frances zwróciła uwagę na elegancką kolaszkę nadjeżdżającą z naprzeciwka. Zajmująca ją samotna kobieta uśmiechnęła się do Frances, a chociaż nie poprosiła woźnicy, by zatrzymał pojazd, pomachała im ręką.

- Kim jest ta dama? - spytała Frances.

- Oho, pani Winters wróciła do Londynu - mruknął niechętnie Matthew.

- Czy powinniśmy przystanąć? Przecież się znacie.

- Nie. Nie sędzę. - Zachęcił gniadosze do zwawszego chodu. - I lepiej byłoby, gdybyś jej nie zauważała.

Frances jednak już odwzajemniła uśmiech, uznawszy panią Winters za znajomą domu.

- Dlaczego nie? Wydaje się urocza. Otwarta i przyjacielska.

- No, owszem. Taka jest. - Matthew wyraźnie się zakłopotał. - Nie jest jednak osobą godną szacunku. Ma złą reputację, mówiąc wprost. Dlatego staramy się jej nie dostrzegać.

- Ojej... ale sprawiała takie wrażenie, jakby mnie znała. Matthew zwrócił ku niej swe szczere spojrzenie.

- Ona zna twojego męża.

Frances nie wiedziała, co wnioskować z tych enigmatycznych słów.

- Chyba... rozumiem.

- Na pewno.

Frances pozostała sama z mieszanymi uczuciami.

Poczyniła pierwsze kroki w londyńskim towarzystwie. Przez całe życie o tym marzyła, choć pogodziła się również z myślą, że o ile nie spotka na strychu wróżki, to wielki świat jest nie dla niej i dopełni żywota na czyszczeniu krat kominków w Torrington Hall. A jednak cudownym zrządzeniem losu udało jej się zerwać więzy z rodziną i uwolnić od poniżającej zależności, uciec od codziennej harówki i nieustannych upokorzeń. Aldeborough, choć niechętny postawiła go w niewygodnej sytuacji, jednak się z nią ożenił, obdarzył tytułem i wysoką pozycją towarzyską, a także ocalił reputację przed skandalem. I wszystko to stało się w ciągu niecałych dwóch tygodni!

Lecz zarazem było to wszystko takie trudne.

Ubrana w wieczorową kreację, oczekiwała na uroczystość rodzinną, prawdziwą torturę. Jak zwykle przed poznaniem nowych ludzi czuła nieprzyjemne ssanie w żołądku. Lecz teraz było jeszcze gorzej, bo ci wszyscy ludzie, choć zjawili się z okazji zaręczyn panny Phoebe i wicehrabiego Petersfielda, tak naprawdę ekscytować się będą wybrykiem markiza Aldeborough, który w skandalicznych okolicznościach poślubił nieznaną nikomu pannę ze wsi. Mezalians, jednym słowem!

Zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. Pragnęła towarzystwa Juliet, która mogłaby trochę się nad nią uzalić i uciszyć jej niepokój swoją paplaniną.

Rozległo się głośne pukanie, ale to nie była Juliet. Do pokoju wszedł Hugh ubrany w strój wieczorowy. We fraku z białą kamizelką haftowaną złotą nicią, nieskazitelnej koszuli i spodniach do kolan z

czarnego atlasu wyglądał tak wytwornie, że aż zabrakło jej słów. Dlaczego dotąd nie zauważyła, jak bardzo przystojny jest jej mąż?

Podszedł do niej kocim ruchem, blask świec oprószył złotem czarne włosy, a oczy zamienił w żywe srebro. Ujął jej dłonie i ucałował. Dotyk warg wywołał w niej miłą falę ciepła.

- Nie wiem, czy to możliwe, żebyś mi wybaczyła, Frances Rosalind? Zaniedbałem cię dziś straszliwie, wbrew moim dobrym intencjom i obietnicom. Z pewnością już żałujesz wyboru takiego męża. - Uśmiechnął się urzekająco.

Poczuła się dziwnie.

- Nie oczekuję od ciebie nieustannej uwagi - niemal szepnęła.

- Przecież to jest twój pierwszy dzień! Postąpiłem niewybaczalnie, mimo że nie z własnej winy. Ufam, że Matthew zadbał, abyś się nie nudziła i miała wszystko, czego potrzeba.

- Naturalnie. Powiedział mi, że nie śmie sprzeciwić się rozkazom, bo jeszcze mu życie miłe.

Hugh wybuchnął śmiechem.

- Dobrze sobie... czyni ze mnie potwora i kata. Natrę mu za to uszu.

- Juliet insynuowała, że zabawiasz się w klubie Jacksona - poinformowała go z błyskiem w oku. - Albo kupujesz konia.

- Cała ona. - Uśmiechnął się. - Zapewniam cię jednak, że nie oddawałem się tak miłym zajęciom. Nie opuściłem cię dla własnej przyjemności. - Frances poczuła miłe ciepło. - Konferowałem z adwokatami, a to potworni nudziarze. Już myślałem, że nigdy się to

nie skończy. Mam jednak wrażenie, że przynajmniej ty spędziłaś czas pożytecznie. Niech no spojrzę na ciebie.

Przyjrzał jej się krytycznym okiem od nowych atlasowych pantofelków po lekko zakręcone włosy.

Stała przed nim, udając całkowity spokój, obleczona w prostą atlasową suknię w bladym odcieniu eau de nil, zdobioną delikatną kremową koronką. Dekolt miała modnie udrapowany, a niewielkie piersi dyskretnie rysowały się nad jego linią. Do tej kreacji włożyła długie rękawiczki z kozłej skóry, a z biżuterii jedynie srebrny medalion. Całości dopełniał rzeźbiony wachlarz z kości słoniowej i koronki.

Ku swemu zaskoczeniu Aldeborough poczuł przypływ zaborczych uczuć, a serce zabiło mu gwałtowniej. Jej delikatnie zaróżowiona skóra pięknie lśniła, a oczy miały tym razem odcień zroszonych ostróżek. Nie była piękną o klasycznym typie urody, a jednak bardzo go pociągała. Pod wpływem nagłego pragnienia przesunął dłoń po jej policzku i z radością odnotował pogłębiający się rumieniec.

- Podobają mi się twoje włosy, Frances... - Służąca Juliet ukróciła ich samowolę i zdołała wykonać koronę, a jeden długi kosmyk puściła wolno. Wdzięczne pierścionki wiły się wokół twarzy i opadały na uszy. - Gdzie się podziała ta szara myszka, którą poślubiłem? - Wyraźnie uradowała go ta przemiana.

- Wciąż jest tutaj, tyle że w przebraniu. Jeśli się dobrze przyjrzyysz, to zauważysz wąsiki.

- Z wąsikami czy bez, bardzo mi się podobasz, madame Myszko. Wbrew twoim obawom jesteś najprawdziwszą markizą.

- Dziękuję... - Dygnęła, by ukryć zakłopotanie tym wspaniałym komplementem. - Muszę ci jednak wyznać, że nie mam ochoty na to przyjęcie. Boję się, że nie będę w stanie zamienić z nikim sensownego zdania. I co wtedy pomyśli twoja rodzina? Pewnie uzna, że postradałeś zmysły.

- Och, zawojujesz wszystkich swoim wdziękiem! - wyznał szczerze. - Ważne też, by widywano nas razem, co zaświadczy, że nasze małżeństwo nie opiera się jedynie na wzajemnej tolerancji, lecz jest czymś więcej. Wtedy zdobędziesz, jako moja żona, nieskazitelną reputację.

- Naturalnie. Rozumiem. Ujął ją za rękę.

- A więc do boju, milady.

Wiele godzin później Frances oparła się odprężona na poduszkach. Była zmęczona, ale pełna wrażeń. Tyle było nowych twarzy, tyle nazwisk i koligacji. Hugh przez cały czas ją wspierał, pomagał zawierać znajomości, udzielał rad, uprzedzał kłopotliwe sytuacje. Krótko mówiąc, był wzorem troskliwego męża. Naturalnie, jakżeby inaczej, śledziły ją podejrzliwe spojrzenia, jednak do jej uszu nie dotarła żadna plotka czy nieprzychylna uwaga. Chłodny uśmiech jej męża, a także, co musiała przyznać, jego arogancja, czyniły takie wstręty niewyobrażalnymi. Dzięki temu szybko nabrała pewności siebie, konwersacja zaczęła sprawiać jej przyjemność, coraz częściej się śmiała, a nowa rola już nie wydawała jej się tak przykra.

Juliet i Matthew również dyskretnie ją wspierali. Lady Aldeborough, zmuszona stać po jej stronie, a w każdym razie nie szkodzić, po prostu przestała ją dostrzegać, i chwala Bogu. Panna Vowchurch i jej leciwa rodzicielka wykazały protekcyjną uprzejmość, zapraszając ją na kameralny wieczorek z udziałem wybranych osób, który organizowały w następnym tygodniu. Miały nadzieję, że nowa markiza, naturalnie razem z mężem, zaszczyci to spotkanie swoją obecnością. Frances z uroczym uśmiechem okazała równie nieszczerzy zachwyty tą propozycją. Co ważniejsze jednak, przedstawiono ją hrabinie Lieven, jednej z budzących respekt protektorek Almacka. Hrabina powitała ją oficjalnie i bez entuzjazmu, ale obiecała kartę wstępu. Frances wiedziała, że w ten sposób została ostatecznie przyjęta do towarzystwa.

Wróciła myślami do panny Vowchurch. Miała czas jej się przyjrzeć i doszła do wniosku, że z tej strony można spodziewać się zagrożenia. Mimo że Aldeborough nie był już wolny, panna Vowchurch przy każdej okazji starała się obudzić jego zainteresowanie, a nawet nawiązać dyskretny flirt. Przyciszone uwagi i ręka kładziona zaborczo na jego rękawie nie mogły ujść uwagi Frances. Markiza wdowa wydawała się zresztą sprzyjać tym zabiegom, wysunęła nawet sugestię, by Hugh odprowadził pannę Vowchurch na jej miejsce podczas kolacji. Odmówił, wymawiając się obowiązkami wobec żony, ale epizod ten dał Frances do myślenia. Wzór wszelkich cnót, choć urodziwy, miał ze dwadzieścia trzy lata albo i więcej, i na pewno dawno już zapomniał o debiucie. Pewnie

stąd brały się rozpaczliwe próby zbliżenia do markiza Aldeborough. Wkrótce Penelope uznana zostanie za starą pannę i będzie obiektem współczujących plotek, a takie upokorzenie trudno byłoby jej znieść.

A co z markizem? Mars na czole Frances stał się wyraźniejszy. Nie mogła powiedzieć, żeby zachęcał Penelope, ale nie położył też kresu jej zabiegom. Naturalnie nie mógł na oczach innych zdecydowanie odtrącić jej, zwłaszcza że panna była w bliskich stosunkach z rodziną Laffordów, ale czy naprawdę musiał uśmiechać się do niej tak uroczo i tak poufale się nachylać, słuchając jej lukrowanych słówek? Na szczęście nie było tańców, co oszczędziło Frances upokarzającego widoku wzoru cnót w ramionach jej męża podczas walca. Zadziwiało ją, jak szybko zdążyła znieawidzić tę kobietę.

Drzwi do jej pokoju otworzyły się.

Aldeborough! Nagle zabrakło jej powietrza.

- Nie spodziewałam się twoich odwiedzin...

Wolałaby, żeby mnie tu nie było, pomyślał smutno Aldeborough, widział bowiem wahanie malujące się na twarzy żony, a także wymowny rumieniec.

- Mam wyjść? - Stłumił westchnienie. Mógł naturalnie zrejterować pod byle jakim pretekstem i poszukać miłego towarzystwa gdzie indziej, zaskoczyło go jednak pożądanie budzące się w nim na widok Frances, gdy tak siedziała na pościeli.

- Nie wiedziałam, że jesteś w domu - wybąkała, wciąż się uśmiechając, uświadomiła sobie bowiem, że pierwsza reakcja była

mało zachęcająca. - Myślałam, że dżentelmeni wychodzą do klubów, gdzie mogą pograć w karty i zająć się różnymi rzeczami. - Na przykład spotkać się z Letitią Winters, przyszła jej do głowy zdradziecka myśl.

- Przemknęło mi to przez głowę - stwierdził z powagą. -

O ile jednak pamiętam, już kiedyś mi wyjaśniłaś, że nie jestem dżentelmenem.

Splonęła jeszcze intensywniejszym pąsem.

- Nie mówiłam poważnie. Ja...

Roześmiał się i przysiadł na krawędzi łoża, starając się nie widzieć, jak Frances niepostrzeżenie odsuwa się od niego.

- Wybaczam. Poza tym doszedłem do wniosku, że chciałbym spędzić trochę czasu z moją nowo poślubioną żoną, która tak uroczo dziś wyglądała. - Ujął jej twarz, odsunął włosy za uszy i delikatnie zaczął całować skronie, oczy, wreszcie usta. Pachnidło Frances atakowało jego zmysły, miękkie wargi wydawały się wprost stworzone do pocałunków. A jej skóra była taka gładka i delikatna. Znow weszła w nim fala pożądania. Zgasił świece, szybko się rozebrał i położył się obok Frances.

Tym razem było mu łatwiej znaleźć się w jej wnętrzu. Objęła go za szyję i trzymała przy sobie, wtulając twarz w jego ciało, gdy szukał rozkoszy. Starał się jej nie wystraszyć, ale chociaż nie opierała się tak jak pierwszej nocy, to pozostała chłodna i zdystansowana.

Była świadoma każdego jego dotyku. Wiedziała, czego należy się spodziewać, przewidywała, co się stanie, i nawet tego chciała, ale

jej umysł nie pozwalał ciału na wyrażenie przyjemności. Dlaczego? Mogła tylko kurczowo trzymać męża, przywierać do niego i pozwalać mu na wszystko, czego sobie życzył. Dręczyło ją zbyt wiele lęków: bała się odrzucenia, bała się, by nie zauważył jej coraz silniejszego uczucia, bała się kary za to, że nie zdoła sprawić mu rozkoszy. Jakby z oddali przyglądała się jego pieszczotom, ale nie mogła ujawnić swego pragnienia, by odwzajemnić namiętność. Zbyt mocno by ją to upokorzyło, więc tylko kurczowo go trzymała w strasznym poczuciu osamotnienia.

Wyczuł jej ulgę, gdy to się wreszcie skończyło. Mimo osiągniętego spełnienia był urażony brakiem reakcji. I pomyśleć, że zawsze chełpił się umiejętnością rozniecania pragnień u kobiet, z którymi dzielił łóżce. Nigdy nie spotkał się z niezadowoleniem. Letitia zawsze odnosiła się do jego życzeń z wielkim entuzjazmem. Odepchnął od siebie myśl o jej ciepłym, pełnym odkrywczej pasji ciele. Skupił uwagę na drobnej, nieruchomej postaci, wciąż spoczywającej w jego ramionach. Frances miała zamknięte oczy, jakby chciała się od niego odgradzić. A on myślał, że odkrył w niej ciepło, szczodrość i odwagę, chęć dawania na równi z potrzebą brania. Cóż, pomylił się... Czego jednak właściwie oczekiwał od żony, skoro wypełniała swoją rolę i była gotowa urodzić mu dziedzica? A jednak martwił się tym, że Frances nie lubi intymnej strony małżeństwa i godzi się jedynie na chłodną uległość. Pierwszy raz w życiu nie wiedział, co robić. Bez słowa rozplótł ramiona i wyszedł.

Tego wieczoru Frances nie próbowała go zatrzymać. Wcisnęła twarz w poduszki i wyplakała wszystkie łzy, których nie chciała mu pokazać. I nawet nie wiedziała, za czym płacze. Miała poczucie wielkiej pustki, porzucenia, które po wyjściu Aldeborough stało się jeszcze bardziej dojmujące. Czyniła sobie przy tym wyrzuty, świadoma, że przecież to ona go odrzuca. Nie mogłaby mieć do niego najmniejszych pretensji, gdyby nigdy więcej nie przyszedł do jej łóża...

Rozdział szósty

Następnego ranka przy śniadaniu Hugh zwrócił uwagę na bladą twarz żony, powstrzymał się jednak od uwag. Frances była opanowana i powitała zebranych przy stole uśmiechem, po czym zaczęła paplać, jak bardzo wyczerpujące są spotkania rodzinne, kiedy nie zna się twarzy ani imion. Matthew natychmiast wyraził pogląd, że wyczerpujące są wszystkie spotkania rodzinne i powinno się ich prawnie zakazać. Frances ze śmiechem przyznała mu rację. Na tyle starczyło jej odwagi, lecz nie była w stanie podnieść wzroku, aby skrzyżować spojrzenia z mężem, a gdy spytał ją, czy dobrze spała, odpowiedziała półsłówkiem. Wtedy Hugh odłożył „Morning Post” i stwierdził:

- Gdybyś miała ochotę, mógłbym ci pokazać kilka ciekawych miejsc w Londynie. Moim zdaniem powinno to być zajmujące, nie sądzisz?

- Oczywiście! - Natychmiast się rozpromieniła. - Dużo czytałam o Londynie, w bibliotece stryja było mnóstwo starych ksiąg historycznych, a także dzienników z podróży, ale chciałabym zobaczyć na własne oczy Tower i katedrę Świętego Pawła... i wszystko. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Cóż, mówię jak wiejska gąska, ale trudno ci sobie wyobrazić, co czułam zamknięta przez całe życie w Torrington Hall. Roześmiał się, ujęty jej entuzjazmem.

- Proszę mi wierzyć, że to potrafię! Dlatego skorzystamy ze słońca i spełnimy twoje życzenie. Czy jesteś zajęta dziś przed południem, Juliet? - Zerknął na siostrę, która siedziała nad filiżanką kawy, wertując „La Belle Assemblee”. - Może chcesz nam towarzyszyć? Zauważyłeś, Matthew, że ciebie nawet nie proszę?

- Jestem umówiony ze znajomymi w Tattersallu - pospiesznie odpowiedział Matthew, zmiatając z talerza plastry wołowiny i szynki. - Historia to nie moja specjalność.

- A wyszłoby ci to na dobre. Zwłaszcza spacer po Westminster Abbey. Przynajmniej poszerzyłbyś trochę wiedzę.

- Hm, wolałbym raczej popatrzeć na konie.

- Ja z wami się wybiorę - odezwała się Juliet. - Pod warunkiem, że nasza trasa obejmie Bond Street.

- Spodziewałem się, że wyjdą na jaw niskie pobudki. - Hugh westchnął. - Cóż tym razem? Kolejny kapelusz? Jeśli kupisz go ze

swojej pensji, a nie z mojej kieszeni, to na pewno dojdziemy do porozumienia.

Po godzinie zebrali się w bibliotece. Frances pięknie się wystroiła w poranną suknię z podwyższonym stanem, uszytą z muślinu w kremowo-białe paseczki, i dla ochrony przed chłodnym wiatrem okrytą kremowym spencerkiem z jedwabiu, wykończonym falbankami pod szyją i przy mankietach. Kompletu dopełniały torebka, francuski kapelusik i rękawiczki z kozłej skóry. Po krótkiej dyskusji ustalono, że pojedą kolaską do Tower, w wyjściu przeszkodził im jednak Watkins.

- Proszę wybaczyć, ale do milorda przyszedł gość. Poinformowałem go, że wasza lordowska mość właśnie zamierza wyjść i już nie będzie go przed południem, ale on nalega.

- Kto to taki, Watkins?

- Wicehrabia Torrington, milordzie.

Hugh usłyszał, jak Frances głośno zaczerpnęła powietrza. Spojrzała na niego tak, jakby spodziewała się najgorszego. Zachował jednak spokój, przesłał jej nikły uśmiech i odpowiedział takim tonem, jakby odwiedziny jej stryja o tak wczesnej porze były czymś naturalnym.

- Chyba powinniśmy go przyjąć. Czy będziesz mi towarzyszyć, milady? Wydaje mi się, że tak byłoby lepiej.

Juliet spojrzała na nich z wyraźną ciekawością, wybrała jednak dyplomatyczny odwrót i stwierdziła:

- Pójdę spytać, czy mama nie potrzebuje czegoś z miasta. Chyba że chcecie, abym i ja pozostała?

- Nie. Damy sobie radę bez ciebie. Watkins, jeśli łaska, wprowadź wicehrabiego do pokoju dziennego.

- Czego on chce? - Frances ogarnął lęk, że znowu zostanie jej odebrana kontrola nad własnym życiem. Kurczowo zacisnęła dłonie na torebce i parasolce.

- On nie może wyrządzić ci żadnej krzywdy. - Krzepiąco ujął jej rękę. Zdumiał go przestrach żony. Ścisnęła go tak, jakby wicehrabia mógł ją zabrać siłą. Pewnie wolałaby uciec, niż stanąć twarzą w twarz z Torringtonem. Z pewnością wiele jeszcze powinien się dowiedzieć.

- Przyjmiemy go razem. Nie ma powodu do niepokoju, żono.

- Tak, ale... - Odetchnęła głęboko. - Naturalnie. Musimy przyjąć mojego stryja.

Hugh, w każdym calu oficjalny, przepuścił Frances w drzwiach do pokoju dziennego, ona zaś dostojnie weszła do środka i elegancko skłoniła głowę. Podobało mu się, że odgrywa rolę markizy Aldeborough z takim wdziękiem i opanowaniem. Poczul przyływ dumy z tego, że Frances idzie obok niego. Wicehrabia Torrington stał we wnęcie okiennej i obserwował przez okno plac. Przyjechał na Cavendish Square ze swego londyńskiego domu na Grosvenor Square i wydawał się zakłopotany wykwinnością wnętrza.

Na powitanie ich lordowskich gości odwrócił się niezgrabnie. Jego napięcie było widoczne, zachował jednak odpowiednie formy. Panowie wymienili ukłony, a Frances dygnęła.

- Czemu zawdzięczam przyjemność tych odwiedzin, milordzie? Napije się pan wina kanaryjskiego? - Nie czekając na odpowiedź, Hugh podszedł do kredensu, nalał wina do trzech kieliszków i jeden z nich podał gościowi.

- Dziękuję, Aldeborough. - Torrington starał się, by zabrzmiało to przyjaźnie. - Przepraszam za poranną wizytę, ale rzadko bywam w Londynie, a jutro muszę wrócić na wieś. Interesy wzywają. - Wyraźnie czuł się skrępowany.

- Frances na pewno jest miło, że może powitać pana w swoim domu - stwierdził Aldeborough obojętnym tonem. - Cóż więc pana sprowadza do nas?

- Chciałem po prostu... to znaczy... musimy naprawić skutki tych niefortunnych wydarzeń, które miały miejsce przed dwoma tygodniami.

Dwa tygodnie? Frances wydawało się, że upływały całe wieki.

- Proszę wybaczyć, ale będę mówił wprost. - Torrington wyprostował ramiona. - Nie mogę pozwolić, aby moja bratanica mieszkała pod pańskim dachem. Muszę dbać o jej reputację. W mojej rodzinie nigdy nie zdarzył się żaden skandal... Przyjechałem zabrać ją do domu, tam, gdzie jest jej miejsce.

- Nie wydaje się panu, że trochę za późno na takie przejawy troski, milordzie?

- Nie wiedziałem, że pan wyjechał z Priory.

Hugh milczał, lecz przez cały czas wpatrywał się ze spokojem w Torringtona. Na czole wicehrabiego pojawił się pot. Kaszlnął nerwowo i zwrócił się do bratanicy:

- Jeśli będziesz tak dobra i spakujesz swoje rzeczy, to zabiorę cię do Torrington Hall, Frances.

Stała sztywno u boku męża. Nie zrobiła najmniejszego ruchu, który sugerowałby, że chce poddać się woli stryja.

- Przykro mi, ale zaszło pewne nieporozumienie - powiedział markiz.

- Mianowicie?

- Cieszy mnie, naturalnie, że tak bardzo interesuje pana reputacja bratanicy. Niestety, pańska troska wydaje się nieco spóźniona. Gdyby przez cały ten czas Frances mieszkała u mnie bez przyzwoitki, w oczach towarzystwa byłaby już stracona. - Z jego głosu biła gorycz, w oczach panował chłód. - Jednakże... - na wargach pojawił mu się uśmiezek - jest mi niezwykle przyjemnie poinformować pana, że obecna tu dama jest moją żoną. - Uniósł dłoń, by nie dopuścić Torringtona do głosu. - Tu jest nowy dom Frances, a jej imienia nie plami żaden skandal.

- Tak szybko? To niemożliwe! Nie dałem na to pozwolenia! - Torrington był w szoku, stopniowo jednak rewelacyjna wieść docierała do niego coraz dobitniej. - Jestem jej prawnym opiekunem! Jak pan śmiał pominąć moją zgodę!?

- Zwyczajnie, milordzie. W moich oczach stracił pan prawo do sprawowania opieki, kiedy naraził pan moją żonę na upokorzenie,

czyniąc z niej zwykłą służącą, poniżając jej godność i nie okazując należnego szacunku - odparł szorstko Aldeborough.

- Ona jest moją podopieczną.

- Nie. - Markiz uniósł dłoń Frances do warg. - Jest moją żoną.

Proszę pozwolić, że przedstawię panu markizę Aldeborough. Markiza uczyniła mi wielki zaszczyt, godząc się poślubić mnie w Priory na mocy specjalnej licencji.

- Doprowadzę do unieważnienia tego małżeństwa!

- Na jakiej podstawie? - Aldeborough mocno ścisnął palce żony.

- Nie ma żadnej - oświadczył stanowczo.

Frances potwierdziła jego słowa skinieniem głowy.

- Wrócisz ze mną, Frances. Nalegam.

- Nie. Nie ma pan już nade mną żadnej władzy - stwierdziła z chłodną mocą, choć do spokoju było jej daleko. - Zgodnie z bożym porządkiem pozostanę z moim mężem.

- Pożałuje pan tego, milordzie. Na pewno nie ucieszyłoby pana, gdyby szczegóły tych gorszących zdarzeń, jakże smakowite dla panów w klubach, dostały się do wiadomości publicznej. Wydaje mi się, że i bez tego dosyć plotkowano ostatnio o pańskiej rodzinie.

- Czyżby próbował pan szantażu, milordzie? - spytał Hugh z porażającym spokojem. - Stanowczo odradzam. Pan poniósłby znacznie większy uszczerbek, gdyby w towarzystwie dowiedziano się o pana niemoralnym postępowaniu wobec bratanicy. Jeśli bowiem mówimy o tym, co niestosowne, to publiczne użycie przemocy wobec

młodej, szlachetnie urodzonej kobiety stanowi wyjątkowo rażące naruszenie zasad przyzwoitości.

Torrington wyprostował się, usiłując zachować resztki godności.

- Uprzedzam, że to jeszcze nie koniec.

- Z pewnością. Są jeszcze pewne sprawy do załatwienia. Mój pełnomocnik skontaktuje się z panem w kwestii spadku mojej żony. - Markiz ani na chwilę nie wyszedł z roli uprzejmego gospodarza. - Byłbym wdzięczny, gdyby udzielił mi pan niezbędnych informacji, ponieważ milady wkrótce stanie się pełnoletnia. Moja żona nie podlega już pańskiej opiece.

- Niech pana diabli wezmą, Aldeborough! A ty, Frances, gorzko tego pożałujesz. Zapłacisz wysoką cenę za ten tytuł.

- Nie sądzę, stryju.

Torrington niemal wybiegł z pokoju.

- Nie rozumiem jednego. Dlaczego jemu tak bardzo zależy, żeby odzyskać status opiekuna? - spytała zdezorientowana Frances. - Nigdy nie interesowało go moje dobro, często powtarzał, że jestem dla rodziny ciężarem. Powinien się cieszyć, że wreszcie się mnie pozbył.

- A jednak. Kusiło cię, żeby z nim wrócić?

- Mój Boże, nie!

- Czy mogłabyś mi powiedzieć - zapytał po chwili - dlaczego ta wizyta tak bardzo cię zaniepokoiła? Nie chciałbym, żebyś martwiła się bez powodu.

- Och, już mówiłam. Po prostu nie chciałabym być pochowana żywcem w Torrington Hall. Czy nie powinniśmy się pospieszyć, jeśli mamy obejrzeć Tower? A może zrobiło się zbyt późno?

- Skądże znowu. Widoki Londynu czekają na ciebie, podobnie jak kolaska. - Wyprowadził ją z biblioteki, świadom, że dręczącego ją niepokoju nie da się tak łatwo rozproszyć.

Frances powoli przyzwyczajała się do życia na Cavendish Square. Ku swej uldze nie miała więcej spotkań sam na sam z markizą wdową, której chłodna dezaprobata, maskowana jedynie cienką warstwą dobrych manier, wciąż kładła się cieniem na nastrojach panujących w domu.

W Juliet natomiast odkryła pełną wigoru i zrozumienia powierniczkę, z którą mogła dzielić się ploteczkami, prowadzić rozmowy o modzie i innych błahostkach. Po latach samotnej egzystencji niełatwo jej było otwierać serce przed przyszywaną siostrą, ale Juliet nie zraziła jej powściągliwość i z zapalem dzieliła się z nią wiadomościami, a buzia jej się przy tym nie zamykała.

Nieoceniony był Matthew. Jeśli udało się go odciągnąć od licznych zajęć sportowych i namówić, by towarzyszył damom w wyjściu do miasta, stawał się najprawdziwszym bratem, jakiego Frances nigdy nie miała.

Meża natomiast widywała rzadko. Gdy się pojawiał, zachowywał się uprzejmie, lecz z dystansem. Nocami do niej nie przychodził, co budziło u niej mieszane uczucia. Tłumaczyła sobie usilnie, że nie jest tym rozczarowana, a nawet się cieszy, ponieważ to,

że nie potrafiła przyjmować jego pieśczoć bez uczucia lęku, stanowiło dla niej wielki problem. Jednak wspomnienia jego dotyku budziły w niej nieoczekiwane pragnienia, a gdy przypominała jej się Letitia Winters i wyobrażała sobie Aldeborough dzielącego z nią takie poufałości, dłonie same zaciskały jej się w pięści.

Frances siedziała w złotym salonie, gdy Watkins oznajmił, że w pokoju dziennym czeka na nią pan Hanwell. W pierwszym odruchu chciała odmówić przyjęcia kuzyna, jako że akurat ani męża, ani jego rodzeństwa nie było w domu i nikt nie mógł jej udzielić moralnego wsparcia, uznała to jednak za głupie i tchórzliwe. Charles był z nią spokrewniony i odnosił się do niej życzliwie, nawet jeśli pilnował, by nie wdać się z tej przyczyny w konflikt z ojcem. Nie miała powodu obawiać się tej wizyty.

Wszedł do pokoju dokładnie taki, jakim go zapamiętała.

Zadbany, starannie ubrany, choć bez ekstrawagancji, włosy modnie przycięte, uśmiechał się ciepło. Ujął jej dłoń, cmoknął w policzek.

- Frances, życie w Londynie niewątpliwie ci służy. Wypiękniałaś przez te tygodnie, kiedy cię nie widziałem.

Już nie czuła się zakłopotana. Dlaczego obawiała się tej wizyty? Charles nie przypominał ojca.

- Dziękuję. Jak widzisz, miewam się dobrze. Londyn jest bardzo zajmujący. - Tknięta nagłą myślą, spytała: - Czy to stryj cię przysłał?

- Nie, skądże. Nie potrzebuję niczyich poleceń, aby złożyć wizytę urodziwej kuzynce. Przyjechałem na kilka dni do stolicy, więc

spędzam czas najlepiej jak potrafię. Czy cię nie urażę, jeśli powiem, że dotąd nie zdawałem sobie sprawy, jak atrakcyjną jesteś kobietą? - Ucałował ją w rękę, którą przytrzymał od chwili powitania.

- Pochlebiasz mi, Charles. Jestem pewna, że to w dużej mierze skutek nowej kreacji. - Z przyjemnością przesunęła dłonią po muślinie w odcieniu pierwiosnków, zadowolona z wyrazu nieukrywanego zachwytu, malującego się na twarzy kuzyna. - Usiądź, proszę. Napijesz się herbaty?

- Dziękuję, ale nie. Nie mogę zabawić tu długo. - Zawahał się, jakby następne słowa wymagały podjęcia trudnej decyzji. Wreszcie spojrzał na nią zafrasowany. - Niełatwo mi to powiedzieć, ale obawiam się, że mój ojciec mógł cię zaniepokoić swoją wizytą. - Jego oczy promieniały współczuciem. - Po powrocie do domu oświadczył coś takiego, że... Nie wydaje mi się, żeby okazał ci należyty szacunek i troskę, dlatego pomyślałem, że wpadnę przeprosić za jego zachowanie. Zresztą miał na względzie jedynie twoje dobro. Po prostu chcemy, żebyś była szczęśliwa i nie czuła się do niczego przymuszona.

- Doprawdy, Charles, nie ma potrzeby... - Nie bardzo wiedziała, jak zareagować na całą tę słodycz.

- Ależ jest. Czy jesteś szczęśliwa? - spytał wprost.

- No cóż;.. - Zmieszana cofnęła rękę. Co mogła odpowiedzieć?

- Proszę mi wybaczyć, jeśli wydaję się zanadto bezceremonialny. Chcę jednak zapytać, czy Aldeborough dobrze cię traktuje? Wiem, że ma nie najlepszą reputację, jego nazwisko wiązano w

przeszłości z różnymi kobietami. Nie zasługujesz na to, byś była obrażana lub zaniedbywana przez lekkomyślnego męża.

Frances cofnęła się raptownie. Mogła docenić jego troskę o swoje samopoczucie, ale nie zamierzała z nim rozmawiać o swoim mężu.

- Proszę tak o nim nie mówić - odpowiedziała z wyraźnym chłodem. - Jest dla mnie bardzo dobry, nie mogę więc tolerować żadnych krytycznych uwag co do jego zachowania wobec mojej osoby.

- No tak. Wzburzyłem cię, a tego właśnie najbardziej chciałem uniknąć. - Charles próbował uśmiechem załagodzić sytuację. - Po prostu miałem nadzieję, że mąż cię nie zaniedbuje. W Londynie może bardzo doskwierać samotność, jeśli nie ma się licznych znajomych.

- Wcale nie czuję się samotna.

- Jestem pewien, że odkryłaś tu wiele rozrywek, a mąż nie ogranicza ci swobody. Wątpię zresztą, czy aprobowałaśbyś wszystkie jego zainteresowania. - Uśmiechnął się, żeby nie wyglądało to na krytykę. - Ostatnio stracił niemałą sumę w Newmarket, ale przypuszczam, że skoro dysponujecie tak olbrzymim majątkiem, nie ma to większego znaczenia.

- Istotnie. - Frances zmarszczyła czoło. Do czego zmierzał Charles?

- Zważywszy na problemy, jakie miała rodzina Laffordów w przeszłości, może to być jednak przypadek cichej wody. Ale cóż, dopóki czujesz się szczęśliwa i ja jestem zadowolony.

- Twoja troska jest niezwykle wzruszająca.

- Nie ma w tym niczego dziwnego. Jesteś moją krewną. Frances patrzyła na tę miłą twarz wyrażającą współczucie.

Wróciły do niej jednak obrazy z Torrington Hall i to zmusiło ją do brutalnej szczerości.

- Proszę mi wybaczyć, Charles, ale coś mnie tu jednak zaskakuje. Nie przypominam sobie, żebyś tak bardzo przejmował się moimi uczuciami, kiedy mieszkałam w Torrington Hall. Wtedy mnie nie pytałeś, czy jestem szczęśliwa. - Co prawda, Charles nigdy nie przejawiał zimnej obojętności, a tym bardziej okrucieństwa, jakimi cechowali się jego rodzice, ale też nie próbował jej bronić przed złym traktowaniem. Tego nie mogła mu wybaczyć.

- Frances, to nieprawda. Sama wiesz, jak trudno się przeciwstawić mojemu ojcu. Nawet najdrobniejsza uwaga wprawia go w jeszcze większe zaciętrzewienie. Robiłem co w mojej mocy, ale to on miał władzę nad tobą, nie ja. Przecież jest twoim prawnym opiekunem. Może jednak mimo wszystko zasługuję na złą opinię. Ale cóż, widzę, że wszystko dobrze się układa, co bardzo mnie cieszy. Żałuję tylko, że nic nie wyszło z planów ojca i nie mogliśmy wziąć ślubu. Bardzo tego pragnąłem.

- Długo wpatrywał jej się w oczy, wreszcie, jakby zakłopotany swoją deklaracją i milczeniem Frances, rzekł cicho: - Muszę iść. Może powiedziałem za dużo, ale moja troska o ciebie naprawdę nie ma granic. Czy obiecasz mi coś? - spytał ze śmiertelną powagą. - Gdybyś kiedykolwiek potrzebowała pomocy, bez wahania zwróć się do mnie.

Potraktuję to jak prawdziwy przywilej, jeśli będę mógł ci służyć, milady. Może zresztą da mi to szansę naprawienia błędów z przeszłości. Jestem pewien, że mnie rozumiesz. - Uniósł jej dłoń do warg, a potem pochylił się jeszcze raz, by cmoknąć ją w policzek.

W tej właśnie chwili drzwi otworzyły się i na progu pojawił się markiz Aldeborough. Ostentacyjnie przyjrzał się odgrywanej w salonie scenie, przez cały czas zachowując nieprzenikniony wyraz twarzy.

Frances poczuła pewne zakłopotanie, zła na siebie, że na policzki wystąpił jej rumieniec. Przynajmniej jednak mogła bez wstydu spojrzeć markizowi prosto w oczy.

- Dzień dobry, Hugh - odezwała się opanowanym tonem. - To jest kuzyn Charles, który przyjechał na kilka dni do Londynu.

- Naturalnie. Ostatnio mamy obfitość wizyt członków pańskiej rodziny - z ukłonem zwrócił się do Charlesa.

- Właśnie wychodziłem, milordzie.

- Nie będę pana zatrzymywał.

Charles skłonił głowę przed Frances, jakby chciał ją przeprosić.

- Mam nadzieję, że jeszcze nadarzy się okazja do spotkania, zanim wrócę do Torrington Hall, milady. Może na balu u Tavernerów. Milordzie. - Skinął głową i opuścił pokój.

Frances spojrzała na męża.

- Nie zachowałeś się szczególnie przyjaźnie.

- A dlaczego miałbym się tak zachować? Co on tutaj robił?

- Przyszedł życzyć mi wszystkiego dobrego i wyrazić nadzieję, że jestem szczęśliwa.

- Zauważyłem. - W jego głosie brzmiało jednoznaczne potępienie. - Całował cię w rękę. I w policzek. Nie wiadomo, na jaką zuchwałość jeszcze by sobie pozwolił, gdybym akurat nie wszedł do pokoju.

Słyszając to bezpodstawnie oskarżenie, Frances zachnęła się gwałtownie.

- Jaka zuchwałość?! - syknęła. - On jest moim kuzynem!

- Powiedzmy sobie coś jasno, Frances. Nie pozwolę, żeby inni mężczyźni cię całowali, pokrewieństwo nie ma tu znaczenia.

- Dobrze sobie! - W jej oczach błysnął gniew. Jej mąż popisał się arogancją, chociaż przez trzy ostatnie dni go nie widziała, bo zajmował się własnymi sprawami w Newmarket. W dodatku wyglądało na to, że nie tylko ma reputację flirciarza, lecz w dodatku utrzymuje bardzo atrakcyjną kochankę. - Jak śmiesz dyktować mi, jak mam się zachowywać wobec kuzyna?

- Zwyczajnie. Przypomnę ci też, że zaledwie trzy tygodnie temu bardzo się spieszyłaś, żeby od niego uciec. Wtedy wasze stosunki nie wyglądały na najcieplejsze. Najwyraźniej czegoś nie zauważyłem.

- Co sugerujesz? Poza tym sam chciałeś, żeby każde z nas żyło po swojemu. I bez wątpienia to robisz!

- Tyle że dyskretnie! A całowanie Charlesa w salonie nie jest dyskretnie.

- Imputujesz, że zachowałam się niestosownie?

- Ty może nie, ale do reszty twojej rodziny mam niewiele zaufania.

- Naprawdę nie uważam za sprawiedliwe, żebyś... - W porę ugryzła się w język.

Na szczęście do pokoju weszła Juliet i swoim zwyczajem, zignorowała napiętą atmosferę.

- Witaj, Hugh. Tęskniliśmy za tobą. Jak było w Newmarket? - Brat spiorunował ją wzrokiem, ale Juliet udała, że tego nie dostrzega.

- Czy to twój kuzyn przed chwilą wychodził, Frances?

- Tak.

- Szkoda, że nie przyszłam wcześniej. Nie sądziłam, że jest taki atrakcyjny. Mogłabyś mnie mu przedstawić.

Hugh spoglądał to na żonę, to na siostrę.

- Gusta bywają niepojęte - burknął i zirytowany opuścił pokój.

- Co go wprawiło w taki zły humor? - spytała Juliet. - Jego koń wygrał w Newmarket, więc myślałem, że będzie zadowolony.

Frances westchnęła. Ogarnął ją wielki smutek.

Rozdział siódmy

Bal u Tavernerów był wydarzeniem sezonu. Choć wypadał wcześniej i do Londynu nie ściągnęło jeszcze wiele osób z elity, to tłok w przybranej kwiatami i jedwabiami okazałej kamienicy wicehrabiego Tavernera świadczył o wielkiej potrzebie towarzystwa na takie imprezy. Naturalnie markiz i markiza Aldeborough musieli tam się zjawić.

U Frances, wystrojonej w jej ulubioną żonkilową suknię, przybraną kremowymi i złotymi wstążkami i bukietami jedwabnych pierwiosnków, bal budził mieszane uczucia radości, strachu, satysfakcji i zazdrości. Potem będzie go wspominać niczym kolekcję nakładających się na siebie kamei, karmiących wyobraźnię i zmysły niezapomnianymi wrażeniami. Jedno z nich miało nieustannie dręczyć jej serce i powracać w snach.

Ku swemu zachwytowi, a zarazem uldze została zaakceptowana przez Wigmore'ów. Aldeborough wykorzystał bal jako okazję, by przedstawić ją hrabiemu Wigmore'owi, jasnowłosemu młodemu arystokracie z roześmianą twarzą. Hrabia wezwał na pomoc żonę, która, jak wyjaśnił, była prawdziwą znawczynią wszelkich rozgałęzień drzewa genealogicznego rodu.

Frances została więc wkrótce rozpoznana jako córka ciotki Cecylii, o której nikt nie wspominał słowem od czasu, gdy uciekła i wyszła za mąż za nieodpowiedniego człowieka. Hrabia naturalnie był zbyt młody, by dobrze pamiętać te wydarzenia lub w jakikolwiek

sposób przyczynić się do bez wątplenia niesłusznego wykluczenia ciotki Cecylii z rodzinnego grona. Niestety jego dziadek przesadnie cenił rodową dumę i obsesyjnie dbał o korzystne mariaże. A ponieważ Cecylia ośmieliła się zlekceważyć jego autorytet i świadomie sprzeciwiła się jego woli...

Lecz była to już daleka przeszłość, o której należało zapomnieć. Hrabia nie wątpił, że Hanwellowie są pod każdym względem godni szacunku, choć - co zrozumiałe - nie utrzymywał towarzyskich kontaktów z wicehrabiostwem Torrington. Za to bardzo się ucieszył, że może poznać kuzynkę, zwłaszcza gdy okazała się nią markiza Aldeborough. Hrabia z pewnością nie przegapił cynicznego uśmiešku Aldeborough, gdy hrabina zaprosiła Frances na herbatę, by porozmawiać o rodzinnym drzewie genealogicznym. Lecz nawet jeśli markiz był cyniczny, to Frances odczuła satysfakcję z tak życzliwego przyjęcia.

Tradycyjne tańce nie stanowiły dla Frances wielkiego wyzwania, mogła w nich uczestniczyć, nie zwracając nadmiernej uwagi na swoje braki. Matthew, który był jej pierwszym partnerem w kotylionie, okazał się wprawnym tancerzem, zgrabnie prowadził też niezobowiązującą rozmowę. Frances miała pewne pojęcie o skomplikowanych przejściach i figurach, zdobyła je bowiem w latach swej podstawowej edukacji, którą odbierała wraz z córkami pastora z Torrington.

- Wystarczy ci trochę więcej pewności siebie - pokrzepił ją

Matthew, świadom jej niezbyt tęgiej miny i pełnych niepokoju zerknąć na stopy. - Nie było tak źle, prawda? - podsumował, gdy sprowadzał ją z parkietu. - O, mam tu kogoś. - Przeprowadził Ambrose'a, niesłychanie elegancko wyglądającego w ciemnym fraku i atłasowych spodniach do kolan. - Ambrose poprowadzi cię do kadryla. I proszę pamiętać, że można z nim konwersować. Twoje nogi same sobie dadzą radę, nie trzeba na nie spoglądać, no i liczenie nie jest konieczne, a już na pewno głośne!

Ambrose przesłał jej uśmiech, Frances odpowiedziała mu tym samym i poczuła się różnie. Cieszyła się rytmem muzyki, kolejnymi figurami, motylimi barwami tancerzy. W szeregu dostrzegła męża trzymającego za rękę energiczną brunetkę, która wykonywała obrót pod jego ramieniem. Miała na sobie białą muślinową suknię z różowym haftem i wstydliwie uśmiechała się do markiza.

- Kim jest dama tańcząca z Aldeborough? - spytała Frances. Ambrose wyciągnął szyję.

- To panna Ingram, jedna z tegorocznych debiutantek. W powszechnej opinii brylant czystej wody.

- Niewątpliwie tak. - Frances zdołała się zmusić do kolejnego spojrzenia na młodą pannę z jasnymi pierścionkami na głowie i wielkimi piwnymi oczami.

- Kilku młodych ludzi już jej się oświadczyło - ciągnął Ambrose. - Ona jest naturalnie poza moim zasięgiem, nawet gdybym jakimś cudem chciał się zakuć w małżeńskie kajdany. Jej matka wiązała duże nadzieje z Hugh, podobnie zresztą jak kilka innych matron mających

córki na wydaniu, z którymi Hugh zaczął flirtować. To znaczy aż do...

- Urwał gwałtownie, pochwycając zaciekawione, ale i spłoszone spojrzenie Frances. Kolejna figura kadryła znów ich rozdzieliła, a gdy taniec się skończył, Ambrose rzekł skruszony: - Proszę mi wybaczyć, Frances. Nie powinienem był tego powiedzieć. Nie do pani.

Była zadowolona, że jej stosunki z Ambrose'em są dostatecznie swobodne, by mogła pozwolić sobie na szczerość.

- Dlaczego nie, skoro to prawda? - Mężnie zignorowała bolesne ukłucie w sercu. - Oboje wiemy, że nie jestem oblubienicą, jaką wybrałby Aldeborough. Wolę znać prawdę, niż żyć fantazjami.

- Rozumiem. - Spojrzał na nią z powagą. - Hugh nie zdaje sobie sprawy z tego, jak mu się poszczęściło! Tego zresztą też nie powinienem był powiedzieć. - Uniósł jej dłoń do warg w geście znamionującym znacznie więcej niż tylko uprzejme podziękowanie za taniec.

Gdy Frances odwróciła głowę, by ukryć emocje, jakie wzbudziło w niej przenikliwe spojrzenie Ambrose'a, poczuła, że jest obserwowana. Z drugiego końca sali przyglądał jej się Hugh.

Markiz pozostawił pannę Ingram, by poprowadzić żonę w walcu. Napięta mina i chłodne spojrzenie nie wróżyły dobrze, ale Frances nie zwracała na to szczególnej uwagi. Jeśli mąż miał poczucie, że obowiązek nakazuje mu poprosić ją do walca, to była gotowa spełnić jego życzenie. Skoro wciąż gniewał się z powodu wizyty Charlesa, nie mogła nic na to poradzić. Uśmiechnęła się do niego promiennie i z wdziękiem dygnęła.

- Powinnam cię ostrzec, że jeszcze nigdy nie tańczyłam walca - poinformowała go, gdy objął ją w talii. - Pastor z Torrington uważał, że nie jest to stosowny taniec dla jego córek, więc nie nauczyłam się kroków.

- Zauważyłem. Odkąd wyszliśmy na parkiet, przynajmniej trzy razy nastąpiłaś mi na nogę, mimo że staram się uważnie prowadzić. Może masz myśli zajęte czym innym? - Jego mina i ton głosu nie były zbyt zachęcające.

- Jesteś niesprawiedliwy! Przecież uprzedzałam, że nie mam tanecznych talentów. - Nawet w jej uszach zabrzmiało to zgryźliwie, ale wcale nie dręczyły jej wyrzuty sumienia.

- Owszem, byłaś bardzo konkretna.

- A ty jesteś w bardzo złym humorze! - Porzuciła wszelkie starania, by zachowywać się pojednawczo, i spojrzała na niego koso. - Psujesz mi mój pierwszy bał.

- Na szczęście nie brakuje ci partnerów, którym humory dopisują.

Nie miała pomysłu na ripostę, więc zakończyła pierwszego walca w życiu w lodowatym i pełnym godności milczeniu.

Partnerów naprawdę jej nie brakowało. Niestety jednym z nich był Charles. Ponieważ starał się być czarujący, okrążyli salę nie bez pewnego wdzięku, a Frances coraz lepiej panowała nad krokami. Charles uśmiechał się do niej i konwersował jak rozsądny człowiek, toteż poczuła się swobodniej, przez cały czas była jednak świadoma krytycznego spojrzenia męża.

- Proszę mi wybaczyć, Frances. Tamtego popołudnia nie zamierzałem podsunąć Aldeborough fałszywego wrażenia ani dać mu oręza, którego mógłby użyć przeciwko tobie. Kierowałem się jedynie szczerą troską.

- Nic się nie stało, Charles. Aldeborough i ja dobrze się rozumiemy. - Nie zamierzała rozmawiać z nim o swoim mężu, trudno było jednak nie reagować na ciepły uśmiech Charlesa i jego przejawy troski, tak bardzo różne od chłodnej arogancji markiza. Śmiała się więc z jego żartów i odwzajemniała serdeczności. Postanowiła ignorować sygnały dezaprobaty, wysyłane jej przez człowieka, o którym wciąż się dowiadywała, że ma reputację zwykłego hulaki.

Wieczór skończył się dla Frances katastrofalnie. Zacieśniła znajomość z panną Vowchurch, ale ani nie miała z tego przyjemności, ani nie zdawała sobie sprawy z reperkusji, jakie to wywoła. W dodatku, ponieważ panna Vowchurch była tego wieczoru pod opieką markizy wdowy, prezentującej się z dostojeństwem w kasztanowym atłasie z licznymi strusimi piórami przy nakryciu głowy, Frances nie miała innego wyjścia, jak zamienić z damą kilka grzecznościowych zdań. Penelope wyglądała czarująco w białej organdynewej sukni, okrytej tiulem z cekinami, a gdy tańczyła kotyliona z Aldeborough, Frances zwróciła uwagę, jak dobrze do siebie pasują. Z takim wdziękiem i elegancją Penelope byłaby znakomitą markizą.

- Ślicznie pani wygląda. - Penelope stać było na wielkoduszność.
- Widziałam, że pani doskonali swoje umiejętności taneczne.

- To prawda. Matthew i Ambrose uprzejmie pozwolili mi trochę ze sobą poćwiczyć. Ich nogi ucierpiały, ale mimo to byli niezwykle mili.

- Aldeborough znakomicie tańczy. Widziałem go w walcu z panną Charlesworth. Wspaniale razem wyglądali. A w tej chwili, o, właśnie tańczy walca z panią Winters. Czy była jej pani przedstawiona? Prawdę mówiąc, dziwię się, że ona tutaj jest, ale z drugiej strony przyjmują ją właściwie wszędzie, chociaż moja mama nie uważa za stosowne zaprosić jej na żaden z naszych wieczorków dla wybranych gości. Aldeborough naturalnie zna ją bardzo dobrze. Może jej panią przedstawi.

Penelope, z przylepioną do twarzy skromną miną, została zaproszona do tradycyjnego tańca przez lorda Haya, więc

Frances mogła w samotności zastanowić się nad rzeczywistym znaczeniem słów panny Vowchurch. Mogła też bliżej przyjrzeć się kobiecie, która pomachała do niej podczas przejażdżki. Zachowanie pani Winters na parkiecie, gdy wirowała w objęciach markiza, świadczyło o jej dużym doświadczeniu w sztuce flirtu. Pożądania bijącego z jej roziskrzonych oczu nie sposób było nie zauważyć. Zwracały też uwagę kształtna figura i obfite kobiece wdzięki, podkreślane suknią z głębokim dekoltem. Biżuterię miała gustowną, starannie upięte złote loki opadały z czubka głowy aż na blade ramiona, otaczając urodziwą i wyrazistą twarz. Szkoda, że jej zielone oczy mają taki drapieżny wyraz, pomyślała Frances, mimo woli zaciskając dłonie w pięści, gdy widziała, jak pani Winters rzuca jej

mężowi uwodzicielskie spojrzenia. W pewnej chwili Aldeborough pochylił się, by lepiej usłyszeć jej słowa, i policzkiem prawie otarł się o jej włosy. Ten gest wydawał się tak bardzo poufały, że Frances z wrażenia wbiła sobie paznokcie w dłonie.

Zaraz jednak uniosła głowę i odwróciła się. Akurat pojawił przy niej Ambrose i zaproponował kieliszek wina. Stanęli w niszy okiennej. Frances była zadowolona, że może ochłodzić rozpalone policzki w zacisznym miejscu, a do tego napić się szampana. Popatrzyła na Ambrose'a i cicho westchnęła. Rozumieli się doskonale.

- Podejrzewam, że on złamał już niejedno serce.

- Tak... - Ambrose uśmiechnął się kwaśno. - Myślę jednak, że nie robił tego celowo. Nie byłby taki okrutny.

- Nie.

- Niech pani nie pozwoli, żeby i ją to spotkało. Próbowала zapanować nad nagłym przyływem uczuć, wywołanym tak nieoczekiwanym zachowaniem.

- Pan dużo rozumie... - Ten nagły wyraz solidarności wzbudził w niej falę gwałtownych uczuć. Wyciągnęła rękę, a Ambrose ujął ją i otoczył ciepłem swoich dłoni.

- Proszę pamiętać, że dla niego to nic nie znaczy. I nie sądzić go, póki lepiej się nie poznacie. To prawdziwy wzór przyjaciela, a poza tym ostatnie miesiące były dla niego naprawdę trudne. Dużo stracił, a mało zyskał. Niełatwo mu się pogodzić ze śmiercią Richarda, o którą cały czas się obwinia.

- Skoro rozmawiamy szczerze, to cóż... nie ułatwiłam mu życia, prawda?

Tym spokojnym wyznaniem, prostym stwierdzeniem faktu tak bardzo wzruszyła Ambrose'a, że postanowił wygarnąć markizowi od serca. Nie można tak lekceważyć uczuć innych. Współczująco uścisnął dłoń Frances.

W tym niefortunnym momencie markiz zmaterializował się u ich boku, wcale jednak nie wydawał się przyjacielski.

- Już późno. Jeśli wolno mi przerwać to sam na sam, odwiezę cię do domu, milady.

- Naturalnie. - Wysunęła rękę z lekkiego uścisku Ambrose'a i chciała ruszyć za mężem, ale Aldeborough przepuścił ją i Frances była zmuszona dołączyć do markizy wdowy.

To dało markizowi okazję, by zamienić kilka słów z Ambrose'em.

- Gdybyś był kim innym, wyzwiałbym cię na pojedynek! - natarł z furją.

- A ja odmówiłbym. Nie ośmieszaj się, Hugh. Nie było niczego niestosownego w mojej rozmowie z Frances. - Ambrose'owi gwałtowna reakcja przyjaciela wydała się bardzo intrygująca.

- Nie życzę sobie widzieć, jak trzymasz moją żonę za rękę pośrodku sali balowej.

- Gdybyś nie poświęcał tyle czasu swemu najnowszemu flirtowi, sam trzymałbyś ją za rękę i zapewniam cię, że to sprawiłoby jej o wiele większą przyjemność.

- Nie flirtuję!

- Frances też nie. Szkoda, że nie jesteśmy gdzie indziej, bo przyłożyłbym ci, żebyś otrzeźwiało. Nie dostrzegasz tego, co masz pod samym nosem.

- A kto ci pozwolił nazywać moją żonę Frances?

- Ty sam!

Markiz zirytował się jeszcze bardziej, wiedział bowiem, że nie ma racji.

- Idź do diabła!

Odwrócił się na pięcie i wyszedł śladem żony.

Ambrose patrzył, jak oboje opuszczają salę balową. Hugh, nie zdając sobie z tego sprawy, zachowywał się jak zazdrosny i zaborczy mąż. Ambrose wzruszył ramionami i udał się na poszukiwanie sympatycznego towarzystwa do partyjki kart. W duchu liczył, że Frances znajdzie dość odwagi, by przeciwstawić się wzburzonemu mężowi. Wynik mógł być wtedy interesujący. Ambrose miał niejasne podejrzenie, że oto trafiła kosa na kamień.

Przekonała się już, że w jego charakterze nie leży odkładanie spraw na później ani czekanie, aż opadną emocje, więc bała się. Nie wiedziała, co powiedzieli sobie Aldeborough i Ambrose, ale jej mąż opuścił dom Tavernerów w stanie furii. W powozie atmosfera była wyjątkowo napięta, lecz markiza wdowa wydawała się na to obojętna i przerywała milczenie nieistotnymi, za to często złośliwymi uwagami o gościach obecnych na balu. Frances odpowiadała zgodnie z jej

oczekiwaniami, przez cały czas świadoma buzującej wściekłości Aldeborough. Juliet bez przerwy paplała coś o kreacjach i tańcach.

W domu służąca ostrożnie zdjęła jej wspaniałą suknię, rozplotła włosy i odłożyła perły do szkatułki oklejonej aksamitem, po czym życzyła dobrej nocy. Frances, zatroskana wszystkim, czego dowiedziała się podczas balu, zaczęła nerwowo przechadzać się po pokoju, szeleszcząc jedwabnym szlafrokiem. Starannie pielęgnowała w sobie złość, podsycając ją obrazami męża całującego ozdobione pierścionkami dłonie tamtej kobiety, wołała bowiem nawet przed sobą nie przyznawać się do lęku.

Wszedł do pokoju jak zwykle kocim ruchem, prawie niezauważalnie. Zdążył już przebrać się po balu i miał na sobie elegancki szlafrok z niebieskiego atłasu. Wyraz jego twarzy nie wydawał się zachęcający.

Odwróciła się do niego, choć wbrew temu, co próbowała zademonstrować, wcale nie czuła się pewnie.

- Widzę, że byłem oczekiwany, żono.

- Tak. - Uniosła wyżej podbródek.

- Nie sądziłem, że będę musiał to ci powiedzieć. Nie życzę sobie oglądać, jak flirtujesz z innymi mężczyznami. Czy to rozumiesz?

- Nie bawię się w żadne flirty! - Przynajmniej oburzenia nie musiała udawać. - Nigdy w życiu z nikim nie flirtowałam. Twoje oskarżenia są bezpodstawne.

- Cóż więc właściwie robił Hanwell, trzymając cię za rękę i całując po palcach? A potem jeszcze zastałem cię w odosobnionym

miejscu podczas konwersacji z Ambrose'em. Wygląda na to, że niewłaściwie oceniłem kobietę, którą poślubiłem.

- Jak śmiesz! - Aż zbladła, rozsierdzona tą krzyczącą niesprawiedliwością. - Ambrose tańczył ze mną, kiedy ty nie miałeś na to ochoty, bo byłeś zbyt zajęty podziwianiem wdzięków panny Ingram. A trzymałam Ambrose'a za rękę, bo... bo potrzebowałam pocieszenia.

- Jeśli szukasz pocieszenia, zwrócić się do mnie. - Władczym ruchem wyciągnął rękę, starannie maskując dręczącą go zazdrość. Ku swemu niezadowoleniu przypomniał sobie zboląłą z jego winy Frances, która podaje dłoń Ambrose'owi, a on skorzystał z tego bez skrępułów. Wiedział naturalnie, że Frances jest zupełnie niewinna, ale dla niego nie stanowiło to różnicy. Była jego i z nikim nie zamierzał się nią dzielić. - Daj mi rękę - zażądał.

- Nie! - Ukryła dłonie za plecami. Arogancja męża sprowokowała ją do kontrataku. - Dziwię się, że w ogóle znalazłeś czas, by mnie zauważyć. - Wiedziała, że drażni tygrysa, ale co tam. - Jak to możliwe, że udało ci się oderwać uwagę od wdzięków pani Winters?

Hugh zdrętwiał. Czuł się tak, jakby został uderzony.

- Słucham?

- Wiele osób zwracało mi uwagę na tę damę - wyjaśniła, spoglądając mu prosto w oczy.

- Co wiesz o Letitii Winters? - Jego gładki zazwyczaj ton głosu zabrzmiał teraz wyjątkowo szorstko.

- Przyznam, że niewiele, ale może powinnam wiedzieć więcej? Wszyscy sugerują, że, oględnie mówiąc, bardzo lubisz jej

towarzystwo. - Odwróciła się do niego plecami i podeszła do kominka.

- Ona nie ma nic wspólnego z naszym małżeństwem. Nie mieszaj się do tego.

- Wobec tego jakim prawem kwestionujesz moje zachowanie, nawet jeśli byłoby niestosowne, a nie było! Charles i Ambrose nie naruszyli zasad przyzwoitości. Jakim prawem przyjmujesz pozę sędziego?

- Całkiem zwyczajnym. Jesteś moją żoną, więc należysz do mnie duszą i ciałem. - Podeszedł do niej, chwycił za ramiona i potrząsnął nią, ostatkiem sił panując nad furją. - Jeśli tęsknisz za romansem, to ci go dam. Mam więcej doświadczenia niż Ambrose. - Zdarł z niej szlafrok. Jedwab z szelestem spłynął na podłogę. Zobaczył, że Frances wzdrygnęła się i nagle znalazła się gdzieś daleko, on zaś zapłonął gniewem przemieszonym z żądzą. Teraz nie było już mowy o cywilizowanym zachowaniu. Dał znać o sobie pierwotny instynkt mężczyzny, który chce posiadać swoją kobietę. - Co najwyżej tolerujesz moje pieszczoty. Może za mało się starałem.

Krzyknęła, a w jej głosie słychać było sprzeczne emocje, które dusiła w sobie od dawna. Aldeborough uciszył ją brutalnym pocałunkiem. Owładnęło nim zaborcze pożądanie, nie było tu miejsca na delikatność, na względy dla niedoświadczonej oblubienicy.

Rozwiązawszy koszulkę, zsunął ją z ramion Frances aż do łokci i pocałunkami zaczął wytaczać na jej ciele gorący szlak, a jego dłonie brały w posiadanie jej ramiona, piersi, plecy. Gdy gnany dziką żądzą

chciał znów zawładnąć pocałunkiem jej usta, przypadkiem zauważył odbicie ich dwojga w lustrze nad toaletką. Zmartwił, a potem puścił Frances, cofnął się o krok i wziął ze stolika świecznik.

- Obróć się - powiedział beznamiętnie, ale nie ulegało wątpliwości, że to rozkaz. Cofnęła się, pokręciła głową. Nie mogła pozwolić, żeby zobaczył to, czego tak bardzo się wstydziła. Zaczęła poprawiać koszulkę, żeby okryć nią ramiona. - Obróć się, proszę - powtórzył, a potem znów zsunął cienki jedwab i wysoko podnosząc świecznik, oświetlił plecy. Na alabastrowej skórze widać było wyraźnie ślady, od ramion aż po talię. Blizny były. stare i dobrze zagojone, nie ulegało jednak wątpliwości, że są świadectwem licznych razów. Przez chwilę milczał, potem delikatnie przeciągnął palcem po jednym ze śladów na skórze, potem drugim. Wprost nie wyobrażał sobie takiego okrucieństwa. Jak to możliwe, że wcześniej nie zauważył tego piętna? - oskarżał siebie. Tknięty wielkim współczuciem, zaczął muskać wargami blizny. - Kto ci to zrobił? - spytał cicho, choć przecież znał odpowiedź.

Wzruszyła ramionami, jakby była to mało istotna sprawa.

- Mój stryj. - Obojętnie wzruszyła ramionami.

Hugh nie dał się jednak zwieść pozornej obojętności. Usłyszał w jej głosie cierpienie.

Tłumiąc rozsadzającą go furię na występnego Torringtona, odstawił świecznik i z wielką starannością zawiązał troczki koszulki żony, a potem zaprowadził Frances na miękką kanapę, gdzie usiedli blisko siebie.

- Możesz mi o tym opowiedzieć?

Przygryzła wargę, spłotła dłonie na kolanach. Nie potrafiła tego wyjaśnić, ale te blizny wydawały jej się poniżające, zupełnie jakby powstały z jej winy.

- Opowiedz mi! - nalegał, nie chcąc dopuścić, by zamknęła się w sobie, przestraszony wyrazem lęku w jej oczach. Gdy nadal milczała, ujął ją za rękę. - Frances, nie wszyscy mężczyźni są podobni do twojego stryja. Ja też nie. Brzydzą się przemocą, nienawidzę, gdy ktoś wykorzystuje siłę swych pięści, by pognać słabszych. Uwierz mi... i po prostu opowiedz.

Wreszcie odzyskała głos. Brzmiał trochę niepewnie, ale siły było w nim dość.

- Już kiedyś mówiłam, jeśli pamiętasz. Próbowałam uciec z Torrington Hall. Stryj przywiązał mnie wtedy do nogi od łóżka i... no, skutek sam widzisz.

- To nie było tylko jedno bicie, prawda?

- Nie...

- Krzywdził cię. - Wciąż nie mieściło mu się to w głowie.

- Tak...

- Jaki miał ku temu powód?

- Nie potrzebował go, choć przyznaję, że nie zawsze byłam posłuszna. Pewnie sama sobie na to zasłużyłam, tak w każdym razie twierdził. Kiedyś spóźniłam się do domu, bo koń mi okulał, ale on uznał, że znowu próbowałam uciec i... Nie, nie chcę o tym mówić.

Był przerażony potulnością, z jaką przyjmowała kary stryja.

- Nic nie usprawiedliwia takiego okrucieństwa! Nie miałaś się do kogo zwrócić? Może do stryjenki albo do kuzyna?

- Udawali, że o niczym nie wiedzą. Tak było wygodniej - rzuciła z drwiną.

Przez chwilę ważył w myślach następne pytanie.

- Czy... Czy stryj dotykał cię również w inny sposób? Gdy znaczenie tych słów do niej dotarło, zadrżała.

- Nie - szepnęła.

Odczuł przynajmniej częściową ulgę.

- I nikt nigdy nie okazał ci ciepła ani przyjaźniejszego uczucia? - spytał, choć już znał odpowiedź.

- Byłam zupełnie sama....

- Nie ufasz mężczyznom, prawda? I trudno cię o to winić.

- Nie widzę powodu, by im ufać.

- Sam też dołożyłem swoją cegiełkę. - Ukrył twarz w dłoniach. -

Co mogę zrobić?

Nie spodziewał się odpowiedzi, ale Frances go zaskoczyła.

- Nie obwiniaj się, proszę. Przecież ocaliłeś mnie przed strasznym losem. Dałeś mi dom i to wszystko. - Zatoczyła ręką łuk. - Żyję w luksusie i już się nie boję. Nie budzę się rano z obawą, że... że mogę zrobić coś, czym zasłużę na karę. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jakie to dla mnie ważne. Jak wobec tego mogłabym mieć do ciebie jakiegokolwiek pretensje?

- A jednak odsuwasz się ode mnie. Godzisz się na pieszczoty, które tak naprawdę nie sprawiają ci przyjemności. Czy obawiasz się,

że uderzę cię pod byle pretekstem? A może mój dotyk jest przykry?
Proszę mi szczerze odpowiedzieć, Frances.

- Nie - szepnęła.

- Spójrz na mnie. - Podniosła oczy, w których odbijały się bolesne wspomnienia i lśniły niechciane łzy. - Daję ci słowo honoru, że nigdy cię nie skrzywdzę. - Uśmiechnął się, by rozładować napięcie.

- Nigdy nie będę pani bił ani robił innych strasznych rzeczy, które może ci podsuwać wyobraźnia. Czy mi wierzysz?

- Tak - szepnęła, patrząc na niego.

- Pewnie nie do końca, ale z czasem mi zaufasz - zapewnił smutno. - Już ja o to zadbam. Nikt nigdy więcej cię nie skrzywdzi.

Spontanicznie ujęła męża za rękę i przytuliła ją do policzka. Hugh zaś starał się uładzić sprzeczne uczucia. Miał wyrzuty sumienia, ale przede wszystkim miotła nim furia. Zacisnął dłonie w pięści, wyobrażając sobie, że złapał za szyję Torringtona. Wreszcie rozumiał, skąd wzięły się zahamowania Frances. I pojął, że czeka go niełatwe zadanie.

- Chodź do mnie - szepnął czule, a ona poczuła łzy ciskające jej się do oczu. - Jesteś ledwie żywa. - Wziął ją na ręce, przez chwilę tulił do siebie, a potem ułożył w pościeli. Zamierzał wyjść z pokoju, ale Frances wciąż trzymała go kurczowo. Zrozumiał, jak bardzo jest jej potrzebny. - Nie wszyscy mężczyźni są okrutni i bezmyślni - powiedział, wpatrując się w jej oczy.

Bez wahania otworzyła przed nim ramiona. Pierwszy raz mężczyzna okazał jej tyle ciepła. Miał delikatne ręce, wręcz

stworzone do tego, by nimi koić ból. Chciał uwolnić ją od wszystkich złych wspomnień. Wargami dotykał jej włosów, oczu, policzków, głaskał ją po ramionach, a potem przesunął dłonie na plecy, gdzie już zawsze światło świec miało odsłaniać blizny, dowód ludzkiego okrucieństwa. Nie opierała się, gdy znów rozwiązał troczki koszuli.

Spojrzał w jej niezwykle oczy w odcieniu fiołków i przekonał się, że lśnią, pełne spokoju i wiary. Wiedział, że stoi przed nim bardzo trudne zadanie, ale przecież złożył Frances obietnicę. Bardzo pragnął ją posiąść, pamiętał jednak, że musi nad sobą panować i przede wszystkim zadbać o jej przyjemność. Skupił się więc na pieszczotach, czułych, delikatnych, intymnych. Rosła między nimi prawdziwa bliskość, dana tylko tym, którzy prawdziwie się kochają i ufają sobie bez granic.

Kiedy wreszcie wsunął się w nią i znieruchomiał, by przyzwyczaiła się do jego obecności w sobie, westchnęła. Zachwycił się, gdy poddając się instynktowi, wyprężyła się, by poczuć go głębiej. Tym razem była gotowa go przyjąć. Uradowany, szeptał jej czułe słowa zachęty, a ona odpowiadała mu westchnieniami i cichymi okrzykami. Tym razem nie były to jednak oznaki bólu czy strachu. Całe jej ciało poddało się niezwykłemu, wszechogarniającemu doznaniu, wstyd i zakłopotanie odeszły w zapomnienie. Frances pragnęła miłości z tym jednym jedynym mężczyzną. Zalał ją żar, który zdawał się pulsować w gorączkowym rytmie bijącego serca. Temu doznaniu było równie blisko do bólu, co do rozkoszy, a jednak

zdawało się ono obiecywać jeszcze więcej, choć Frances nie wiedziała, co to „więcej” mogłoby oznaczać.

Aldeborough ostatnim potężnym pchnięciem osiągnął spełnienie, otoczony urzekającym ciepłem ciała żony. Potem oparł się na łokciach, by przyjrzeć się jej twarzy w świetle świecy. Czarne włosy miał potargane i zlepione potem. Uśmiechnęła się do niego, wzruszona jego czułością, on zaś odgarnął jej włosy z czoła i delikatnie ją pocałował.

- Frances?

- Tak?

- Nie skrzywdziłem cię?

- Nie. Nie zdawałam sobie sprawy, jak... jak... - Nawet w przyćmionym świetle zauważył zalewający ją rumieniec.

- Jak może być przyjemnie? - Jego ton wskazywał, że pytaniu towarzyszył uśmiech.

- Tak, Hugh. Właśnie to chciałam powiedzieć.

- Zobaczysz, będzie jeszcze przyjemniej. - Zaczął okrywać pocałunkami jej twarz. - Obiecuję. - Zdawał sobie sprawę, że nie doprowadził jej do prawdziwego spełnienia i nawet zastanawiał się, czy nie rozniecić ognia raz jeszcze, uznał jednak, że Frances miała na dziś już wystarczająco dużo wrażeń.

- Wiem... - Było jej cudownie ciepło, a przy nim czuła się bezpieczna jak nigdy. Czego więcej mogła jeszcze pragnąć?

Następnego ranka Juliet namówiła Frances na obejrzenie ślicznych sukien madame Celeste, która otworzyła salon na Bond

Street i szybko zdobywała gustujących w najnowszej modzie klientów. Naturalnie w podtekście miała na myśli zakupy. Frances nie trzeba było długo namawiać i właśnie zamierzały razem opuścić dom, gdy w holu zatrzymał je Hugh.

Był ubrany we wspaniałe granatowe surduty, niewątpliwie od Westona, korzystnie podkreślające szerokie ramiona i wąskie biodra. Jasne spodnie łączyły do ud niczym druga skóra, a buty z cholewami, zdobione frędzlami, lśniły. Strój uzupełniała kremowa atlasowa kamizelka i elegancki zegarek z dewizką.

- Znów zakupy, jak widzę. Nie pozwól, moja droga, żeby

Juliet ciągnęła cię do każdego możliwego sklepu ze strojami w Londynie, bo umrzesz z wyczerpania. Niespożyte siły w dążeniu do przyjemności to nasza słabość rodzinna.

Patrzył na Frances, szukając jej wzroku, a ona nie mogła mu się oprzeć. Aż za dobrze pamiętała zakończenie poprzedniego wieczoru. W końcu spłonęła rumieńcem i spuściła głowę, więc nie zauważyła uśmiechu satysfakcji na twarzy męża.

- Któż lepiej o tym wie niż ty, Hugh - nie pozostała dłużna Juliet.

- Ile mil byłeś gotów przejechać w zeszłym tygodniu, byle obejrzeć jakąś ohydą walkę bokserską?

- Cóż za brak delikatności, droga siostrzyczko! O takich rzeczach w ogóle nie powinnaś wiedzieć. Czy to informacja od Matthew?

- Nie ujawniam źródeł!

- Widzę, milordzie, że jesteś gotowy do wyjścia - przerwała Frances rodziną potyczkę na słowa. - Może zechcesz nam towarzyszyć?

- Och, nie. - Uśmiechnął się. - Próbowałaś namówić Matthew? Z pewnością tak. Wiedziałem, że jestem dopiero drugi w kolejce.

- Matthew ma pilną sprawę do załatwienia.

- On zawsze ma pilne sprawy, ale tym razem ja na szczęście również. Zanim jednak wyruszysz, chcę o coś zapytać. Zamierzam w końcu tygodnia wybrać się do Priory. Trzeba tam rozwiązać pewne problemy, a w mojej obecności będzie to łatwiejsze. Wybiera się ze mną Ambrose, który chce odwiedzić stryja, i Matthew pewnie też, bo to okazja, żeby postrzelać. Może i wy się dołączycie? - Zaproszenie było dwuosobowe, ale Hugh patrzył wyłącznie na Frances. - Potrafię naturalnie zrozumieć, jeśli Londyn okaże się większą atrakcją niż pobyt na wsi. - Od razu wiedział, że skłamał. Bardzo zależało mu na towarzystwie żony. Marzył o tym, by spędzić z nią kilka dni w mniej oficjalnej atmosferze i lepiej ją poznać. Z żoną! Ta myśl wciąż go zadziwiała. A ostatni wieczór odsłonił przed nim całkiem nowe perspektywy.

Juliet zareagowała zgodnie z jego oczekiwaniami.

- Jechać do Priory? Teraz, kiedy właśnie zaczął się sezon? Tylko pomyśl o tych wszystkich balach i przyjęciach, które by mnie ominęły. Naprawdę nie mam ochoty udawać się do żadnej wiejskiej pustelni.

- A ty, droga Molly? Czy zechcesz spędzić ze mną kilka dni na odludziu?

Uśmiech pojawił się na jej wargach i rozświetlił oczy.

- Prawdę mówiąc, mam na to wielką ochotę.

- Frances! Jak możesz? - Zdumiona i zaintrygowana zarazem, Juliet spojrzała na nią i na brata. - Chcesz zagrzebać się na prowincji, gdy wszyscy, którzy się liczą, są w Londynie?

Frances roześmiała się.

- Lubię życie na wsi i chciałabym wrócić do Priory. - Tam jest mój dom, pomyślała. Przy Cavendish Square panowały sztywne reguły narzucone przez markizę wdowę, służba chodziła napuszona i zachowywała się ceremonialnie. Zdecydowanie chciała jechać do domu.

- Rozumiem - stwierdziła Juliet. - Myślę, że chętnie odpoczniesz od towarzystwa mamy.

- No, akurat to jest jakimś argumentem - przyznała Frances ze śmiechem.

- Z przyjemnością więc zawiozę cię do Priory. - Markiz ujął ją za rękę, nie kryjąc satysfakcji.

Frances z kolei była zachwycona, bo zaproszenie oznaczało, że mąż szuka jej towarzystwa. Cichy głos podszeptował, że w odległym od Londynu Priory Letitia Winters nie będzie miała żadnego wpływu na markiza.

- Jedno zastrzeżenie - dodała, tknięta nagłą myślą. - Nie chcę składać wizyty w Torrington Hall.

- Naturalnie. Nigdy nie żądałbym tego od ciebie.
- Wiedziałam, że mnie zrozumiesz.
- Nie chcesz odwiedzić stryjostwa? - zdziwiła się Juliet. -

Poranna wizyta na pewno byłaby stosowna. Czyżbyś nie zamierzała już być w swoim dawnym domu?

- Są powody, dla których Frances nie powinna się tam pokazywać - poinformował krótko Hugh, uwalniając żonę od konieczności składania wyjaśnień.

- No, pięknie. Widzę, że macie przede mną sekrety!

- Gdybyśmy ci wszystko mówili, pojęcie sekretu przestałoby istnieć. Zostawiam was, żebyście mogły spokojnie zrobić zakupy. Wyjeżdżamy w piątek rano.

Wyprawę na zakupy obie uznały za wielki sukces. Mając w perspektywie kilka dni na wsi, Frances dała się namówić na kupno pięknego i ekstrawaganckiego kostiumu jeździeckiego z ciemnozielonego aksamitu. Suto marszczona spódnica doskonale na niej leżała, a wąski zakiet naszywany czarnym jedwabnym sutaszem nawiązywał do wojskowego munduru. Zdawała sobie sprawę, że intensywny kolor korzystnie kontrastuje i z jej ciemnymi włosami, i jasną karnacją. Cieszyła się, że wystąpi w tym kostiumie podczas objazdu gruntów Priory w towarzystwie męża.

Gdy szły po Bond Street w kierunku domu, raz po raz zatrzymywał je ktoś znajomy, ludzie chcieli bowiem zacieśnić kontakty z markizą Aldeborough. Była wśród nich także panna Penelope Vowchurch, która znudziła się konwersacją matki z jej

przyjaciółkami i wyszła zaczerpnąć świeżego powietrza. Uśmiech miała chłodny, a zachowywała się z jeszcze chłodniejszą rezerwą, ponieważ jednak skręcając w Bond Street, wyszła prosto na Frances i Juliet, nie miała innej możliwości, jak przystanąć i zamienić z nimi parę zdań.

- Witamy panią, Penelope. - Juliet uśmiechnęła się do niej z nutą złośliwości. - Jak się pani miewa po zabawie do białego rana?

- Nie zabawiłyśmy tak długo - wyjaśniła spokojnie Penelope, - Moja mama nie uznaje przesady w tańcu ani przebywania poza domem po północy. A pani podobało się na balu, Frances? To musiała być dla pani pierwsza taka okazja, więc smak nowości mógł wydać się atrakcyjny. Co do mnie, to uważam, że bale są nudnawe, a poza tym zbyt tłoczne.

- Mnie się tam bardzo podobało. - Juliet bez trudu wychwytywała niuanse konwersacji i chętnie podejmowała wyzwania. - Jestem pewna, że moja szwagierka też była zachwycona.

- Tak - przyznała Frances. - To był bardzo zajmujący wieczór. Spotkałam tylu miłych i życzliwych ludzi.

- Naturalnie. Wszyscy okazali żywe zainteresowanie pani osobą po wiadomościach o waszym błyskawicznym i nieoczekiwanym ślubie. Mogę zrozumieć ich... ciekawość. Chciałabym jeszcze dodać, Frances, że pani wczorajsza suknia była urocza. Naturalnie ten odcień żółci w połączeniu ze złotem może wyrzucić bardzo niekorzystne wrażenie. Nie każdemu pasuje to zestawienie. Ja na przykład nie mogłabym go stosować.

- To prawda, ale będąc mężatką, Frances może swobodnie dobierać kolory. Sama chciałabym włożyć kiedyś coś, co nie byłoby białe, ale mama mi nie pozwala. W każdym razie biały też nie zawsze wygląda korzystnie i jestem pewna, że się pani ze mną zgodzi, Penelope. - Juliet doskonale wiedziała, jak dobrze jest jej w bieli, ale nie darzyła sympatią panny Vowchurch.

- Naturalnie - odpowiedziała Penelope i znów zwróciła się do Frances. - Zauważyłam, że miała pani partnerów we wszystkich tańcach. Domyślam się, że w Yorkshire nieczęsto zdarzały się okazje do tańca.

- Nie miałam ich wcale - przyznała Frances, uważając, by nie stworzyć wrażenia, że z czegoś się tłumaczy. - Obawiam się, że w tej sztuce nigdy nie osiągnę elegancji, jaka by mi się marzyła.

- Ja, naturalnie, miałam nauczyciela tańca - wyjaśniła gładko Penelope. - W najwyższych kręgach towarzystwa przywiązuje się duże znaczenie do starannej edukacji. Mama uważała, że to dla mnie podstawa, która umożliwi mi odegranie w eleganckim świecie właściwej roli. Również Aldeborough jest wyśmienitym tancerzem. Zresztą, o ile wiem, można to powiedzieć o wszystkich oficerach Wellingtona. Hugh i ja nieraz tańczyliśmy razem walca, choć naturalnie na prywatnych wieczorkach. Pani rozumie, mama nie uznaje takich zachowań w publicznych miejscach. Poufałość w walcu wydaje się czymś niestosownym.

- Na pewno i pani miała wczoraj ochotę zatańczyć walca, Penelope. Wszyscy już to robią i trudno w naszych czasach potępiać ten taniec. Bądź co bądź nawet sam Wellington go akceptuje.

- Chyba ma pani rację. A jednak to daje człowiekowi do myślenia, kiedy widzi się na balu u Tavernerów takie osoby jak pani Winters. Sądziłam, że gospodarze staranniej ułożą listę gości, widocznie jednak zależało im na zatłoczonych salach, aby uznano ich bal za wydarzenie sezonu. W każdym razie pani Winters tańczyła walca, w tym przynajmniej raz z Aldeborough.

- Aldeborough tańczył z wieloma osobami, podobnie jak ja.

- Zauważyłam w Londynie pani kuzyna. - Penelope zręcznie zmieniła kierunek rozmowy. - Przedstawiono mi go podczas balu. To czarujący człowiek.

- Potrafi imponować ułożeniem - przyznała Frances, choć szczerze wątpiła, czy panna Vowchurch i jej kuzyn nawiązali jakąś żywszą więź. Poza kilkoma komunałami pewnie nie mieli sobie nic do powiedzenia. - O ile wiem, zatrzymał się w Londynie na kilka dni, zwykle spędza jednak czas w Torrington Hall.

- Opowiedział mi co nieco o pani przeszłości w Yorkshire. Bardzo chętnie udziela informacji.

- Pani słucha plotek, Penelope? - Juliet zachichotała. - To do pani niepodobne. Co powiedziałyby na to pani mama?

- Zapewniam, że nie były to plotki. Ot, zwykłe rodzinne wspomnienia. Podobno, Frances, istniała między wami niepisana umowa, że się pobierzecie.

- Pojawiła się taka propozycja. - Frances wciąż pilnowała, by nie dać się wciągnąć w niepotrzebną dyskusję. - Trudno jednak mówić o umowie.

- Pani kuzyn był bardzo poruszony obecną sytuacją. Podobnie zresztą jak ja. Mojego małżeństwa z Aldeborough pragnęły, rzecz jasna, obie rodziny. Nikt nie robił z tego sekretu.

- Czasem trzeba przeżyć jakieś rozczarowanie. - Błysk w oczach Juliet wskazywał, że Penelope nie może liczyć na jej współczucie.

- To prawda. Pani wydaje się dobrze pasować do swojego kuzyna, milady. Pewnie też odpowiada pani życie na wsi, podczas gdy mnie ono wyraźnie nie służy. Zdecydowanie jestem zwierzęciem miejskim, jak mówi moja mama.

- Frances lubi wieś. - Juliet stanęła do pojedynku w imieniu szwagierki. - Zamierza towarzyszyć mężowi w wyjeździe do Priory w nadchodzącym tygodniu.

- Czyżby?

- To będzie dla niej dobra okazja, żeby lepiej poznać swój nowy dom - dodała Juliet tytułem zbędnego wyjaśnienia.

- Była już pani kiedyś w Priory? - spytała najniewinniejszym tonem Frances.

- Nigdy nie miałam tej przyjemności. - Uśmiech na twarzy Penelope stał się jeszcze bardziej wymuszony.

- Namówię męża, żeby zimą wydał tam przyjęcie, muszę jednak najpierw zająć się odnowieniem reprezentacyjnych sal. Może przyjmie pani wtedy zaproszenie do nas w gościnę? - Protekcyjalny

ton, jaki Frances przybrała, sprawił jej niemałą satysfakcję, zwłaszcza gdy zauważyła zaciśnięte zęby Penelope i błysk złości w jej ładnych oczach.

- To wspaniały pomysł. Kiedy wyjeżdżacie?

- Markiz wspomniał o piątku.

Panna Vowchurch roześmiała się kwaśno.

- Niech pani uważa, podróżując z Aldeborough. Historia lubi się powtarzać.

- Proszę mi wybaczyć - Frances zmarszczyła czoło - ale nie rozumiem, co ma pani na myśli.

- Och, nic ważnego. Tylko tyle, że wojaże w ostatnich czasach bywają niebezpieczne. Dlatego opuszczam Londyn tak rzadko, jak tylko się da. - Uniosła rękę na pożegnanie. - Widzę lady Sefton. Muszę przekazać jej wiadomość od mamy. Życzę dobrej zabawy w wiejskiej samotni, milady. - Wyciągnęła rękę na pożegnanie. - Już się cieszę na te długie opowieści po pani powrocie. Naturalnie chętnie posłucham również, jakie ma pani plany co do Priory.

Odwróciła się, by przejść na drugą stronę ulicy. Pióra na jej aksamitnym kapelusiku chwiały się z gracją.

- O co jej chodziło z tymi niebezpiecznymi podróżami? - spytała Frances, patrząc na ożywioną twarz szwagierki.

- Nie mam pojęcia. Jestem jednak pewna, że chciała intrygować. Jeszcze nigdy nie spotkałam człowieka, który mówi tak niedużo i słodko, a tak wiele chce tym zepsuć. Sądziś, że udało nam się zasiać w jej duszy tyle niepokoju, ile ona przeznaczyła dla ciebie?

- Mam nadzieję, Juliet. Jesteś niepoprawna.

- Wiem, ale nie mogłam pozwolić, żeby patrzyła na ciebie z góry. Wystarczy, że mama wykazuje w tym niezwykłą gorliwość.

- Popisałaś się wielkim talentem do ciętej riposty. Muszę pamiętać, żeby nie wchodzić ci w drogę.

- Przede wszystkim powinnaś pamiętać, żeby nie zwracać na nią uwagi, Frances. - Juliet krzepiącym gestem ujęła ją za ramię. - To jest zwykły przypadek chorobliwej zazdrości. Postawiła na to, że będzie markizą, a teraz została bez adoratora, a zważywszy zaś na trudną sytuację finansową jej rodziny, ma małe szanse na znalezienie drugiego takiego kawalera. Jej matka to bardzo ambitna kobieta. Oczywiście wcale nie wierzę, żeby Hugh kiedykolwiek zamierzał poślubić Penelope, a co do Richarda, to owszem, chciał, ale, moim zdaniem, wyłącznie dlatego, że życzyła sobie tego mama, a on nigdy nie zdobył się na sprzeciw.

- One są bardzo podobne, prawda? Myślę o Penelope i twojej mamie.

- Tak. Jak ona się nazwała? Miejskim zwierzęciem? Chyba chodziło o szczura. - Roześmiały się serdecznie na znak pełnej komitywy. - Wiesz, Frances, jestem ci szczerze wdzięczna, że uratowałaś mnie przed taką bratową jak Penelope. Zawsze będę twoją dłużniczką, droga siostró.

Rozdział ósmy

Frances mocno trzymała się skórzanego paska, żeby przy kolejnym podskoku powozu nie spaść na podłogę. Od czasu wyjazdu z Yorku objali się na poranym koleinami trakcie prowadzącym do Aldeborough Priory. Zawsze był to trudny odcinek, do tego niełaskawa wiosna zamieniła go w błotnistą kałużę. Ot, prawdziwa droga przez mękę. Jednak Frances w ogóle się tym nie przejmowała. Za dwie godziny powinni znaleźć się w Priory, nieważne więc niewygody.

Cieszyła się również z obecności męża. Spodziewała się, że tak jak podczas podróży do Londynu będzie jechał wierzchem obok, on tymczasem postanowił dotrzymać jej towarzystwa. Koń biegł luzem, przywiązany do powozu, natomiast bagaże jechały pod opieką Webstera. Teraz Aldeborough spał wciśnięty w kąt pojazdu.

Nagle rozległo się głośne przekleństwo stangreta Bensaona, a jadący obok niego na koźle lokaj krzyknął:

- Czterej jeźdźcy przed nami, kapitanie... milordzie. Jakby wypatrywali kogoś. Tam, przy drzewach na szczycie. Nie podoba mi się to.

Hugh natychmiast się ocknął i spojrzał we wskazanym kierunku.

- Jadą nam naprzeciw, kapitanie. Co robić?

- Jedźcie jakby nigdy nic - odrzekł spokojnie. - Nie ma sensu przed nimi uciekać, to zbyt niebezpieczne na tych wybojach i dziurach. Zobaczmy, czego chcą. Aha, Jed...

- Słucham, milordzie.

- Miej pistolety pod ręką.

Frances wychyliła się, żeby popatrzeć. Czterej jeźdźcy, ubrani w ciemne płaszcze i kapelusze, niczym się nie wyróżniali. Niepokojące jednak było to, że stali na pustej drodze, jakby na kogoś czekali. Miała złe przeczucia, ale starała się opanować strach.

- A niech to... - mruknął Hugh, sięgając po parę pistoletów, z których jeden podał Frances. - Jest nabity. W razie potrzeby użyj go bez wahania, i to skutecznie. Umiesz strzelać? I nie dostaniesz ataku hysterii?

- Strzelałam już kiedyś. I nigdy nie wpadam w histerię! Uśmiechnął się, widząc jej oburzenie. Drugi pistolet wsunął pod siedzenie tak, by można było dosięgnąć go z zewnątrz.

- Skul się. Może cię nie zauważą. Rozumiesz, w czym rzecz... - Przyjrzał jej się z uwagą, więc dziarsko skinęła głową. - Nie martw się, wyjdziemy z tego cali i zdrowi. - Poglaskał ją po policzku i wrócił na swoje miejsce.

Huknął strzał. Stangret z trudem powściągnął spłoszone konie. Dobiegły ich stłumione krzyki, a potem rozległ się rozkazujący głos:

- Stać! Nie ruszać się! I bez żadnych sztuczek. Jest nas więcej, więc zawsze możemy poćwiczyć strzelanie, prawda, chłopcy? Rzućcie broń. Powoli. O, właśnie tak.

Powóz przystanął. Aldeborough wciąż czekał w bezruchu, dał jedynie znak Frances, by pozostała na podłodze. Znów rozległ się głos napastników:

- Milordzie Aldeborough!

Pokrzepił Frances uśmiechem, otworzył drzwi i wyskoczył z powozu. Czterech napastników dzierzących pistolety zastąpiło mu drogę. Aldeborough skłonił się przed nimi kpiąco.

- Sługa uniżony, panowie.

- Czekaliśmy na milorda, prawda, chłopcy?

- W czym mogę pomóc? Potrzeba klejnotów? Pieniędzy?

Niestety rozczaruję was, bo niewiele tego znajdziecie.

- Skąd pewność, że jesteśmy rabusiami, wasza miłość? - Zbójca wyszczerzył zęby do kompanów. - Dobrze nam zapłacono za tę pracę. Nie potrzebujemy pieniędzy milorda.

- Jak widzicie, nie mam żadnej broni, co ułatwia wam zadanie. - Szeroko rozłożył ramiona, zachowując całkowitą obojętność. Za to Frances słuchała tej wymiany zdań sparaliżowana strachem.

- Tym lepiej dla waszej miłości. A gdzież jest śliczna żonka? Nie ma jej tutaj?

- Nie. Jadę sam.

- Szkoda. Spodziewaliśmy się was obojga.

Frances wciąż tkwiła na podłodze powozu. Gdy lekko unosiła się na łokciach, widziała przez okno jednego z napastników. Ten jednak na szczęście jeszcze jej nie zauważył. Za to ona zobaczyła coś, co zmroziło jej krew w żyłach. Zbójca podniósł bowiem pistolet i wymierzył go prosto w Aldeborough.

- Szkoda, że wasza miłość nie dożyje okazji, aby nacieszyć się swoim haniebnie zdobytym bogactwem - zakpił. - Wygląda na to, że milord ma o jednego wroga za dużo.

- Być może. Szkoda, że nie prowadziłem cnotliwszego życia. Na przykład takiego jak wy. - Frances wzdrygnęła się, słysząc tę prowokację. - A którego to wroga macie konkretnie na myśli? Kto wam zapłacił za ten akt słusznej zemsty?

- Nie pańska sprawa - odburknął herszt. - Wkrótce i tak będziesz się pan smażyć w piekle, prawda, chłopcy?

- Dość już tego. - Zbójca trzymający w szachu stangreta i lokaja poruszył się niespokojnie w siodle. - Za długo tu marudzimy.

Jeździec widoczny z wnętrza powozu przymierzył się do strzału. Frances zrozumiała, że dłużej nie może czekać. Delikatnie odwiodła kurek, błyskawicznie wycelowała i pociągnęła za spust. Wybuchło istne pandemonium. Jeździec z krzykiem upuścił pistolet i przycisnął dłoń do piersi, drugą ręką usiłując opanować konia. Aldeborough sięgnął do drzwi powozu, chwycił przygotowaną broń i strzelił do drugiego zbrojcy. Ten runął z siodła w błoto, a koń rzucił się do ucieczki. Tymczasem stangret długim batem trafił w głowę i powalił trzeciego napastnika.

Czwarty jeździec wciąż jednak pozostawał uzbrojony. Aldeborough nie miał już pistoletu, więc klęczał, wykorzystując jako osłonę budę powozu. Zbójca ostrożnie okrążał pojazd. Przy okazji zajrzał przez okno do wnętrza i twarz mu pojaśniała. Zrozumiał, że to on ma kartę atutową.

- Niech milord wstanie! - krzyknął. - Proszę wyjść z kryjówki albo zabiję jego uroczą towarzyszkę!

Nie ulegało wątpliwości, że zamierza spełnić groźbę, bo skierował lufę pistoletu na Frances. Z tej odległości nie mógł spudłować. Zamknęła oczy i zaczęła się modlić, by Hugh nie spełnił żądania zbójcy, to bowiem oznaczało dla niego pewną śmierć.

Jej błagania nie zostały wysłuchane i Aldeborough wyłonił się zza powozu. Jednak w tej samej chwili lokaj skoczył z kozła na oszołomionego uderzeniem bata zbójcę i zaczął go okładać pięściami. Jeździec wymierzył z pistoletu w Aldeborough. Widząc to, Frances wyskoczyła z pojazdu i wylądowała na ziemi u stóp męża, zerwała się błyskawicznie i cisnęła pistoletem w twarz napastnika. Musnęła ledwie jego policzek, ale zaskoczony zbir gwałtownie ściągnął wodze, przez co stracił z celu markiza. Ten zaś błyskawicznie chwycił bandytę za ramię. W oddali rozległ się tętent. Zaraz potem w pewnej odległości pojawiło się trzech galopujących ku nim jeźdźców.

Dwaj zbójcy, którzy pozostali jeszcze przy życiu, zrozumieli, że muszą ratować się rejteradą. Zanim odsiecz dotarła na miejsce, znikli.

- Co was zatrzymało? - powitał szorstko sojuszników Aldeborough. - Byliście potrzebni dziesięć minut temu.

- Mój Boże, Hugh! - Ambrose potoczył wzrokiem po polu bitwy. - Cieszę się, że widzę cię w tak dobrym humorze, zważywszy na okoliczności. - Zeskoczyli razem z Matthew z koni i rzucili wodze towarzyszącemu im lokajowi.

- Co, do pioruna...? - zaczął Matthew, ale jedno spojrzenie brata wystarczyło, żeby zmienił ton. - Wyglądasz, jakbyś musiała podróżować na podłodze - z uśmiechem zwrócił się do Frances. - Czy to Hugh tak podle cię potraktował? Zaraz go za to za to stłukę. Wystarczy jedno twoje słowo.

- Najwyraźniej to jego sprawka. - Odwzajemniła uśmiech, wdzięczna Matthew za rozładowanie napięcia, choć wiedziała, że jej mąż po prostu nie chce dopuścić do poważnej rozmowy o tym, co zaszło.

- Naturalnie, że moja. Nie wiedziałeś, że to jest zapisane w intercyzie? Poza tym Molly ma wprawę w podróżowaniu na podłodze. - Markiz zaborczo objął ramieniem żonę, potem spojrzał na Ambrose'a. - Zechcesz przypilnować tych gagatków? - Gdy zaś Ambrose i Matthew pochylili się nad dwoma ciałami, powiedział cicho do Frances: - Mam nadzieję, że nic ci się nie stało.

- Nic a nic, za to ty... - Ostrożnie sięgnęła do jego prawej skroni, na której zobaczyła krew.

- Nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego skaleczenia. - Wzruszył ramionami. - To drobiazg niewart uwagi. - Zawahał się chwilę, nie bardzo wiedząc, jak wyrazić to, co chce powiedzieć. - Zawdzięczam ci życie - stwierdził po prostu.

- Celował w ciebie. Czy go zabiłam?

Hugh spojrzał tam, gdzie Ambrose i Matthew kończyli oględziny zbójców.

- Wygląda na to, że obaj nie żyją. - Ujął ją za rękę, widząc, jaka jest przerażona. - Proszę o tym nie myśleć. Gdybyś do niego nie strzeliła, bez wątpienia oboje bylibyśmy martwi.

- To koniec! - potwierdził Ambrose, wstając. - Niczego już od nich się nie dowiemy.

- Przypuszczam, że to jakieś płatne zbiry z Yorku. Gdyby twój lokaj poczekał na powóz z bagażami, mógłby razem z moim zająć się odwiezieniem ciał. Przynajmniej mielibyśmy szansę dowiedzieć się, kto najął tych ludzi, chociaż na powodzenie raczej nie liczę.

- To nie byli zwykli zbójcy, prawda? - odezwała się Frances, dając wyraz dręczącej ją myśli.

- Pewnie nie, ale nie martw się. - Hugh dla dodania otuchy uścisnął jej dłoń. - Z naszymi rycerzami jesteśmy bezpieczni. Matthew świetnie odstrasza wszystkich osobników, którzy mają głupie pomysły.

- Ale...

- Nie teraz. - Pomógł jej wsiąść do powozu, a gdy przekonał się, że Frances wciąż nie może opanować drżenia, wyciągnął z juk przywiązanego do powozu konia niewielką manierkę. - Napij się. To cię wzmocni i uspokoi.

Potulnie wypila łyk palącego płynu. Oczy zaszyły jej łzami, na chwilę straciła oddech, ale po jej ciele rozeszło się krzepiące ciepło, więc pociągnęła jeszcze raz.

- Dzięki. - Oddała mu manierkę.

- Byłaś dzielna, Frances Rosalind - powiedział cicho. - Nie zapomnę tego nigdy. - Napił się brandy. - Głowa do góry. Pojadę kawałek z Ambrose'em, a tobie dotrzyma towarzystwa Matthew. Proszę mu opowiedzieć o tej awanturze i o haniebnym niewygodzie podróżowania na podłodze. Będziecie absolutnie bezpieczni, a my zjawimy się w Priory wkrótce po was.

Wyprawiwszy w drogę Matthew i Frances, Aldeborough dosiadł konia. Wraz z Ambrose'em powoli ruszył śladem powozu, zachowując jednak sporą odległość.

- Co tu się właściwie dzieje, Hugh? - Ambrose nie potrafił dłużej powściągnąć zaciekawienia. - Wróciły stare wojenne czasy, co?

Aldeborough roześmiał się, ale bez przekonania.

- Owszem. Tyle że tam spodziewałeś się zasadzek i walki podjazdowej. Byłeś na to przygotowany. A dziś zostałem zaskoczony. Wygląda na to, że zlekceważyłem sytuację.

- Hm. Ta droga nie uchodzi za niebezpieczną, zbójcy pojawiają się tu rzadko.

- To nie byli zbójcy, co zauważyła nawet moja żona.

- Najęte zbiry? Mało prawdopodobne.

- Ale prawdziwe. Wiedzieli, kogo chcą zatrzymać, i mieli jasne instrukcje, co z nami zrobić. Zdradzili się, że dostali sowitą zapłatę.

- A może po prostu poznali czarnego sokoła na drzwiach powozu i uznali, że trafia im się nie lada gratka? To jest charakterystyczny powóz i trudno twierdzić, że podróżowałeś incognito.

- Moim zdaniem byli dokładnie poinstruowani i znali czas naszego przejazdu. Herszt zawołał mnie po nazwisku, orientowali się, że jest ze mną Frances.

- Kto wiedział o tym, że dzisiaj wyjeżdżacie?

- Wiele osób.

- Narobiłeś sobie ostatnio wrogów? Może podniosłeś czynsz dzierżawcom czy coś w tym stylu?

- Nie. - Aldeborough pokręcił głową. - Ludzie wiedzą, że chcę unowocześnić majątek. Mają więcej pracy, ale krwio pijcą nie jestem.

- No, gorszy od ojca być nie możesz. Albo od Richarda. To jednak i tak nic nie znaczy.

- Dziękuję ci - mruknął oschle Aldeborough. - Czuję się zbudowany, że ktoś docenia moje osiągnięcia.

- Matka wciąż cię zdręcza, prawda?

- Naturalnie. Richard był pępkiem jej świata. - Jego ton nie zachęcał do rozwijania tematu.

- No więc co z tymi zbirami? - Ambrose uszanował sugestię przyjaciela. - Wygrałeś od kogoś ostatnio dużą sumę? Uwiodłeś czyjąś żonę?

Markiz ze zniecierpliwieniem pokręcił głową. „Milord ma o jednego wroga za dużo”, zabrzmiało mu w uszach. Przez chwilę milczał.

- Nie chcę, żeby ta wiadomość się rozeszła, Ambrose - powiedział w końcu. - To byli płatni mordercy i chodziło im o nas. Dokładniej o mnie. Nie bali się rozpoznania, bo nie mieli zakrytych

twarży, a to znaczy, że nie zamierzali pozostawić świadków przy życiu. Nie udało im się dzięki zwykłemu przypadkowi. No i wy nadjechaliście w porę.

- Czy dobrze zrozumiałem, że jednego z nich zastrzeliła lady Aldeborough? - Gdy markiz skinął głową, Ambrose dodał z zazdrością: - Masz szczęście, choć nie wiem, czy sobie z tego zdajesz sprawę. Ona nie tylko jest ładna, ale też odważna.

- To prawda, nie wahałeś się zresztą powiedzieć mi tego już wcześniej. Nie miałem pojęcia, że jesteś takim jej admiratorem. - Była w tych słowach przestroga, lecz wyrażona nie całkiem serio. - To dzięki Frances nie leżę martwy na drodze.

- Możesz być pewien, Hugh, że gdyby tym zbirom się udało, chętnie pocieszyłbym lady Aldeborough! - Ambrose pozwolił sobie na żart możliwy tylko między starymi przyjaciółmi, zaraz jednak spoważniał. - Masz twarde orzech do zgryzienia, co? Ktoś nienawidzi cię na tyle, że gotów cię zabić.

- Witamy, milordzie. Oczekiwaliśmy pańskiego przybycia. Mam nadzieję, że podróż minęła bez przygód.

- Owszem. Dobrze wyglądasz, Rivers. - Markiz zdjął płaszcz. - Były jakieś problemy?

- Nie, milordzie. Wszystko w porządku i jestem pewien, że milord będzie zadowolony. Kington ma nadzieję złożyć jutro sprawozdanie. Zostawił dla milorda list w bibliotece.

- Wkrótce go przeczytam. Chciałbym, żebyśmy mogli niezwłocznie spotkać się na podwieczorku. Milady na pewno chciałyby

się posilić, a jest też z nami lord Matthew. Przyjdzie, kiedy tylko skończy zajmować się końmi w stajni.

- Naturalnie, milordzie, wszystko jest przygotowane. Chciałbym również poinformować, że przebywa u nas lady Cotherstone. Przyjechała w zeszłym tygodniu. Sądzę, że zamierza zostać dosyć długo. Miała ze sobą duży bagaż.

Twarz kamerdynera pozostała beznamiętna, ale Aldeborough zauważył u niego błysk w oku i odpowiedział z cichym śmiechem:

- Dziękuję, Rivers, dobrze zawczasu odebrać ostrzeżenie. Gdzie ona jest?

- Oczekuje milorda w bibliotece. O ile wiem, już od pewnego czasu.

Hugh spojrział na Frances.

- Idźmy więc tam zaanonsować nasz przyjazd. Poznasz rodzinną osobliwość.

- A któż to taki?

- Lady Mary Cotherstone, czyli moja stryjeczna babka May.

Nawet nie wiem, ile ma lat, bo nigdy nie podaje prawdziwego wieku. Jest ekscentryczna, uparta i do przesady bezceremonialna. Wyszła za mąż w bardzo młodym wieku - cud prawdziwy, że znalazł się kawaler, który się odważył - ale odkąd ją pamiętam, jest wdową. Nienawidzą się serdecznie z moją matką, więc za wszelką cenę unikają spędzania czasu pod jednym dachem. - Uśmiechnął się. - Na pewno bardzo ją polubisz.

Frances zachichotała.

- Ona tu mieszka? A gdzie się podziewała,' kiedy mnie tu przywiozłeś pierwszy raz?

- Na stałe nie mieszka nigdzie. Objeżdża po kolei krewnych i rusza dalej w drogę, kiedy czyjaś cierpliwość się wyczerpuje albo sama się na kogoś obrazi. Tu jednak spędza najwięcej czasu. Po zetknięciu z londyńską ceremonialnością spotkanie z nią będzie dla ciebie bardzo odświeżającym doświadczeniem. - Otworzył drzwi biblioteki. - Słyszałem, May, że znowu u nas zamieszkałaś. Czujemy się zaszczyceni. Widzę też, że Wellington wciąż jest na tym padole.

- Dla ciebie jestem ciocią May, mój chłopcze. Okaż trochę szacunku tym, którzy na to zasługują wiekiem i pozycją. A Wellington ma się bardzo dobrze.

Frances przypatrywała się leciwej damie o dość odstręczającym wyglądzie. Była wysoka i chuda jak patyk. Czarne włosy, bez śladów siwizny, zostały zaczesane do tyłu, tak że na czole pozostała jedynie dziewczęca, lekko zakrecona grzywka. Uwagę zwracał strój, będący zapewne ostatnim krzykiem mody co najmniej dwa pokolenia wstecz. Miała na sobie stanik usztywniony klejonką i obszerną, falbaniastą spódnicę, spod której widać było dopasowaną kolorystycznie halkę. Całość zdobiły wesołe kokardki i kwiaty, wyglądające dość dziwnie na kanciastej sylwetce. Twarz była poorana zmarszczkami, ale bruzdy wokół oczu i przy ustach świadczyły o częstym uśmiechu, który pojawił się, gdy wstała na powitanie markiza. Wellington, kudłaty kundel dumnie zwany psem gończym, dyszał i powarkiwał u jej stóp.

- Niech ci się przyjrę. - Uniosła kościsty, zniekształcony artretyzmem palec, by odwrócić twarz markiza do światła. - Dobrze wyglądasz. Wciąż tęsknisz za wojaczką?

- Może.

- Niepotrzebnie im uległeś i wykupiłeś się z wojska. Wątpię, czy matka okazuje ci za to wdzięczność. Wnoszę, że wciąż jesteś jej najmniej lubianym synem?

Hugh, przyzwyczajony do zachowania ciotki, pokręcił głową.

- Nie miałem wyboru, musiałem się wykupić, ciocia sama o tym wie - odpowiedział trochę wykrętnie.

- Hm. To ty tak twierdzisz. - Poklepała go po policzku, a potem zwróciła się do Frances, która zauważyła, że właśnie podlega drobiazgowej ocenie. - A oto i oblubienica. Przedstawisz nas sobie?

- To jest Frances, moja żona. Frances, to moja stryjeczna babka May.

- Nie tak sobie ciebie wyobrażałam. Miałam wątpliwą przyjemność poznania wicehrabiego Torringtona i jego żony.

Frances nie bardzo wiedziała, jak zareagować, uznała jednak, że usłyszała komplement. Dygnęła.

- Miło mi poznać, milady.

- Dość tych ceremonii. Możesz nazywać mnie ciocią May, tak jak reszta. Ładniutka jesteś. Córka Cecylii Mortimer, prawda?

- Tak. Czy ciocia знаła moją matkę?

- Nie, chociaż pewnie gdzieś ją spotkałam. Była ode mnie znacznie młodsza, to całkiem inne pokolenie, ale pamiętam rwetes,

jaki powstał, kiedy uciekła z twoim ojcem. Muszę jednak powiedzieć, że nawet ten skandal błędnie w porównaniu z twoim małżeństwem. - Spojrzała karcąco na Hugh. - Co ty sobie wyobrażałeś? Naprawdę porwałeś dziewczynę prosto z domu jej stryja? To niezbyt stosowne zachowanie, czyż nie? Myślałam, że masz większą klasę, chłopcze.

Frances rozbawiło, że ktoś zwraca się tak poufale, w dodatku karcącym tonem, do jej zawsze pewnego siebie męża.

- Najwyraźniej wiodę haniebny żywot - stwierdził rozbawiony. - Już raz mnie dzisiaj o to oskarżono.

- Pewnie zaszkodził ci nadmiar bordo, nędznego zresztą, jeśli z piwnic Torringtona. - Zaśmiała się ochryple. - Czy już wybaczyłaś swemu mężowi, moja droga? Tak byłoby najlepiej. Nawiasem mówiąc, nigdy nie lubiłam Torringtona, mimo że jest twoim stryjem.

- Nie mów takich rzeczy, ciociu May, żebyśmy nie musieli się rumienić - przyszedł w sukurs żonie, ale ku jego zdziwieniu Frances przejęła inicjatywę.

- Wybaczyłam mu, jakżeby inaczej. Muszę jednak wyjaśnić, że milord wcale mnie nie uwiódł. Uratował mnie w bardzo trudnej sytuacji, którą sama sprowokowałam. Naprawdę w niczym nie zawinił.

- No no, Aldeborough. Masz w żonie wierną obrończynię. To bardzo szlachetnie z twojej strony, moja droga. - Oczy lady Cotherstone zabłysły, bo na twarzy Frances pojawił się wyraźny pąs. - Musimy potem pogawędzić, żebyś mogła mi wszystko opowiedzieć. Uwielbiam plotki, a ostatnio nie mam wielu okazji, żeby się nimi

nacieszyć. Jestem gotowa postawić mój perłowy naszyjnik, że markiza wdowa potrząsa orężem. No, zjedźmy coś. Zadzwoń na Riversa, moja droga. O, jest Matthew, nie powiedziałaś mi, chłopcze, że tu się zjawi. To mamy rodzinę prawie w komplecie. Może powinniśmy z tej okazji otworzyć butelkę porto.

Przez resztę dnia nie miała już okazji do prywatnej rozmowy z mężem. Wieczorem nie przyszedł do jej sypialni, a Frances zabrakło odwagi, żeby iść do niego. Przez całą noc przewracała się z boku na bok, dręczona koszmarami, w których pełno było gwałtownych śmierci.

Następnego ranka postanowiła zejść do Hugh w bibliotecę jeszcze przed jego rozmową z Kingtonem. Potem markiz i zarządca mieli jechać obejrzeć rowy odpływowe, kopane na łąkach regularnie zalewanych podczas powodzi.

- Czy mogę przeszkodzić?

Aldeborough z ponurą miną przeglądał jakieś papiery na biurku.

- Naturalnie. To prawdziwa przyjemność, kiedy od pracy odrywa piękna kobieta. - Wstał i uśmiechnął się na powitanie. - Co dzisiaj planujesz? Tylko nie skuś się na żaden z szalonych pomysłów ciotki May. Ona ma swoje lata, ale wigoru można jej pozazdrościć. Juliet bardzo ją przypomina pod tym względem.

- Hugh... chodzi mi o zbójców.

- To byli zwykli rabusie. Podczas podróży napad może się zdarzyć, choć tym razem rzeczywiście nieszczęście było blisko.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie wierzę ci. Nie jestem głupia. To nie byli zwykli rabusie i nie napadli na nas przypadkiem. Oni chcieli ciebie zabić.

- Nie przejmuj się tym zanadto. Rozpocząłem już poszukiwania w Yorku. Jeśli czegokolwiek można się dowiedzieć, wkrótce to usłyszymy.

- Naprawdę uważasz, że powinnam tak po prostu o tym zapomnieć?

- Tak. Jaki sens ma zamartwianie się bez powodu?

- Zabiłam człowieka! Mam ręce splamione krwią! - Jej głos stawał się coraz wyższy, coraz trudniej panowała nad sobą.

Aldeborough wyszedł zza biurka i ujął ją za rękę.

- Proszę mi wybaczyć, Frances. Nie pomyślałem... Gdy się służy w wojsku, śmierć nie robi takiego wrażenia. Nie przyszło mi do głowy, jak bardzo musisz przeżywać to straszne zdarzenie.

- Nie mogłam przez to spać. Ciągle mam przed oczami pistolet i krew.

Czule wygładził palcem bruzdkę na jej czole.

- Na pocieszenie powiem ci tylko tyle, że gdybyś nie zastrzeliła tego jeźdźca, bylibyśmy martwi oboje.

- Tak, wiem.

- Nie zadrezczaj się tym. To rozkaz! - Pocałował ją w miejsce, które przed chwilą głaskał.

- Dobrze... Naprawdę nie chciałam ci sprawić kłopotu, tyle że...

- Rozumiem.

- Postaram się nie zamartwiać bez końca i nie przysparzać ci trosk.

- Jaka posłuszną żoną jesteś tego pięknego poranka! - Pogłaskał kosmyk jej włosów, który wymknął się z niewoli szpilek

- Prawda? - odrzekła z błyskiem w oczach. - Jak widzisz, nie ma potrzeby uciekania się do skrajnych metod jak najęci zbrojcy, żeby pozbyć się kłopotu z żoną. Panna Vowchurch ostrzegała mnie, że jazda do Priory może być niebezpieczna. A przecież nie mogła przewidzieć, co się zdarzy.

Był to żart i podobnej reakcji się spodziewała, tymczasem Aldeborough nagle cofnął rękę, drugą zacisnął w pięść, a na jego twarzy pojawił się porażający grymas.

- Cóż miała oznaczać ta intrygująca uwaga? - spytał niepokojąco cicho.

- Co ja takiego powiedziałam? - zdumiała się.

- To niewiarygodne, że mogłaś uwierzyć w taką potwarz.

- Nie rozumiem, Hugh. W co nie powinnam wierzyć?

- Śmierć Richarda będzie mnie prześladować już zawsze. Nie potrzebuję, żebyś mi o tym przypominała ani powtarzała, co świat sądzi na ten temat.

- A co ma z tym wspólnego Richard?

- Nie będziemy o tym rozmawiać. To nie twoja sprawa. Jak widać, moja matka sporo osiągnęła przez ten krótki czas, kiedy mieszkaliście pod jednym dachem. Nigdy nie sądziłem, że tak świetnie potraficie się porozumieć.

- O ile wiem, Richard spadł z kariolki - powiedziała ostrożnie Frances.

- Owszem, spadł. I skręcił sobie kark! A ja odziedziczyłem wszystko. Czyli należy mnie obwinić o jego śmierć, nie sądzisz? To logiczne. Z pewnością nienawidziłem brata od dnia narodzin, bo stał mi na drodze do zaspokojenia ambicji, uniemożliwiał mi przejęcie tytułu i związanego z nim majątku. Musiałem więc bardzo się ucieszyć z jego śmierci. Trzymając na rękach jego martwe ciało i ocierając mu krew z twarzy, niewątpliwie wznosiłem dziękczynne modły. Frances patrzyła na niego z trwogą.

- Hugh... nigdy czegoś takiego nie pomyślałam. Jak mogłabym?

- A ja nie potrzebuję twojego współczucia! - Wściekłym gestem chwycił plik papierów z biurka. - Nigdy tego nie chciałem. Ani jego śmierci, ani tytułu. - Wyciągnęła ku niemu rękę, ale odsunął się. - Wybacz mi. Nie zamierzałem obarczać cię swoimi problemami. I przepraszam za nieodpowiednie zachowanie. - Jego głos brzmiał bezbarwnie. Odrzucił papiery na biurko i ruszył do wyjścia.

- Dokąd idziesz? - Pobiegła za nim.

- Przed siebie!

Z trzaskiem drzwi opuścił bibliotekę, a jego kroki odbiły się echem w korytarzu. Frances nie mogła zrozumieć tego, co zaszło. Przecież nawet nie wspomniała o Richardzie. I co miała z tym wspólnego jego matka? Przypomniała jej się uwaga Penelope: „Niech pani uważa, podróżując z Aldeborough. Historia lubi się powtarzać”.

Co właściwie miała na myśli? A Matthew? On też nie chciał jej powiedzieć o Richardzie niczego konkretnego. Najwidoczniej wciąż nie zdawała sobie sprawy z jakiegoś istotnego faktu, który podzielił rodzinę. Czas najwyższy, aby zdobyć kilka odpowiedzi na trudne pytania.

Ambrose pojawił się w bibliotece niezapowiedziany. Zastał Frances, jak głęboko zadumana porządkowała porzrzucone dokumenty.

- Dzień dobry, Frances. Gdzie się podziewa Hugh? Umówiliśmy się, że pojedę z nim obejrzeć jakieś wykopki w majątku. - Uśmiechnął się i na powitanie ucałował jej dłoń.

- Spóźnił się pan o kilka minut. Podejrzewam, że mój mąż poszedł do stajni spotkać się z Kingtonem. Matthew też chyba tam jest.

- Wobec tego zaraz do nich dołączę.

- Ambrose, zanim pan pójdzie, chciałam... - Zawahała się. Zaskoczyło go napięcie w jej głosie.

- Czy pani dobrze się czuje? Jest pani blada.

- Czuję się doskonale. Tylko... Ambrose, czy mógłby mi pan opowiedzieć o Richardzie? Jak on umarł?

- A czemu pani pyta? - spytał ostrożnie, wręcz nieufnie. - Co powiedział Hugh?

- Nic, i w tym cały problem. Nikt nie chce ze mną o tym porozmawiać, słyszę tylko jakieś okrągłe zdania albo dziwne aluzje, a

przed chwilą powiedziałam coś strasznego mojemu mężowi. Ale nie wiem co.

- To może pani wyjaśnić tylko ktoś z rodziny. Wiem, że Hugh nie życzyłby sobie, abym zabierał głos w tej sprawie, a jako przyjaciel muszę liczyć się z jego zdaniem. - Ambrose zamyślił się na chwilę. - Też jednak uważam, że niepotrzebnie robi się przed panią tajemnice. Najlepiej proszę zapytać lady Cotherstone. Ona będzie doskonałym źródłem wszelkiej wiedzy.

- Tak zrobię. Zdaje mi się, że go mocno uraziłam. Wpadł w straszną furję.

- Zaraz go znajdę. - Krzepiąco uściskał jej dłoń. - Proszę się nie martwić. Jeśli pani nic nie wie, to jak może czuć się czemukolwiek winna?

- Ambrose... Wolałabym, żeby pan nie wspominał mu o naszej rozmowie. Może uznać, że plotkuję za jego plecami.

- Naturalnie zastosuję się do pani życzenia.

Frances czekała z niecierpliwością na ciotkę May. Wreszcie staruszka wyłoniła się z sypialni z dyszącym Wellingtonem przy nodze.

- Dzień dobry, moja droga. Gdzie są wszyscy? - Tego dnia była w jeszcze dziwniejszym stroju, sztywnej kreacji z półtremem z wzorzystego, fioletowego adamaszku i w koronkowym czepeczku skrywającym włosy. Frances pomyślała, że upudrowana peruka też byłaby tu całkiem na miejscu. Za bardzo jednak dręczył ją jej obecny

problem, by miała się nadmiernie interesować staroświeckim strojem ciotki May.

- Wyszli. I dobrze się składa. - Bezsilnie rozłożyła ręce. - Proszę mi wybaczyć, ciociu May, ale muszę poznać prawdę o Richardzie. Co się z nim stało? Czy to był wypadek? Co miał z tym wspólnego Hugh? Nikt mi nie chce powiedzieć prawdy. Zapytałam Ambrose'a, ale poradził, żebym zwróciła się do cioci.

- Co za sensowny młody człowiek. Oni wciąż to kiszą? A Hugh pewnie w ogóle nie chce o tym mówić. Cóż się wydarzyło, że jesteś taka roztrzęsiona?

- Powiedziałam żartem, że wczoraj to nie była żadna zbójcka napaść, tylko próba pozbycia się kłopotliwej żony.

- Jaka napaść? Lepiej opowiedz mi wszystko od samego początku. Chodźmy do pokoju dziennego, pokrzepimy się portem.

I nie rób takiej nieszczęśliwej miny, wszystko da się naprawić, uwierz mi.

- Zabiłam człowieka. - Frances spojrzała na ciotkę May, oczekując oznak potępienia.

- Naprawdę, moja droga? Musiałaś mieć ku temu powód. Ale najpierw wypij parę łyżek i trochę się odpręż.

Uspokojona zachowaniem ciotki May, Frances pokrzepiła się portem i opowiedziała jej o wszystkim, z niezrozumiałymi słowami panny Vowchurch włącznie.

- I dlatego muszę wiedzieć - zakończyła.

- Naturalnie, moja droga. Zacznę więc od Richarda. Jego nie znałam tak dobrze jak Hugh. Bystry chłopak, tryskał energią i był oczkiem w głowie matki. Naturalnie z jej słabości szybko zdał sobie sprawę i nauczył się czerpać z tego korzyści. Pilnował, żeby matka nie usłyszała o nim złego słowa. Co prawda wiele złego powiedzieć o nim nie było można, chociaż trochę za bardzo dbał o swoje, a za mało liczył się z innymi. Dodałabym, że bywał niefrasobliwy. Nieustannie pakował się . w tarapaty, jak to młodzi ludzie. - Westchnęła. Widać było, że myślami wraca do bardzo dawnych czasów. - Przypominał mi mojego męża, a ich dziadka. Więc Richard był niefrasobliwym, wesołym młodzieńcem. Nie wiem, czy nadawał się na markiza. W czasie, o którym mowa, dopiero co odziedziczył tytuł i był bardzo niedojrzały. Nie sądzę, by zdawał sobie sprawę z obowiązków i odpowiedzialności, jakie na niego spadły. Świetnie natomiast pojmował, że w jednej chwili zyskał tytuł i mnóstwo pieniędzy.

- A jak umarł? To musiało zdarzyć się niedawno.

- Niecały rok temu. Richard i Hugh byli ze sobą bardzo blisko. Dzielił ich zaledwie rok, więc razem się wychowywali. Urządzili sobie wyścig kariolek. Hugh przyjechał na przepustkę i Richard rzucił mu wyzwanie. Skończyło się wypadkiem. Richard próbował wyprzedzić Hugh na zakręcie. Koło zsunęło się do przydrożnego rowu i kariolka się przewróciła. Ot, zwykły wypadek, jednak Richard uderzył głową w pień drzewa albo w kamień. Szczegółów nie znam, ale skutek był taki, że już nie odzyskał przytomności. Zawsze mi się

zdawało, że kariolki są niebezpieczne, ale trudno powstrzymać młodych ludzi od ryzykownych zabaw.

- Skoro jednak był to wypadek, to w czym leży problem?

- Problemu nie ma. Niestety markiza, niech szczerze jak najprędzej, straciła poczucie rzeczywistości. Twierdziła, że cierpi, ale mi się wydaje, że chodziło raczej o zawiedzioną ambicję. Miała znacznie większy wpływ na Richarda niż na Hugh, a trzymanie na wodzy całej rodziny to było jej takie paskudne powołanie. I nagle o wszystkim miał decydować Hugh. Markiza wygłosiła publicznie kilka głupich, niewybaczalnych uwag. Imputowała, że pomysł wyścigu wyszedł od Hugh i że celowo zepchnął Richarda z drogi. Poza tym Hugh skorzystał na tragicznej śmierci brata, odziedziczył bowiem tytuł i majątek. Jeśli takie opinie powtarza się dostatecznie często, ludzie zaczynają plotkować i łączyć fakty, nawet całkiem bez sensu. To była plotka poprzedniego sezonu.

- Straszne! - Frances wreszcie uświadomiła sobie, jaki ból niechcący sprawiła mężowi. - Czy ona nie rozumiała, ile szkody może w ten sposób wyrządzić?

- Naturalnie rozumiała. Ona wini Hugh i nie pozostawiła mu co do tego cienia wątpliwości. Nie potrafi pogodzić się z tym, że odziedziczył wszystko, podczas gdy jej ukochany synek nie żyje. A Hugh zaczął podejmować własne decyzje, nie pytając matki o zdanie. Nic dziwnego, że zgorzkniał, stał się cyniczny i podobnie niefrasobliwy jak Richard. Jeśli ludzie źle o nim myślą, chce pokazać, że mają rację. To dość naturalne zachowanie.

- No tak, a ja oskarżyłam go, że próbował mnie zabić. Nic dziwnego, że wybiegł z pokoju. Nie wiem, jak mam to teraz naprawić.

- Trudna sprawa, zwłaszcza że pełna uroku panna Penelope Vowchurch też tu miesza... Cóż, chciała poślubić Hugh, więc teraz zazdrości. Takie kobiety zawsze mąca. Ale jeśli chcesz skorzystać z mojej rady, to pozwoliłabym Hugh trochę ochłonąć w samotności. Rozgoryczony bywa bardzo trudnym przeciwnikiem.

Frances uśmiechnęła się smutno.

- Mam nadzieję, że objazd majątku pomoże mu opanować emocje. Ja w tej sytuacji tchórzę.

- W to nie uwierzę ani przez chwilę. - Ciotka May poklepała ją po dłoni. - Robisz na mnie wrażenie bardzo bojowej młodej damy. Chodźmy. - Wstała, zmuszając w ten sposób do ruchu Wellingtona, który smacznie pochrapywał na falbanach jej sukni. - Świeci słońce, możemy wyjść popatrzeć na rabaty z kwiatami. Są niestety zaniedbane, ale przebiśniegi powinny wyglądać ładnie. Nie ma jak świeże powietrze na poprawę nastroju. Czy zamierzasz coś zrobić z ogrodem, moja droga? Za moich młodych lat wyglądał doprawdy pięknie.

Ambrose zastał w stajni obu braci na oględzinach konia. Hugh powitał go z chłodną uprzejmością, ale milczenie i wyraz twarzy Matthew mówiły wszystko. Po pięciu minutach Ambrose miał dość. Doszedł do wniosku, że w tej sytuacji nie może dotrzymać słowa danego Frances.

- Ona nie wiedziała, Hugh. Nie możesz jej winić.

- Aha, widzę, że moja żona zdążyła już zdać ci sprawozdanie z naszej wymiany poglądów.

- Nie. Powinieneś mieć do niej więcej zaufania. Usłyszałem od niej jednak, że powiedziała coś niewłaściwego i bardzo cię wzburzyła. Tyle że nie wiedziała dlaczego. Była tak bardzo poruszona, że wysłałem ją do lady Cotherstone.

- W czym problem? - włączył się do rozmowy Matthew, który właśnie wrócił z siodlarni i znów zajął się końskim kopytem.

- Chodzi o wypadek Richarda - stwierdził Ambrose, gdy Hugh milczał uparcie.

- To znaczy?

- Nie ma problemu - stwierdził Aldeborough. - Aczkolwiek zdaniem mojej żony istnieje możliwość, że zabiłem brata.

- I to wszystko?! Pytała mnie o to już dawno. Podejrzewam, że mama ją szkoli z historii rodziny, a przy okazji czyni swoim zwyczajem czytelne aluzje. Ja jej w nic nie wtajemniczyłem. Uważam jednak, że należało z nią o tym porozmawiać, Hugh. Teraz nie byłoby kłopotu.

- Wygląda na to, że a moją żoną rozmawiają wszyscy oprócz mnie - stwierdził Hugh, powściągając kolejny wybuch złości.

- Posłuchaj, te plotki to przebrzmiały skandal, nikt nie daje temu wiary - powiedział; Ambrose.

- Tylko mama - skorygował Matthew.

- I Penelope Vowchurch! Miała czelność ostrzec moją żonę przed podróżowaniem w moim towarzystwie!

- Nie uwierzę.

- Nie? Może więc Frances to sobie wymyśliła. Najlepiej ją spytaj. Na pewno ci się zwierzy. A jeśli skończyliśmy już debatować nad stanem kopyt tego przekłętego zwierzęcia, to jadę spotkać się z Kingtonem przy Malton's Cross. Wam przejazdka w moim towarzystwie dzisiaj na pewno nie posłuży.

Wskoczył na gniadego wałacha i wyjechał ze stajni. - Dobrze to rozegraliśmy, nie ma co - skrzywił się Ambrose.

Matthew westchnął i zaczął prowadzić okulałego konia do boksu.

- Z nim się nie da o tym rozmawiać rozsądnie, a nawet wcale.

- Był bardzo blisko z Richardem, prawda?

- Tak. Kochał go.

- Czy to nie dziwne, skoro tak bardzo się różnili?

- To prawda. Richard szukał przygód i różnych podniet, namiętnie się zakładał, natomiast Hugh jest troskliwy i stateczny. Mama jednak tego nie dostrzegała. Pierworodny był jej słońcem. Tak naprawdę słabo znałem Richarda. Nigdy nie miał dla mnie czasu. Za duża różnica wieku, po prostu mu przeszkadzałem. Z początku traktowałem go jak bohatera, lecz szybko mnie z tego wyleczył. Znudzony życiem dżentelmen, znasz ten typ... Przeniosłem więc uczucia na Hugh, zwłaszcza odkąd zobaczyłem go w oficerskim mundurze. To przemawia do wyobraźni każdego chłopaka. - Matthew szeroko się uśmiechnął. - Hugh zawsze miał czas, wykazywał mnóstwo tolerancji dla malca, który chciał jeździć na jego koniu po

wypielegnowanych trawnikach albo wypróbować drewniany miecz na kurczętach z farmy. Sam wiesz, jak to wygląda.

- Roześmiał się do swych wspomnień. - Od tej tragedii upłynęło niewiele czasu, więc rana jest jeszcze świeża. W dodatku mama tak bezwzględnie opowiedziała się po stronie Richarda, obciążyła Hugh odpowiedzialnością za wypadek i oskarżyła go o pogoń za tytułem. A jego te zaszczyty nic a nic nie obchodzą. On tak naprawdę chciałby wrócić do wojska. Nie cieszy go prowadzenie majątku. Po Salamance dla niego to taka szarżyzna.

- A jednak robi to dobrze. Zobacz, jak wiele udało mu się ulepszyć w tak krótkim czasie. Ma mnóstwo nowych pomysłów, dokonał wielu napraw i ulepszeń, które czekały od wielu lat. - Ambrose rozejrzał się po wspaniale utrzymanej stajni. - Pamiętam, że całkiem niedawno zapadł się tutaj dach, a drzwi wylatywały z futryny.

- To cały Hugh - przyznał Matthew. - Będzie lepszym markizem, niż byłby Richard, nie mówiąc już o naszym ojcu. Wbrew pozorom całym sercem oddaje się tej pracy.

- Obaj to wiemy, ale to wcale nie ułatwią mu życia - podsumował Ambrose.

Zapadał już zmrok, gdy Frances zorientowała się, że Hugh wrócił. Poczekała chwilę, ale do niej nie zajrzał.

Teraz albo nigdy. Walcząc z niepewnością, przeszła przez garderobę, zapukała i bez czekania na odpowiedź otworzyła drzwi.

Widok nie był obiecujący. Aldeborough stał przy oknie, wpatrzony w ogród. Choć musiał ją usłyszeć, nawet się nie odwrócił.

Trzymał w dłoni szklaneczkę brandy. Nie przebrał się, więc wciąż miał na sobie ubłocony strój do jazdy konnej.

- Przyszłam prosić cię o wybaczenie. Nie wiedziałam, jak to było z Richardem.

Nadal stał odwrócony do niej plecami.

- Sądzę, że to ja powinienem cię przeprosić - odparł ze smutkiem. - Ambrose powiedział mi, że to była zupełnie niewinna uwaga. Szczerze mówiąc, sam to wiem... Rozmawiałaś z ciotką May?

- Tak.

- Znasz więc już całą historię.

- Tak. Żałuję, że to nie ty mi ją opowiedziałeś.

- Nie widziałem takiej potrzeby.

- Istotnie uznałeś, że nie powinno mnie to obchodzić stwierdziła z goryczą.

Tym razem wreszcie na nią spojrział.

- Wolałbym też, żebyś w przyszłości nie roztrząsała moich prywatnych spraw z Ambrose'em.

- Rozumiem. - Wiedziała, że nie wolno jej w tej chwili okazać złości. - Dlaczego jednak nie chcesz ze mną rozmawiać o swoim bracie? Skłoniłeś mnie, abym opowiedziała ci o biciu, o tych bliznach, które mam na plecach. Sprawilo mi to ulgę.

- To nie to samo.

- Dlaczego nie? - nalegała z nadzieją, że uda jej się stopić lody. - Blizny pozostają bliznami, wszystko jedno, na ciele czy na duszy.

Porozmawiaj ze mną o Richardzie, Hugh.

- Wszystko, co trzeba, wiesz od ciotki May. I tak nie miałbym nic do dodania.

- Dla mnie to ważne, że cię oszkalowano. Jak ktoś może z przekonaniem sądzić, że byłbyś gotów skrzywdzić własnego brata?

- Nie znasz mnie - odparł z goryczą. - Skąd możesz wiedzieć, do czego jestem zdolny?

Wyciągnęła rękę, aby go dotknąć, ofiarować mu pokrzepienie. Odsunął się. Zrobił to prawie niezauważalnie, ale wyczuła jego reakcję. To zabolalo.

- Nie potrzebuję twojego współczucia.

- Wcale go nie proponowałam.

- Skoro więc nie masz nic więcej do powiedzenia, chciałbym przebrać się do kolacji.

- Wyraziłeś się jasno. - Przywołała na pomoc całą swoją dumę. - Nie będę się więcej narzucać. Najwidoczniej źle zrozumiałam zasady, na których opiera się nasz związek. - Po sekundzie namysłu dodała: - Może zechcesz mnie poinformować, jakie tematy wolno mi poruszać w przyszłości!

Odwróciła się na pięcie i z godnością wyszła. Cicho zamknęła drzwi, choć miała ochotę tak nimi trzasnąć, żeby dom się zatrzęsł.

Hugh jęknął i nalał sobie kolejną szklaneczkę brandy, po czym zaczął się zastanawiać, czy nie cisnąć nią w zamknięte już drzwi. Wiedział, że potraktował Frances okropnie. W zasadzie nie lepiej niż Torrington, chociaż jej nie uderzył. Zniszczył jednak więź, która

zaczęła się między nimi tworzyć. Rozumiał, że będzie musiał to naprawić. I koniecznie przeprosić Matthew i Ambrose'a.

Pozostawało też pytanie, kto znienawidził go na tyle, by opłacić zbirów. Wcale nie było to jasne, choć przychodził mu do głowy jedynie Torrington. Z drugiej strony nie potrafił sobie wyobrazić Torringtona, jak organizuje z zimną krwią taką napaść. Och, tak bardzo żałował, że nie może wrócić do swojego pułku w Hiszpanii.

Rozdział dziewiąty

Stosunki z Matthew i Ambrose'em naprawił łatwo, obaj zignorowali bowiem jego złą dyspozycję i zachowywali się, jakby nic nie zaszło. Wkrótce więc jak dawniej wspólnie chodzili na ryby i polowali, a wieczorami grywali w karty na drobne stawki. Hugh skonstatował to z satysfakcją, jednak złe układy z żoną oraz niewyjaśniony napad wciąż zatruwały mu życie.

Frances natomiast większość czasu poświęcała na zwiedzanie Priory. Majątek był pierwotnie siedzibą augustianów, ale po rozwiązaniu zakonów przez Henryka VIII został przyłączony do posiadłości Laffordów. Wciąż istniały na jego terenie pozostałości zabudowań klasztornych. Frances miała nadzieję wykorzystać te malownicze ruiny w planowanym ogrodzie. Główny budynek, wzniesiony z piaskowca, utrzymany był w stylu Tudorów, obfitował więc w szczyty i przypory. W nowszych czasach Laffordowie

dobudowali skrzydła i fantazyjne wieże, więc całość przedstawiała zadziwiającą mieszaninę stylów i elementów zdobniczych. Frances bardzo podobał się ten eklektyzm i czuła się tu znacznie bardziej w domu niż w londyńskiej kamienicy przy Cavendish Square. Jak jednak wyznała kiedyś ciotce May, mogło to również mieć wiele wspólnego z nieobecnością markizy wdowy.

Chodziła nie tylko po ogrodzie, lecz również po domu, gdzie w asyście pani Scott oglądała pokoje, piwnice, strychy i kredensy. Gospodyni nie posiadała się z zachwyty, że nowa pani tak interesuje się codziennym życiem Priory. Z ciotką May Frances rozmawiała o zielarstwie i ogrodnictwie, słuchała też ploteczek o sąsiadach i londyńskim towarzystwie. Kuchnię pozostawiła w niepodzielnym władaniu kucharki, pamiętającej jeszcze małego Hugh, co przychylnie nastawiło ją do tej dość kapryśnej osoby. Służba polubiła ją i chętnie wykonywała polecenia, nie zaś, jak to często bywa, zrećcznie je sabotaowała, dlatego pod kierunkiem Riversa sprawnie odbywało się wielkie sprzątanie, przywracające blask dębowym podłogom i boazeriom i odsłaniające stiuki spod pajęczyn. Również myszy ukryły się w swoich dziurach.

Z czystej ciekawości obejrzała sypialnię pana domu, połączoną przez garderobę z jej własną. Za pretekst posłużyły jej porządki, ale tak naprawdę chciała lepiej poznać człowieka, który zyskał władzę nad jej życiem, a co ważniejsze, również sercem. Pokój miał ściany obłożone dębową boazerią i kunsztowne stiukowe dekoracje na suficie. Bardzo męski w charakterze, cechował się skąpym umebło-

waniem: rzeźbiona skrzynia, krzesło z miękkim siedziskiem i kredensik, a także toaletka i lustro. W pomieszczeniu dominowało olbrzymie łoże z granatowymi, aksamitnymi zasłonami, podszytymi szarym jedwabiem i ozdobionymi złotym sznurem i frędzlami. Jeśli jednak Frances spodziewała się odkryć coś więcej, to przeżyła zawód. Oprócz pary szczotek ze srebrnymi rączkami oraz tabakierki, pozostawionych na toalecie, niewiele było wskazówek świadczących o charakterze kogoś, kto zajmuje tę sypialnię. No, może jeszcze wojskowy porządek, stanowiący niewątpliwie w dużej mierze zasługę Webstera. Brakowało natomiast portretów na ścianach i rzeczy osobistych. Skrzynia okazała się pusta. Zupełnie jakby markiz był tu jedynie gościem, który przyjechał na krótko.

Potem przeszła na strych. Był prawie pusty, choć stały tam kufry, w których kryły się dawno złożone skarby. Zapisała sobie w pamięci, gdzie znajdują się pudła pełne oficjalnie wyglądających papierów ze wstążkami i pieczęciami, a Riversowi poleciła przenieść niektóre rzeczy do małego salonu, który wieczorami zajmowała razem z ciotką May.

- Myślę, że powinnaś to przeczytać, ciociu May - zawołała jeszcze tego wieczoru z szelmowskim uśmiechem. Siedziała u stóp lady Cotherstone na podłodze, otoczona wianuszkami pudeł i pudełek, i przeglądała ich zawartość.

- A cóż to takiego? Nie sądzę, żeby cokolwiek, co zapisano w książce, mogło okazać się przydatne dla osoby w moim wieku.

Frances ostrożnie przewróciła kilka stron, przyglądając się wyblakłym, nierównym literom.

- Nie ma tytułu, ale to zbiór przepisów kuchennych i dobrych rad dla pani domu - wyjaśniła.

Ciotka May odłożyła na chwilę haft.

- Gotowaniem niech zajmuje się lepiej pani Scott i ten, kto rządzi teraz w kuchni. Mnie to nigdy nie interesowało. W odróżnieniu od ziół i leków, naturalnie. Masz coś ciekawego na ten temat?

- Na razie nie. Zapiekanka z węgorzem i ostrygami... Zapiekanka jabłkowa... Zapiekanka ze szpikiem... Eskalopki szkockie... Bulion z jęczmieniem...

- Co za pospolite i tanie dania. Lepiej od razu schowaj to z powrotem na strychu, żeby przypadkiem nie zainspirowało pani Scott. A mnie nalej kieliszek wina.

Frances roześmiała się i spełniła życzenie ciotki, po czym wróciła do przeglądania szpargałów.

- Jakieś błyskotki i wstążki... popatrz, ciociu, ładne rękawiczki... a to co? - Wyjęła bukiet kruchych, wysuszonych liści, przewiązanych srebrną wstążeczką z przyczepionym pożółkłym bilecikiem.

- Hm, to mi wygląda na dowód uczuć. Za moich młodych lat często się je dawało.

Frances powąchała poszarzałe łodyżki, kruszące się na jej spódnicę.

- Pachnie jak rozmaryn. O, proszę posłuchać.

*Rozmaryn pomaga pamiętać
O innych dniem i nocą;
Chciałbym cię widzieć przy sobie,
Gdy słońce świeci i gwiazdy się złoce.
A gdy cię jednak nie widzę,
Wydaje mi się, że nie żyję,
A Amor swą strzałą zabójczą
Na wylot mi serce przebije.*

Na wargach Frances pojawił się uśmiech rozmarzenia. Wiersz może i nie był lotów pana Szekspira, lecz wyrażał najczystsze i najszczerze uczucie.

- Czy kiedyś dostałaś taki dowód uczuć, ciociu May? - spytała nieświadoma, co zdradza ton jej głosu.

- Tak. Nie byłam ładna, ale adoratorów mi nie brakowało. A ty?

- Gdy Frances pochyliła się nad wierszykiem, dodała: - Rozumiem, że takie uczuciowe błahostki nie cieszyły się uznaniem w Torrington Hall.

- Moi stryjostwo nigdy nie kierowali się żadnym uczuciem z wyjątkiem poczucia obowiązku.

- A Hugh? - Pytanie zabrzmiało całkiem zwyczajnie, ale był to zwykły podstęp.

Frances roześmiała się. Ciotka May potrafiła zauważyć smutek i tęsknotę.

- Jest bardzo uprzejmy, ale romantyzmu w nim nie ma. Zresztą ta cała historia to tylko fatalne nieporozumienie. A teraz jeszcze tak go zagniewałam. Nie oczekuję od niego miłosnych wierszyków. - Pogłaskała poźółkły papier, myśląc o dawno zmarłej kobiecie, do której napisano takie czułe słowa.

Lady Cotherstone rozsądnie powstrzymała się od komentarza.

Hugh widział skutki pobytu swojej żony w Priory, podobnie jak jej rosnącą pewność siebie i autorytatywność, ale nie czynił uwag na ten temat. Ich stosunki pozostawały oficjalne. Owszem, Frances śmiała się z dykteryjek o pobycie męża na rybach i chętnie dzieliła się pomysłami na nową zupę, ale przez cały czas zachowywała rezerwę, której Hugh nie umiał zwalczyć. Noce spędzał samotnie, bo nie chciał się żonie narzucać, ale nie były to przyjemne godziny.

Frances natomiast postanowiła dostosować się do życzeń męża. Po prostu była uległą, posłuszną żoną. Jeśli nie zamierzał jej dopuścić do swoich spraw, trudno. Nie okaże mu, jak bardzo ją to boli. I jak tęskni za jego dotykiem. Miała długoletnią praktykę w ukrywaniu uczuć, mogła więc żyć bez względów małżonka. Nikt nie musiał wiedzieć, że bardzo zazdrości dawno zmarłej damie, która dostała dowód miłości.

Ciotka May, świadoma panującego chłodu, całkiem niezgodnie ze swą naturą powstrzymywała się od uwag. Nie mogła jednak pojąć, jak to możliwe, że jej stryjeczny wnuk, przystojny i obyty człowiek, tak mało wie o kobietach.

Aldeborough, trzeba mu oddać sprawiedliwość, starał się jednak poprawić atmosferę.

- O ile wiem, umiesz jeździć konno, milady.

- Tak. Jeśli pamiętasz, milordzie, to jeden z moich nielicznych talentów.

Zabolał go ten przytyk.

- Chodźmy więc. - Aby nie dopuścić do odmowy, położył sobie jej dłoń na ramieniu i chociaż czuł, że Frances jest spięta, udawał, że tego nie dostrzega.

- Dokąd idziemy?

Po chwili znaleźli się przed stajnią, gdzie oczekiwał ich masztalerz Selby. Na jego pomarszczonej twarzy gościł uśmiech.

- Niespodzianka - powiedział Hugh do żony. - Selby coś ci pokaże.

- Dzień dobry, kapitanie. Milady. - Selby, który służył jako ordynans Aldeborough w Hiszpanii, znikł w stajni i chwilę potem wyprowadził z niej osiodłaną gniadą klacz.

- Jeśli taka twoja wola, madame, klacz należy do ciebie - powiedział Hugh i mimo obojętnego tonu obserwował jej reakcję z dużym napięciem. - Nie jest narowista, choć ma temperament.

- Och... - Frances cicho pisnęła z zachwytem. Przypomniała sobie, że Matthew kiedyś wspomniał o tej klaczce.

- Kupiłem ją w Hiszpanii.

Podeszła do kasztanki i pogłaskała ją po lśniącej sierści, a potem przeczesała palcami ciemną grzywę.

- Jest piękna - powiedziała cicho. - Jak ma na imię?

- Nie wiem. Najlepiej jeśli sama je wymyślisz.

- Naprawdę jest moja? Nigdy dotąd... - Z zachwytem patrzyła na klaczkę, która, spragniona ruchu, rzucała łbem i grzebała kopytami. Frances przytuliła się do aksamitnej sierści, by ukryć łzy cisnące jej się do oczu. - Jak mogę ci podziękować? - Nawet w jej uszach zabrzmiało to oficjalnie.

- Nie musisz. To również ci się przyda. - Podał jej pakunek owinięty w miękką skórkę. - Rozwiń, proszę.

- Och... tak... tylko że... - Z wielkiego poruszenia plątał się jej język - Nie przywykłam do otrzymywania prezentów.

Wreszcie jednak zajrzała do środka i jej oczom ukazały się śliczne, mięciutkie rękawice do konnej jazdy, ozdobione po męsku złotym frędzlem i wyszywanym mankietem.

- Może pojedziesz gdzieś ze mną. Trzeba dać klaczy szansę, żeby pokazała, co umie.

- Może, ale muszę... Nie mogę... - Dlaczego był taki uprzejmy, taki szczodry i taki oschły zarazem?! Nie mogła się z tym pogodzić. Walcząc z coraz bardziej natarczywymi łzami, uciekła do domu.

Aldeborough i Selby zostali przed stajnią, znów, jak to mężczyźni, zdumieni odwiecznym fenomenem, który krótko ująć można by tak: kobiety są nieprzewidywalne.

Na schodach Frances spotkała ciotkę May.

- Co się stało? - zaniepokoiła się lady Cotherstone.

- Hugh podarował mi hiszpańską klaczkę. To najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam.

- No tak. Z takiego powodu warto płakać!

Frances splonęła pąsem i schroniła się w swoim pokoju.

Pojawienie się wicehrabiostwa Torringtonów i Charlesa nie przyczyniło się do złagodzenia napięć w Priory. Przyjechali starym i zużytym landoletem na oficjalną przedpołudniową wizytę. Wyraźnie starali się zrobić dobre wrażenie. Mimo to, gdy pito herbatę, wyczuwało się, że miła atmosfera jest tylko fasadą.

- Droga Frances! - zawołała stryjenka Cordelia. - Po prostu musieliśmy przyjechać, aby powinszować oblubienicy. I panu również, milordzie. Bardzo nam żal po stracie takiej domownicy, cieszy nas jednak, że zawarła tak świetny mariaż. Jesteśmy pewni, że i milord odczuwa satysfakcję z dokonanego wyboru.

Aldeborough twierdząco skinął głową i pozwolił sobie na oficjalny uśmiech. Nie miało sensu niszczyć pozorów przyjaźni, mimo że Frances wyraźnie miała ochotę cisnąć filiżanką w strusie pióra na głowie stryjenki.

Jeśli wicehrabia Torrington pamiętał treść swojej poprzedniej rozmowy z markizem, to niczym tego nie okazał. Gawędził o metodach ujeżdżania i trenowania koni, polepszaniu okolicznych dróg, podnoszenia jakości ziem uprawnych. Hugh przez cały czas się uśmiechał, ale filiżanka omal nie pękła mu w dłoni.

Frances doszła do wniosku, że za tą wizytą stoi kuzyn Charles, sprawiający doskonale wrażenie w obcisłym ciemnozielonym

surducie i bielutkich spodniach z kozłej skóry. Jego regularne rysy również budziły zaufanie. Czarując uśmiechem, natychmiast otoczył względami ciotkę May. Żartobliwie z nią flirtował, dzielił się plotkami i kwitował śmiechem trafne opisy jej londyńskich znajomych.

Po przepisany etykietą czasie wizyta dobiegła końca. Frances odprowadziła gości do drzwi.

- Może kiedyś znajdziesz czas na odwiedziny w Torrington Hall - zaproponowała lady Torrington.

- To bardzo miłe zaproszenie. Z pewnością przywiozę do państwa żonę, kiedy tylko pozwolą mi obowiązki. - Uprzejmość markiza nie miała granic.

- Bardzo rozsądnie pan postępuje, nie pozwalając Frances na samotne podróżowanie. Zbójcy nie śpią, jesteśmy wstrząśnięci tym, co się zdarzyło - wyraził zatroskanie Charles.

- Nie wiedziałem, że powszechnie już o tym wiadomo. - Aldeborough spojrział na niego koso.

- Takie wieści rozchodzą się błyskawicznie. Rabusie stanowią zagrożenie dla nas wszystkich. Akryll, nasz kamerdyner, znał wszystkie szczegóły. Wiadomo, jak to jest.

- Naturalnie. Pańska troska, Charles, jest wzruszająca.

Tymczasem lady Cotherstone zajęła lady Torrington szczegółową rozmową poświęconą przygotowywaniu na zimę przetworów ze śliwek i zmiłowała się nad nią dopiero wtedy, gdy wszyscy stanęli na zwirowym podjeździe przy landolecie Torringtonów.

Moment wsiadania do powozu Charles wykorzystał, aby zamienić na osobności kilka zdań z Frances.

- Trudno mi znieść myśl, że znalazłaś się w niebezpieczeństwie. Pamiętaj, że w razie potrzeby możesz liczyć na moją pomoc. Wystarczy przysłać liścik. - Urwał, by odpowiednio dobrać słowa. - W każdej sytuacji.

- Jesteś bardzo uprzejmy, nie przewiduję już jednak żadnych zagrożeń. - Zdziwił ją swoim uporem.

- To dobrze, w każdym razie proszę nie zapominać.

Pocałował ją w rękę, którą przytrzymał nieco zbyt długo, a potem odwrócił się, by za ojcem wsiąść do powozu. Za plecami Frances pojawiła się ciotka May.

- Ciekawy młody człowiek - stwierdziła zadumana. - Doskonale się prezentuje. Nie mogę zrozumieć, dlaczego mi się nie podoba.

- Jak to? - Frances spojrzała na nią zaskoczona. - Ciocia wydawała się bardzo zadowolona z jego towarzystwa.

- To prawda, ale coś mnie niepokoi. Wiesz, kiedy ktoś przesadza z uprzejmościami... Jest tak układny, że po prostu nie może zrobić złego wrażenia. Bardzo troszczy się o ciebie...

- Owszem, ale przecież jest moim kuzynem.

- Hm... Niech będzie... A ta twoja stryjenka to pospolita kobieta. Już się bałam, że zaczniesz grzebać ci w bieliźniarce i instruować kucharkę.

Frances uniosła brwi.

- Czy to możliwe, żebyś słuchała naszej rozmowy, ciociu?

- Próbowałam - odparła bez żenady - ale bez wielkiego powodzenia. Spytała cię, czy już jesteś przy nadziei?

Frances nie umiała powstrzymać intensywnego rumieńca.

- Tak, jeśli ciocia musi wiedzieć. - Jej zakłopotanie mieszało się z oburzeniem.

- A jesteś?

Nie słyszała, jak Aldeborough podchodzi, więc tym cicho postawionym pytaniem całkowicie ją zaskoczył. Opanowała się szybko.

- Kiedy będę, dowiesz się o tym pierwszy, milordzie! - Odwróciła się na pięcie. Miała stanowczo dość rodziny, a jeszcze nawet nie minęło południe.

Tydzień skończył się, jak na marzec przystało, porywistymi wiatrami i burzami. Na trawnikach Priory pojawiły się kałuże, a wszędzie dookoła leżały połamane gałęzie. Skazana na pobyt w czterech ścianach, Frances zainteresowała się zawartością spiżarni, Aldeborough wyjechał na umówione spotkania z dzierżawcami, a Matthew kręcił się po domu i wszystkim przeszkadzał. Ciotka May położyła się do łóżka, uznała bowiem, że jest to w tej sytuacji jedyne rozsądne miejsce dla damy w jej wieku, a do towarzystwa miała Wellingtona i butelkę bordo.

W końcu, ku powszechnej uldze, któregoś ranka na niebie pojawiło się słońce, co pewien czas zasłaniane szybko gnającymi chmurami. Przyjechał ubłocony Kington, by złożyć sprawozdanie markizowi, zajętemu akurat konserwacją strzelb w składziku broni.

- Muszę poinformować, milordzie, że wiatry wyrządziły trochę szkód.

- Można się było tego spodziewać. Są jakieś pilne sprawy? - Aldeborough odłożył dubeltówkę i zaczął ścierać oliwę z palców.

- Czekam na wieści od dzierżawców. Na pewno stary Huckerby potrzebuje nowego dachu. Musimy też sprzątnąć drewno w lesie przy Leśnym Domu i oczyścić rowy wzdłuż Drogi Zachodniej. No i trzeba zwrócić uwagę na Chiński Mostek w miejscu, gdzie strumień wypływa z Jeziora Zachodniego. Kilka dużych gałęzi uderzyło w podpory i zaklinowało się pod spodem, więc mostek stracił stabilność. Lord Matthew powinien uważać, gdyby chciał tamtędy jechać.

- Dziękuję, Kington. Ostrzegę kogo trzeba, ale to nie jest; takie ważne. Mostek służy jako ozdoba, nikt ze wsi go nie używa. Możemy umieścić go na liście napraw po dachu starego Huckerby'ego. Trzeba mu dogodzić, jeśli chcemy mieć przycięte żywopłoty. Jak żyję, nie miałem takiego zręcznego ogrodnika, mimo że dokucza mu reumatyzm.

Kington uśmiechnął się szeroko.

- Właśnie do niego jadę. O mostek wobec tego już się nie martwię, uprzedzę tylko po drodze Selby'ego.

- A ja lorda Matthew.

Dom wydawał się pusty. W końcu Aldeborough natknął się na ciotkę May.

- Wreszcie jakaś żywa istota. Gdzie jest Frances?

- Ja tam pozostanę żywa, kiedy ciebie już dawno nie będzie na tym świecie, chłopcze - odrzekła kpiąco stara dama. - A Frances planowała przejażdżkę, żeby trochę się odświeżyć. Gdybyś jadł z nami śniadanie, nie musiałbyś pytać!

Zignorował przytyk.

- Czy pojechała sama?

- A skąd mam wiedzieć? Dlaczego jej nie towarzyszysz?

- Może ciocia tego nie zauważyła, ale byłem zajęty.

- Hm... Zbyt zajęty, żeby wybrać się z żoną na przejażdżkę? Nie zdziwiłoby mnie, gdyby pojechała się spotkać z kuzynem Charlesem. To bardzo elegancki młody człowiek. Kiedy odwiedził nas w zeszłym tygodniu, wykazywał dużo troskliwości, zauważyłeś? Potrafi prawie komplementy, można też uznać go za atrakcyjnego. Frances mogła zateśknić za odrobiną męskich względów.

Hugh wolał nie zauważyć złośliwego błysku w oczach ciotki May, ale nagłemu przyływowi zazdrości oprzeć się nie umiał. Starsza pani odnotowała jego minę z niemałym zadowoleniem.

- Skoro ciotka nie wie, z kim pojechała Frances, to może powie mi chociaż, dokąd się wybrała - rzucił niecierpliwie.

- Nie, Hugh. To ty powinieneś wiedzieć. Jesteś głupcem.

- Dziękuję. Wiedziałem, że zawsze mogę liczyć na światłą radę ciotki! - I dodał od drzwi: - Czy mogła wybrać się z Matthew?

- Czyżby mówiono o mnie? - W progu pojawił się Matthew ubrany w strój jeździecki.

- No, to już znam odpowiedź - mruknął Hugh z marsem na czole.

- Na jakie pytanie?

- Miałem nadzieję, że Frances wybrała się na przejażdżkę z tobą.

- Nie widziałem jej od śniadania. Spieszyło jej się do hiszpańskiej klaczki, ale nie wiem, dokąd pojechała. A co się stało?

- Kington mówi, że spadłe konary osłabiły Chiński Mostek.

Pojadę sprawdzić, jak to wygląda, na wypadek gdyby Frances chciała tamtędy wracać. Pewnie niepotrzebnie się niepokoję, ale... - Wzruszył ramionami, nie potrafił jednak uwolnić się od złych przeczuć.

- Jadę z tobą.

Ruszyli na południe. Wiatr wciąż straszył, a na horyzoncie przesuwały się ławice chmur, ale świeciło słońce, więc dzień wydawał się idealny na przejażdżkę. Selby potwierdzi, że mniej więcej przed godziną milady dosiadła hiszpańskie klaczki, noszącej teraz imię Beeswing, i odjechała przez pastwisko ku drzewom w oddali. Stajennego nie wzięła.

- Powiedziała, że chce sprawdzić chód klaczki. Ładnie razem wyglądają, milordzie, aż przyjemnie popatrzeć. Milady wzięła ją na długie wodze i poszły galopem jak wiatr. Nie ma się o co martwić.

Hugh nie pozbył się jednak złych przeczuć. Popędził z Matthew ku szczytowi niedużego wzniesienia, z którego rozciągał się widok na całe Jezioro Zachodnie z Chińskim Mostkiem przy jego wschodnim krańcu. Zanim jednak osiągnęli cel, usłyszeli tętent.

- To musi być Frances - powiedział Matthew.

- Jeśli tak, to straciła panowanie nad klaczą! - zaniepokoił się Hugh. - Posłuchaj, to cwał! - Zatrzymali konie i czekali na rozwój wypadków.

Wkrótce na szczyt wzniesienia wpadła w cwale klaczka bez jeźdźca. Zmierzała w kierunku stajni, ale zauważywszy jeźdźców, skręciła i Matthew, popędziwszy wraz z nią, zdołał chwycić ją za uzdę. Po chwili zatrzymał oba konie i z Hugh przyjrzeni się Beeswing. Cała była mokra, siodło miała ubłocone, a na przedniej nodze dużą krwawiącą ranę. Położyła uszy po sobie i błyskała białkami.

- Odprowadź ją do stajni - polecił bratu Aldeborough. - Potem weź kariolkę i przejedź drogą przez zagajnik. Oby Frances spadła na miękką ziemię... Pospiesz się! - Ruszył galopem. Wołał nie myśleć o tym, co może zastać przy Chińskim Mostku. Czy mógł jakoś temu zapobiec? Mógł, ale teraz nie miało to znaczenia. Po ostatnich deszczach poziom wody bardzo się podniósł. Zalało pastwiska na brzegach, a strumień zamienił się w rzeczkę. Mostek jeszcze się trzymał, ale został osłabiony przez spadłe konary.

Gdy podjechał bliżej, zauważył, że jedna z ozdobnych orientalnych balustradek została zmieciona do jeziora. Zaraz potem dostrzegł plamę intensywnej zieleni.

Frances leżała na granicy wody, przy mostku. Najwidoczniej próbowała wyczołgać się na brzeg, ale przemoczony aksamit musiał ciągnąć ją w dół. Hugh zaczął wyplątywać spódnice Frances pomiędzy gałęzi, walcząc też z silnym nurtem strumienia. Trwało to jednak zbyt długo, więc rozdarł tkaninę, żeby uwolnić ciało z pułapki.

Potem chwycił Frances pod pachy i z wysiłkiem wyciągnął na brzeg. Ułożył ją na trawie i odwrócił na plecy.

- Frances! Frances! - Objął ją i lekko unióśł, odgarniając mokre kosmyki z twarzy. Przez cały czas gorączkowo sprawdzał, czy nie ma rany lub złamanej kości. Frances była blada jak kreda, oczy miała zamknięte. W ułamku sekundy przemknęła mu przed oczami inna straszna chwila z jego życia.

- Nie opuszczaj mnie, Frances! Nie umieraj! - powtarzał nieprzytomnie. Stopniowo jednak wracała mu trzeźwość myślenia. Nie było krwi, kości były całe. Wargami wyczuł na szyi wyraźny, choć niezbyt mocny puls. Wreszcie nieznacznie poruszyła się w jego objęciach i zakasłała. - Frances?

Wolno uniosła powieki i zobaczył piękne oczy w kolorze fiołków.

- Co się stało? - wyszeptała.

- Spadłaś z konia.

Mocno chwyciła go za ramię, a w jej oczach zagościł przestach.

- Beeswing! Czy Beeswing nic nie jest?

- Jak wszystkie rozsądne klacze, powróciła bezpiecznie do stajni.

- Starał się nie okazywać zdenerwowania, choć ręce mu drżały. -

Możesz mi opowiedzieć, jak to się stało?

- Wracałam do domu. Wiał silny wiatr. Nurt był szybki, ale mostek wydawał się bezpieczny. Pamiętam głośny trzask. Widocznie pękła podpora. Beeswing spłoszyła się i ani się obejrzałam, jak rozbiła balustradkę i wpadła do jeziora. Zalewała mnie woda, nie mogłam się

wydostać. I koniec. - Mocniej zacisnęła dłoń na ramieniu męża. - Czy na pewno Beeswing nic się nie stało?

Wstał i ostrożnie pomógł jej się podnieść. Frances trzęsła się z zimna.

- Klacz jest zdrowa - zapewnił. - Całe szczęście, że cię nie przygniotła. O, jest Matthew!

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Nieważne. Jak najszybciej musisz znaleźć się w domu.

- Ojej, mój śliczny kostium! - Zaiste, cała mokra i upačkana błotem, wyglądała niezbyt elegancko.

- Kupię ci nowy. - Uśmiechnął się, rozbrojony taką hierarchią spraw. - Kupię ci tuzin nowych kostiumów. - Zdjął surdut i okrył nim Frances z nadzieją, że przekaże jej również trochę swojego ciepła. Potem wziął ją na ręce i nie zważając na protesty, zaniósł do kariolki.

Gdy Frances znalazła się w sypialni, Hugh kazał przynieść ciepłą wodę, ręczniki i sprowadzić osobistą służącą milady. Potem dokładnie obejrzał jej głowę. Na linii włosów odkrył szybko rosnący siny guz, ale żadnych innych uszkodzeń nie znalazł. Przekonawszy się o tym, zaczął rozbierać Frances. Tymczasem lokaje przygotowywali kąpiel w garderobie, a do pokoju weszła służąca.

- Zostawiam cię w dobrych rękach. Proszę troskliwie zaopiekować się milady - polecił służącej.

- Naturalnie, milordzie. Wkrótce pani poczuje się lepiej. Wycofał się do swojej sypialni. Potrzebował czasu, żeby odzyskać spokój.

W godzinę później ponownie wkroczył do żoninej garderoby. Była już pusta, jeśli nie liczyć śladów wody na podłodze, ręczników i sponiewieranego aksamitnego kostiumu, więc przeszedł do pokoju. Frances siedziała przy kominku, na którym palił się ogień, ubrana w atłasowy szlafrok z koronkami. Włosy jej wyschły i rozczulająco sterczały we wszystkie strony. Na policzki wróciły rumieńce. Ku jego uldze wyglądało na to, że niefortunna przygoda nie będzie miała poważniejszych następstw.

- Przykro mi, że sprawiłam tyle kłopotu. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Jazdę konną uważałam za swój jedyny talent, teraz nawet to mi nie zostało.

- Wichura uszkodziła mostek - odparł, kręcąc głową. - Nie mogłaś nic na to poradzić. Kington rano mi o tym zameldował, dlatego pojechaliśmy sprawdzić, czy nie wybrałaś się w tamtą stronę. Talentu z pewnością nie utraciłaś.

- Cieszę się. To dobra wiadomość dla mojego poczucia własnej wartości.

- Niewątpliwie może się przydać, bo choć przykro mi o tym wspomnieć, jutro będziesz miała malowniczo podbite oko.

Zapadło niezręczne milczenie.

Hugh podszedł do Frances, pomógł jej wstać i wycisnął na jej ustach pocałunek, w którym zawarły się wszystkie burzliwe uczucia ostatnich godzin.

- Milordzie, jest jasny dzień - bąknęła, gdy wreszcie cofnęła wargi.

- Niech sobie będzie. - Podszedł do drzwi i przekręcił klucz w zamku. - Pragnę cię, milady. Pragnę cię natychmiast.

Ściągnął kapę z łóżka i ułożył Frances w pościeli, po czym ostrożnie zaczął ją rozbierać. Wkrótce leżała całkiem naga, a słońce jeszcze dodawało urody jej ciału. Pomyślał, że Frances na pewno nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Jesteś piękna.

Chciał nasycić się dotykiem jej ciała, przekonać się, że jest cała i zdrowa. I że należy do niego.

- Też jesteś piękny, Hugh.

Roześmiał się, gdy przesunęła dłońmi po jego torsie i powoli wędrowała coraz niżej. W jej oczach żarzyło się nieukrywane pragnienie.

- Popatrz na mnie.

W zachwycie wydawało mu się, że za chwilę utonie w głębinie jej oczu. Nie mógł dłużej czekać. Jego pchnięcia szybko stawały się coraz mocniejsze i dłuższe. Czuł paznokcie Frances wpijające mu się w ramiona i jej ciało tuż przy swoim. I wreszcie wielką, wielką rozkosz.

Leżeli potem nieruchomo, a ich oddechy powoli odzyskiwały normalny rytm. Hugh uniósł się na łokciu, bo znów zatęsknił za widokiem Frances. Bez wahania odwzajemniła jego spojrzenie i przesłała mu uśmiech. Poglaskał ją, a przez głowę przemknęła mu myśl, której zupełnie się nie spodziewał. Odpychał ją, ale wracała.

- O czym tak dumasz?

- O tobie... - Na chwilę zawiesił głos. - O tym, że byłem samolubnym kochankiem. Za bardzo cię pragnąłem.

Przesunęła dłońmi po jego ramionach i natrafiła na stary ślad po szabli, biegnący od żeber aż po biodro.

- Ty też masz swoją bliznę. Nie wiedziałam.

- Już wiesz.

Zacząła całować tę nierówną linię. Było w tym tyle czułości, że znów obudziło się w nim pragnienie, choć przed chwilą sądził, że jest nasycony.

- To będzie specjalnie dla ciebie, Frances... - Zaczął powoli pieścić pocałunkami jej wargi. Postanowił, że teraz będzie budził jej ciało długo, bardzo długo, by czuła go każdym jego skrawkiem.

I rzeczywiście Frances nawet nie śniła, że może doznać czegoś tak cudownego. Jej skóra stała się tak wrażliwa, że najlżejszy dotyk dawał jej przyjemność na granicy bólu.

- Nie... - szepnęła. - Nie mogę...

- Możesz... Pozwól, że dam ci taką rozkosz, jaką ty ofiarowałaś mnie...

Gdy ciałem Frances owładnął spazm rozkoszy, głośno krzyknęła. To było jego imię. Imię mężczyzny, którego pokochała ponad życie. I miłość tę objawiła w swym krzyku.

Późnym popołudniem, gdy Aldeborough schodził po schodach, jego poczucie spełnienia i satysfakcji zakłócił czekający w sieni masztalerz.

- Powinien pan przyjść do stajni, kapitanie.

- Co się stało, Selby?

- Musi pan obejrzeć klacz.

Beeswing stała potulnie w stajni i zajała owies. Powrót Selby'ego powitała cichym rzeniem. Aldeborough ze zdziwieniem stwierdził, że jest tu również Kington.

- Jakiś problem? Klacz chyba się uspokaja. - Poklepał ją po grzbiecie.

- Co milord sądzi o tej ranie?

Hugh ostrożnie przesunął dłonią po przedniej nodze klaczy i natrafił na głębokie skaleczenie. Tyle że brzegi rany były podejrzanie równe. Krwawienie już ustało, a Selby przygotowywał maść na opatrunek.

Markiz spojrział na masztalerza. Widział podobne rany u ludzi i zwierząt w Hiszpanii.

- Kula?

- Tak jest, kapitanie. Proszę popatrzeć. Kington znalazł to w jednym ze słupków balustrady, która spadła do wody. - Na szerokiej, pełnej odcisków dłoni leżała ołowiana kula pistoletowa.

- A więc to był ten trzask - powiedział Hugh - który usłyszała Frances. Wystrzał. Wcale nie pękające drewno. Podpory wytrzymały, ale trafiona klacz spłoszyła się i skoczyła na balustradę.

- Tak musiało być - potwierdził Kington. - Wygląda na to, że strzelano od strony zagajnika. Tam łatwo się ukryć.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek o tym usłyszał. - Markiz z trudem ukrywał gniew i przerażenie. - Nie rozmawiajcie absolutnie z nikim.

- Tak, milordzie. Nie ma sensu martwić milady. Rzeczywiście nie było sensu, Hugh podzielał ten pogląd.

Jednak incydent z kulą rzucił nowe światło na zbójcki napad na powóz. Kto wtedy miał właściwie zginąć?

Rozdział dziesiąty

Przez następne dni markiz bardzo się pilnował, żeby nie mieć radosnego nastroju Frances aluzjami do incydentu na Chińskim Mostku. Selby'emu i Kingtonowi mógł zaufać, że będą milczeli, a nikt inny o kuli nie wiedział. Rana Beeswing szybko się goiła, a tymczasem Hugh użyczył żonie jednego ze swoich koni myśliwskich i pokazywał jej dalej położone części majątku, a przy okazji przedstawiał ją dzierżawcom mieszkającym we wsi, za kościołem. Dobrze się czuł w jej towarzystwie. Frances była przy nim coraz swobodniejsza, chętnie pytała o plany związane z majątkiem i z zapalem przedstawiała własne pomysły.

Czasem galopowali po parku, upajając się szybkością, a kiedy Frances udało się go prześcignąć, ogłaszała zwycięstwo radosnymi okrzykami. Olbrzymią przyjemność sprawiała mu jej radość, gdy dostarczono do Priory nowy kostium jeździecki z zielonego aksamitu, w dodatku pasujący na Frances jak ulał. Noce też należały do niezapomnianych, a Hugh nie mógł się nadziwić sile swojej namiętności.

Również dla Frances te dni były jak objawienie. Hugh miał dla niej niewyczerpane pokłady przyjaźni, może nawet żywił mocniejsze uczucie, ona zaś kochała go coraz bardziej. Swoją miłość starannie jednak ukrywała, wiedziała przecież, że mąż jej nie potrzebuje.

Coraz lepiej wypełniała również rolę markizy. Szanowała ją służba i dzierżawcy. Frances często z nimi rozmawiała i jak to bystra, obdarzona czułym sercem kobieta, dostrzegała rzeczy, które umykały uwagi męża. Niemniej i on cieszył się wielką estymą ludzi, których los spoczywał w jego rękach. Starego markiza i Richarda nigdy otwarcie nie krytykowano, ale było dla niej jasne, że Hugh jest uważany za światłego człowieka, który wyciągnie majątek z wieloletnich zaniedbań.

Sama też z zapałem wiodła dyskursy o urządzeniu kamieniołomu we wschodniej części majątku, zaletach płodozmianu oraz przydatności wełny różnych odmian owiec. Uczestniczyła też w projektowaniu rozbudowy stajni i planowaniu hodowli ogierów. W stosunkach z Hugh zakazanymi tematami pozostały tylko Hiszpania i Richard, rozsądek nakazał jej jednak chwilowo się z tym pogodzić. I bez tego dość miała potencjalnych źródeł kłopotów.

- Przychodzę zgodnie z twoją prośbą, milordzie.

Markiz debatował w bibliotece z panem Hedgesem. Siedzieli po dwóch stronach wielkiego biurka, mając między sobą sterty papierów.

- Cieszę się, że cię widzę, milady. To znakomity pretekst, żeby odpocząć od tego wszystkiego. - Wskazał rozłożone dokumenty i mapy majątku. - Pan Hedges na pewno powie, że korzystam z każdej

nadarzającej się sposobności, ale jeszcze nie miał okazji poznać mojej żony. Proszę więc pozwolić, że cię przedstawię.

Hedges, adwokat z Yorku, starszy pan z rzednącymi włosami i pomarszczoną twarzą, wstał, skłonił przed nią głowę i złożył gratulacje z okazji niedawnego ślubu. Dodał też z uśmiechem, że odpoczynek od dyskusji o granicach majątku markiza istotnie może się przydać, zwłaszcza że powód wydaje się nader urodziwy. Frances roześmiała się wdzięcznie, a potem zadzwoniła na służbę, zaaferowany Aldeborough zapomniał bowiem polecić, by podano napoje i przekąski.

- Poprosiłem cię do nas, ponieważ pan Hedges ma istotne dla ciebie informacje.

- Czy chodzi o spadek? - spytała Frances, siadając przy biurku.

- Tak, milady - potwierdził pan Hedges.

- A więc udało się panu w końcu uzyskać od mojego stryja szczegóły testamentu.

- Zajęło mi to niemało czasu, ale sprawa została wreszcie zakończona. Oto warunki ostatniej woli pani matki. - Zerknął na markiza, po czym przystąpił do wyjaśnień. - Nie będę kłopotał pani prawniczymi szczegółami, natomiast istota zapisu głosi, że w dwudzieste pierwsze urodziny odziedziczy pani obligacje i akcje, które dadzą trzydzieści tysięcy funtów rocznej dywidendy do wyłącznej dyspozycji milady. Zgodnie z tradycją zapis ten przechodził w linii żeńskiej, by córki w kolejnych pokoleniach

uzyskiwały niezależność. Dlatego pani matka, Cecylia Mortimer, panią, milady, uczyniła swą sukcesorką.

- Aż tyle pieniędzy? - wyszeptała oszołomiona Frances. Stryj twierdził, że suma jest bagatelna i starczy na drobne wydatki.

Nazywał to kieszonkowym... Dlaczego tak mówił?

- Nie mogę oczywiście odpowiedzieć za pani stryja stwierdził Hedges. - Prawda jest jednak taka, że milady dziedziczy prawdziwą fortunę i czuję wielką satysfakcję, że mogę pani przekazać tę wiadomość.

Zerknęła na męża. Milczał podczas przemowy Hedgesa, a po jego twarzy przemknął grymas zafrasowania.

- Niewiele pani mówi, milady - dodał prawnik. - Dla mnie jest to jeszcze bardziej zadziwiające niż wielkość tego kieszonkowego, które staje się pani własnością i może zostać przeznaczone na dowolne cele, zgodnie z pani życzeniem.

- Proszę mi wybaczyć. - Roześmiała się. - Na chwilę straciłam zdolność racjonalnego myślenia. Dziękuję za informację, panie Hedges. Nie zamierzałam zachować się nieuprzejmie.

- Doskonale panią rozumiem, milady - rzekł przyjaźnie.

Hugh zdał sobie sprawę, że jest w tej scenie rola i dla niego, podszedł więc do żony i uniósł jej dłoń do warg.

- Bardzo się cieszę, moja droga.

Dlaczego więc odniosła wrażenie, że jest inaczej? Że istnieje jakiś problem, o którym znowu nic jej nie wiadomo? Zaraz jednak

surowo skarciła się w myśli. Mąż mógł być przecież zaaferowany własnymi sprawami, a nie jej spadkiem.

- Panowie zechcą mi wybaczyć, ale zostawię ich z tymi dokumentami - powiedziała. - Muszę spokojnie wszystko przemyśleć. Pójdę na przechadzkę po ogrodzie.

- Naturalnie.

- Miło mi było pana poznać, Hedges. - Opuściła bibliotekę z nieodpartym wrażeniem, że śni. Trzydzieści tysięcy funtów rocznie! Za jedną dziesiątą tej sumy w dostatku żyły szlacheckie rodziny i opłacały służbę, jedną setną zarabiali najlepsi rzemieślnicy i uważali się za krezusów, a guwernantka, którą kiedyś chciała zostać, dostawała jedną tysięczną tej kwoty plus utrzymanie...

Markiz w zadumie spojrzął na Hedgesa.

- Powiniennem wyrazić panu podziękowanie za przemilczenie klauzuli, którą opatrzone testament. Nie wiem, czy jest to pańskim zdaniem nieetyczne, ale sądzę, że na bliską metę może sprzyjać najlepiej pojętym interesom mojej żony.

- Czy milorda niepokoi to zastrzeżenie?

- Tak. Wolałbym nie rozmawiać o nim z milady, dopóki nie uda się wyjaśnić kilku spraw. Chciałbym więc, aby zostało to między nami.

- Klauzula jest rzeczywiście dosyć niezwykła.

- Czy mogę ją podważyć na drodze sądowej?

- Wątpię, skoro trwa już przez kilka pokoleń. - Niestety, ma pan rację. Poza tym sformułowana jest w sposób całkowicie jednoznaczny.

- Właśnie. Jej następstwa są oczywiste. Jeśli pańska żona umrze przed ukończeniem dwudziestego piątego roku życia albo jeśli do tego czasu nie doczeka się potomka, któremu można przekazać testamentem majątek, wtedy pieniądze wracają pod zarząd jej ojca. Ponieważ zaś jej ojciec nie żyje, beneficjentem będzie rodzina ojca, czyli Hanwellowie. To zaś oznacza wicehrabiego Torrington, stryja i do niedawna opiekuna prawnego pańskiej żony. W myśl klauzuli mógłby on dysponować majątkiem wedle własnego życzenia.

- Dlaczego nie wskazano jej męża? Tak jak jest zazwyczaj?

- Zapewne wynikało to z konkretnych uwarunkowań w rodzinie Mortimerów w XVI wieku. Mieszkali wtedy na pograniczu Walii. To było niespokojne miejsce, gdzie małżeństwa odgrywały dużą rolę jako wsparcie w sporach granicznych z Walijszykami. Zapewne zawierano je najczęściej z pobudek finansowych i wojskowych, a skoro tak, to pechowa oblubienica mogła nagle tajemniczo zniknąć lub zginąć z rąk niechętnego męża, który wszedł w posiadanie wiana. Taka klauzula zabezpieczała jej życie, a przynajmniej szansę na wydanie potomstwa. Sprowadzało się to do bardzo prostego mechanizmu: nie ma żony, nie ma dzieci, nie ma również pieniędzy. W każdym razie, bez względu na pierwotną przyczynę, klauzula dotrwała do dziś. Chodzi w istocie o dużą sumę. Czy mogę zakładać, że milord w stosownym czasie poinformuje żonę o tym zastrzeżeniu?

- Naturalnie.

- Jeśli wolno mi sobie pozwolić na śmiałość, milordzie, powiem, że nie przewiduję problemów. Milady wydaje się w znakomitym zdrowiu, a jestem pewien, że pańskim wielkim pragnieniem jest jak najszybciej splodzić dziedzica tytułu i majątku. W tej zaś sytuacji klauzula straci jakiegokolwiek znaczenie.

- To prawda - przyznał wciąż zafrasowany markiz.

- Milord może być pewien mojej dyskrecji w tych sprawach - zapewnił go Hedges.

- Wiem. - Hugh uśmiechnął się do niego smutno. - Proszę mi wybaczyć, ale ta klauzula daje mi wiele do myślenia. Dziękuję jednak za pańskie wysiłki poczynione na rzecz mojej małżonki. Domyślam się, że kontakty z Torringtonem nie należały do najłatwiejszych.

- Zawsze pozostaję do usług, podobnie jak służyłem pańskiemu ojcu i bratu. Jeśli wolno mi o tym wspomnieć, milordzie, to prawdziwa przyjemność rozmawiać o interesach z człowiekiem, któremu przyszłość majątku tak leży na sercu. Teraz zaś, jeśli to już wszystko, opuszczę milorda.

Po odjeździe prawnika Hugh miał twardy orzech do zgryzienia. Czyje życie jest zagrożone? Jego, jak sądził początkowo, czy raczej Frances? Wskutek wypadku, a właściwie próby morderstwa na Chińskim Mostku, sytuacja stała się naprawdę groźna. Tymczasem jednak postanowił przemilczeć to przed Frances. Dopiero co osiągnięty przez nią spokój ducha wydawał się nazbyt cenny, by ryzykować jego stratę. Musiał jednak za wszelką cenę przez cały czas

jej pilnować. Na pewno nie mógł dopuścić do tego, by samotnie jeździła konno. A po powrocie do Londynu... No cóż, należało dostosować środki do sytuacji.

Frances uznała, że najlepszym miejscem do rozmyślań będzie ogródek zielny. Wiedziała, że nikt jej tu nie przeszkodzi, a w słońcu zapachy różnych roślin wypełniały ogrodzone murem zaciszne miejsce szczególnie intensywnie. Była dziedziczką! W największych marzeniach nie wyobrażała sobie takiej fortuny. Miała za co dziękować matce, której nie знаła, i całym pokoleniom zapobiegliwych pań Mortimer. Jedno było jasne. Wicehrabia Torrington skłamał, twierdząc, że zawsze będzie od niego zależna. Niewątpliwie to właśnie spadek był przyczyną, dla której stryj tak uporczywie dążył do jej małżeństwa z Charlesem. I dlatego jej związek z Hugh wywołał w Torrington Hall panikę.

Miała wobec męża olbrzymi dług wdzięczności. Uświadomiwszy to sobie, poczuła jednak lęk. Aż przysiadła na kamieniu pod wrażeniem tego, co nagle przyszło jej do głowy. Czyżby w napaści zbójców chodziło o zabicie markiza i uczynienie z niej wdowy? To prawda, jest już pełnoletnia, ale w tej sytuacji rozpoczęłaby się cała kampania, by wróciła pod opiekę rodziny. Czy przed sądem Torringtonom udałoby się to załatwić? Być może... I znów stałaby się od nich zależna. Pod kontrolą znalazłby się również jej majątek. A po zakończeniu żałoby starano by się ją zmusić do drugiego małżeństwa, tym razem z Charlesem. Zerwała się na równe nogi. Musiała natychmiast ostrzec Hugh!

Nagle usłyszała kroki wśród wawrzynów. Ucieszyła się, że to mąż jej szuka. Lecz to nie był on, bo ukazał się Charles, sprężystym krokiem zmierzający od stajni ku domowi. Dostrzegł ją natychmiast i uniósł dłoń na powitanie.

- Witam, kuzynie. Nie spodziewałam się tak szybko zobaczyć tu ciebie ponownie. Jak widzę, przedpołudniowe wizyty wchodzą w krew. Nie sądzę jednak, by w obecnej sytuacji milord popierał nawiązywanie zbyt bliskich kontaktów. - Udało jej się zapanować nad złością i rozżaleniem i zachować chłodną, a tak naprawdę odpychającą uprzejmość.

Niezrażony Charles uroczo się uśmiechał.

- Aldeborough nie wie, że tu jestem. Zresztą przybyłem do ciebie. Sądzę, że nie wywołuje to w tobie sprzeciwu. Pięknie wyglądasz. - Skłonił się nad jej dłonią.

- Po co przyjechałeś, Charles?

- Naturalnie zapytać o twoje samopoczucie. - Po twarzy przemknął mu cień. - Słyszeliśmy o wypadku na moście. Widzę jednak, że wszystko już w porządku, więc martwiłem się niepotrzebnie. - Urwał, co dało Frances okazję, by cofnąć rękę. - Jeśli wolno mi powiedzieć... Ten wypadek mógł się skończyć znacznie gorzej, z czego na pewno zdajesz sobie sprawę. Dziwię się, że Aldeborough nie uprzedził cię o skutkach burzy. Nie wiedział?

- Wiedział. Co imputujesz, Charles? - Jej ton był lodowaty.

- Nic takiego, droga Frances. Jesteś bardzo ufna.

- Dlaczego miałabym nie być?

- No właśnie, dlaczego? Naturalnie stosunki z mężem są twoją prywatną sprawą, osobiście radziłbym jednak uważać. Jesteś przecież dziedziczką niemałego majątku.

- Jak widzę, wiesz o tym doskonale i z pewnością zawsze tak było. Dziwi mnie, że słyszę jako ostatnia o trzydziestu tysiącach rocznie zapisanych na mojej nazwisko. Jak sądzisz, Charles, dlaczego tak się stało?

Wyraźnie zaczął mieć się na baczności, ale wciąż pięknie się uśmiechał i odpowiedział bez zająknięcia:

- Bardzo się cieszę, Frances. Chciałem ci serdecznie pogratulować.

- Dlaczego stryj mnie okłamał? - nie ustępowała. - Dlaczego twierdził, że otrzymam niewielką rentę, która nie zapewni mi samodzielnego utrzymania ani nie pozwoli na zawarcie korzystnego małżeństwa?

- Nic nie wiem o twoich rozmowach z ojcem dotyczących pieniędzy. Zresztą może źle go zrozumiałaś. Dlaczego miałabyś martwić się o kwestie finansowe? Jako twój opiekun prawny mój ojciec uważał zapewne za swój obowiązek uwolnić cię od takiego obciążenia. Nie można go za to winić.

- Nie odnoszono się do mnie jak do dziedziczki. - W miarę jak wracały do niej różne wspomnienia, ogarniała ją coraz większa złość.

- Nie zostałam przedstawiona w towarzystwie, nie miałam sezonu w Londynie, nie pozwolono mi zająć miejsca, jakie mi się należało. Byłam traktowana jak uboga krewna, a tak naprawdę jak

podkuchenna. Nikogo nie interesowały moje pragnienia ani tym bardziej moje szczęście. A co do...

Przycisnęła dłoń do ust. Dość już powiedziała.

- Frances, jest mi bardzo przykro, że odbierasz to w ten sposób.

- Ciekawe, czy ten spadek ma coś wspólnego z propozycją bym wyszła za ciebie?

- Mój Boże, jak możesz tak nisko się oceniać? Zawsze cię podziwiałem.

- Trudno mi w to uwierzyć. Łatwiej mi sobie wyobrazić, że dzięki naszemu małżeństwu mój spadek dziwnym sposobem przeszedłby pod twój zarząd. Trudności finansowe stryja są powszechnie znane.

- Czy uwierzysz mi, jeśli powiem, że cię kocham? Wypiękniałaś, nabrałaś elegancji. Jak mógłbym nie darzyć cię uczuciem?

- Bzdura!

- Ale tak jest. I zawsze było.

- Dlaczego więc nigdy wcześniej o tym nie wspomniałeś?

Dlaczego nigdy nie okazałeś mi cienia uczucia? Dlaczego nigdy nie wyrwałeś ojcu pejcza z ręki? Jak śmiesz w ogóle mówić o miłości!

- Sądziłem, że wiesz o moich uczuciach. Od początku było uzgodnione, że kiedy osiągniesz pełnoletność, weźmiemy ślub. Moja wina polega jedynie na tym, że nie wyraziłem jasno swoich pragnień. Mogę tylko prosić o wybaczenie. - Brzmiało to zupełnie naturalnie, a jednak Frances wiedziała, że słowa Charlesa są puste i nieszczerze.

- To już nie ma znaczenia.

- Pojedź ze mną. - Próbował ująć ją za rękę, ale odsunęła się od niego. - Zawsze będę cię kochał.

- To jakieś kompletne androny! Jestem mężatką. Co właściwie sugerujesz?!

- Czy masz nadzieję znaleźć miłość z tym człowiekiem? -

Charles dostrzegł swoją szansę w sianiu niepokoju. - Aldeborough nie darzy cię uczuciem. Nigdy nie chciał tego małżeństwa. Poślubił cię tylko dlatego, by zapobiec skandalowi, bał się bowiem plotki, że cię uwiódł. Zrobił to dla siebie, nie dla ciebie. Wiadomo, że utrzymuje kochankę w Londynie, a gdyby wszystko potoczyło się naturalną kolejną rzeczą, poślubiłby Penelope Vowchurch. Zawsze zamierzał to zrobić. Nigdy nie otoczy cię miłością i podziwem, które to uczucia ja dla ciebie żywię. Odejdź ze mną. - W jego głosie pojawiła się desperacja. - Aldeborough łatwo zgodzi się na rozwód. Wystarczy, że zagrozi mu skandalem i zbrukaniem rodzowego nazwiska. A ja cię poślubię.

- Dziękuję, drogi Charlesie - stwierdziła jadownicie. - Okażesz się tak łaskawy, że uratujesz mnie przed skandalem, który sama wywołam. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak bardzo jestem ci wdzięczna. W dodatku Aldeborough ma jeszcze pomóc w tym wszystkim, rozwodząc się ze mną. Widzę, że starannie to zaplanowałeś. I naturalnie w końcu osiągniesz bogactwo, o jakim nigdy nie śniłeś.

Uśmiech znikł z jego twarzy.

- Mój ojciec postąpił niewyobrażalnie głupio, pozwalając ci wymknąć się spod jego opieki. To zrujnowało rodzinę. - Coraz trudniej było mu zachować panowanie nad sobą. Zaczął nerwowo się przechadzać między grządkami szaławii i rozmarynu. Jednak gdy po chwili wrócił do Frances, był już spokojny. - Możesz to jednak zmienić. Przynajmniej tyle jesteś nam winna.

- Niczego nie jestem winna. Powinieneś już iść. Nie masz tu czego szukać.

Odwróciła się, by odejść. Nie chciała słuchać dłużej tych pustych zapewnień o miłości, a tak naprawdę żałośnie podstępnych knowań wynikłych z chciwości. Charles chwycił ją jednak za rękę tak silnie, że aż krzyknęła z bólu.

- Rozumiem. Powiniennem był to wiedzieć od razu. Magia pozycji i majątku jeszcze większego niż twój działa jak opium. Nie sądziłem, że taka jesteś, Frances. Jak widzę, za nic nie zrezygnujesz z tytułu. Cóż przy nim znaczy dar szczerzej miłości.

- Och, Charles! - Jej wzrok sypał gromy. - Dość tego! Mówisz o miłości? Nie kpij z tego słowa. Gdybyś mnie kochał, zrobiłbyś wszystko, żeby stryj odnosił się do mnie z szacunkiem i otaczał mnie troską, a nie poniżał i znęcał się nade mną, czego doskonale byłeś świadom! - Złość ponosiła ją coraz bardziej. - I ostrzegam cię. Dużo myślałam o zbójcach, którzy na nas napadli. Wiedziałeś o nich, Charles. Zdradziłeś to nieopatrzonym słowem. A sprawa trzymana była w wielkiej dyskrecji! To byli wynajęci mordercy, a nie przypadkowi rabusie. Ciekawe, że jesteś tak dobrze poinformowany.

- Co insynuujesz? Czyich kłamstw się nasłuchałaś? Czy to Aldeborough nastawia cię przeciwko mnie?

- To są kłamstwa, Charles? Kto zyskałby najwięcej na tym, gdybym owdowiała?

W jego oczach pojawił się lęk jak u zdemaskowanego przestępcy, co wcale jej nie zdziwiło.

- Nie masz żadnego dowodu! - rzucił ze złością.

- Nie. Ale jeśli Aldeborough stanie się jakaś krzywda, rozgłoszę, że ty albo stryj maczaliście w tym palce. Zapewnisz mnie, że jest inaczej?

- Naturalnie. To zwykły wymysł, Frances.

- Podobnie jak głęboka miłość do mnie, która zawładnęła twym sercem... - Uśmiechnęła się drwiąco. - Jedź stąd natychmiast. Nie jesteś mile widziany w Aldeborough Priory. I puść mnie! - Oczy pałały jej gniewem.

- Dobrze. - Cofnął rękę. - Skoro tak okrutnie odrzucasz moje uczucia, życzę ci szczęścia. Mam nadzieję, że bogactwo da ci zadowolenie. Zanim jednak odejdę, chcę spełnić obowiązek, który mnie tu przywiódł. Wbrew twoim oskarżeniom zachowałbym się niestosownie, a nawet małostkowo, gdybym nie wywiązał się z powinności wobec rodziny. - Wsunął rękę do kieszeni i wyjął niewielki przedmiot. - To należało do twojej matki i zgodnie z prawem powinno trafić teraz do ciebie. Przypnę, jeśli pozwolisz. - Podszedł i beznamiętnie umieścił na staniku jej sukni skromną okrągłą broszkę zdobioną perłami i ametystami. - Gotowe. - Cofnął się o krok.

- Pasuje ci. Szkoda, że nie mogłem wręczyć tej broszki w bardziej sprzyjających okolicznościach. - Obrócił się na pięcie i opuścił ogród

Miotana chaosem uczuć, Frances ukryła twarz w dłoniach. Gdyby widziała teraz Charlesa, zdziwiłaby się wielkiej satysfakcji malującej się na jego obliczu.

Szybko wróciła do domu. Była oburzona na Charlesa. Nie wierzyła w ani jedno słowo jego miłosnych zapewnień. Ale wbrew sobie musiała przyznać, że kuzynowi udało się też zasiać ziarno niepokoju. Sama wiedziała, że Aldeborough jej nie kocha. I z takim trudem osiągnięty przez nią spokój ducha został zachwiany.

Z drugiej strony Charles próbował nią manipulować. Była zła, że do pewnego stopnia mu się to udaje, uznała więc, że najlepiej będzie znaleźć się w towarzystwie kogoś rozsądnego, kto mógłby tchnąć w nią spokój. Wybór padł na ciotkę May. Postanowiła jej poszukać w pokoju dziennym, ale usłyszała głosy dobiegające z biblioteki. Należały do ciotki May i jej męża. Ruszyła więc w tamtą stronę, tknięta jednak nagłym impulsem przystanęła obok uchylonych drzwi.

- A więc jest dziedziczką? - powiedziała ciotka May.

- Właśnie. W ten sposób wyjaśniło się kilka kwestii, których nie mogłem pojąć. - Aldeborough zaszeleścił papierami. Najwidoczniej sprzątał dokumenty po wizycie Hedgesa.

- Niektóre klauzule wydają mi się interesujące - ciągnęła ciotka May. - Powiedziałabym, że mogą narobić kłopotów, chociaż rozumiem, jaki był ich pierwotny cel.

- Ja też obawiam się, że tak właśnie może być. Opłaci mi się

chyba zachować więcej ostrożności niż zwykle. Dostrzegam niebezpieczeństwo i bardzo mnie to niepokoi.

- Źle postąpiłeś, Hugh. Nie powinieneś być pomagać jej w ucieczce, a potem poślubić ją bez zgody, a nawet wiedzy Torringtona.

- Wiem. Nie musisz mi tego przypominać, ciociu May. - Frances usłyszała w jego głosie nutę rezygnacji. - To było haniebne i powinno się mnie za to wychłostać. Stało się jednak i muszę teraz ponieść konsekwencje.

Nie chciała słuchać tego dłużej. Otworzyła szerzej drzwi i weszła do środka.

Lady Cotherstone siedziała przy kominku z Wellingtonem u stóp i kieliszkiem bordo w dłoni. Jej poznaczona zmarszczkami twarz rozjaśniła się.

- Frances! Chodź tutaj, niechże cię ucałuję. O ile wiem, usłyszałaś bardzo pomysłne nowiny.

- Tak, wciąż jeszcze trudno mi w to uwierzyć. - Posłusznie, choć z dużym roztargnieniem podeszła do starej damy i pozwoliła się poklepać po dłoni i ucałować w policzek.

- Jesteś więc dziedziczką. A ty, mój drogi chłopcze - ciągnęła ciotka May - mógłbyś zostać oskarżony, że jesteś łowcą posagów. Naturalnie gdybyś potrzebował pieniędzy, co chyba ci nie grozi.

- Będę ich potrzebował tylko wtedy, jeśli nadal zostanę zmuszony utrzymywać cię, ciociu May. Popatrz tylko na uszczerbki, jakie powstały w moich zapasach bordo, że nie wspomnę już nawet o porto

z zapasów ojca. - Beztrosko uśmiechnięty, zwrócił się do Frances: - Mam nadzieję, że nowiny cię ucieszyły.

Spojrzała na niego chłodno. Czy powinna mu zdradzić swoje niepokoje? Nie mogła pominąć ich milczeniem, ale trudno jej było znaleźć stosowne słowa.

- Niechcący podsłuchałam waszą rozmowę - wyjaśniła sztywno.

- Przykro mi, że nasze małżeństwo spowodowało zagrożenie twojego życia.

- Mojego życia? Co cię skłoniło do takiego wniosku?

- Mówiłeś o zachowywaniu ostrożności i o niebezpieczeństwie.

Mój stryj niewątpliwie obciąża cię odpowiedzialnością za pozbawienie go szansy na uzyskanie dużego majątku. To tłumaczy napad zbójców, prawda?

- Jest taka możliwość - przyznał ostrożnie - ale nie ma na nią dowodu. Z pewnością jednak nie ponosisz żadnej winy.

- Gdybyś mnie nie poślubił, nie znalazłbyś się w niebezpieczeństwie. A przecież oboje wiemy, że nigdy nie było takiej potrzeby, byś obciążał się moją osobą. - Z trudem panowała nad sobą. - Miałam przecież pieniądze, dzięki którym zyskałabym niezależność i mogłabym założyć własny dom.

- Rozumiem. - W jego oczach zagościł chłód. - To wyjątkowo dla ciebie niefortunne, że nie dowiedziałaś się o spadku wcześniej.

- Niefortunne również dla ciebie. Mógłbyś wtedy poślubić kobietę przez siebie wybraną i zaakceptowaną przez rodzinę.

„Źle postąpiłeś, Hugh... Wiem". Słowa, potwierdzające najgorsze przeczucia, znów zadźwięczały jej w uszach.

Dostrzegł rozpacz w jej oczach. Przecież wymusił na niej to małżeństwo. Wiedział też, że to jej, a nie jego życie znalazło się przez to w niebezpieczeństwie. I nie miał sposobu, żeby ją ostrzec, bo przecież nie mógł jej powiedzieć o znalezionej kuli ani o klauzuli w testamencie.

Tymczasem Frances pozwoliła się owładnąć jadowitym słowom Charlesa. Była w nich prawda. Aldeborough kochał Letitię Winters, a gdyby miał wybór, bez wątpienia poślubiłby Penelope. Jego serce i pieśczoty przeznaczone były dla kogo innego. Nie powinna więc zdradzać się niepotrzebną miłością. Dość zła narobiła.

Lady Cotherstone patrzyła to na jedno, to na drugie, wreszcie rzekła:

- Nedorzeczność! Ja cię akceptuję, moja droga, a tak naprawdę z całej rodziny tylko moja opinia się liczy. Moim zdaniem Aldeborough nie mógł dokonać trafniejszego wyboru. Wydajesz mi się idealną żoną.

- Moja ciotka jest bardzo spostrzegawcza - przyznał. - Mam nadzieję, że potrafisz pogodzić się z powstałą sytuacją.

- I ty też, milordzie - odparła ponurym, pozbawionym nadziei głosem.

Hugh nagle znieruchomiał, patrząc na nią dziwnie.

- Coś się stało, milordzie? - spytała wyzywająco. Obszedł biurko, zbliżył się do niej i dotknął ozdoby przypiętej do jej sukni.

- Piękna broszka - powiedział. - Czy już ją widziałem?
- Nie, milordzie. O ile mi wiadomo, należała do mojej matki.
- A jak weszłaś w jej posiadanie?
- Dał mi ją kuzyn Charles.
- Kiedy to szczęśliwe wydarzenie nastąpiło?
- Około godziny temu w ogródku zielnym. - Spojrzała mu prosto w oczy. Nie zamierzała udzielać dalszych wyjaśnień.
- Czy miałyby to jakieś znaczenie, gdybym wyraził swój niechętny stosunek do przyjmowania przez moją żonę biżuterii od innych mężczyzn?
- Nie, milordzie. Ta broszka należała do mojej matki i stanowi moją własność. Nie mam po matce niczego innego. Czy milord chciałby, abym odmówiła przyjęcia tej pamiątki?
- Ciotka May westchnęła i znów postanowiła się wtrącić:
- Doszłam do wniosku, że chciałabym spędzić część sezonu w Londynie. Jeśli zakończyłeś swoje sprawy w majątku, Hugh, to wrócę razem z tobą. - Zabrzmiało to jak rozkaz. - Nie zaszkodzi mi przez kilka tygodni poużywać życia i spotkać się z przyjaciółkami. Wellington też będzie zadowolony ze zmiany. Kiedy wyruszamy?
- Milady? - Aldeborough spojrzał pytająco na Frances.
- Kiedy tylko milord sobie życzy - odparła ceremonialnie.
- Wobec tego jak najprędzej. Wszystkie pilne sprawy pozałatwiałem.

- Pójdę porozmawiać z panią Scott i zapowiem jej nasz niezwłoczny wyjazd. - Frances opuściła pokój, nawet nie obejrzawszy się za siebie.

- Uważaj na nią, Hugh. - Ciotka May wstała z krzesła i zaczęła otrzepywać brokatowe spódnice.

- Mam taki zamiar.

- Ona cię kocha, wiesz o tym, prawda?

- Nie sądzę, żeby tak było. - Zapatrzył się w okno. - Frances ma za sobą straszne doświadczenia z Torrington Hall. Największą zaletą naszego małżeństwa jest dla niej to, że przestała się bać. Sama mi o tym mówiła. Czuje się bezpieczna i to wszystko, a ja nie chciałbym zburzyć jej spokoju... choć przez brak rozwagi i tak już go naruszyłem.

- Jestem gotowa postawić moje perły, że ta dziewczyna cię kocha. Tylko daj jej możliwość okazania uczuć. Chyba że nie życzysz ich sobie. Stosunki między ludźmi są o wiele prostsze, jeśli nie obciąża ich miłość, i na pewno zdajesz sobie z tego sprawę. Mimo to proszę cię, nie powtarzaj błędu swoich rodziców, którzy izolowali się od siebie i dokończyli żywota zgorzknieni.

- A Charles? - spytał, szukając pomocy przeciwko dręczącej go zazdrości. - Ona może mieć dla niego więcej uczuć niż dla mnie.

- Skądże znowu! Charles nic jej nie obchodzi. Twoja pozycja nie jest jednak mocna, jeśli zabraniasz Frances noszenia broszki po matce, w sytuacji gdy Letitię Winters widziano niedawno w pięknym szmaragdowym naszyjniku.

- Tego już zbyt wiele! - Skrzywił się, nie zdołał jednak ukryć konfuzji. - Wolałbym, żebyś nie znajdowała tyle przyjemności w mąceniu stojącej wody, ciotko. Jesteś wścibską starą kobietą, ale muszę przyznać, że taka jak ty trafia się jedna na milion. - Ucałował ją w policzek. - Zaszły zdarzenia, o których nie wiesz. Byłbym wdzięczny, gdybyś przynajmniej na jakiś czas zaprzestała dochodzenia prawdy.

- Masz na myśli wypadek na moście? Nie rób takiej zdziwionej miny, Hugh. Nie muszę pytać, by dociec prawdy. Po pierwsze nie urodziłam się wczoraj, no i mam uszy. A ludzie gadają, nie zabronisz im tego. Nie tylko ja widziałam, jaka z Frances wspaniała amazonka, i nie tylko ja nie wierzę, że tak po prostu wpadła do wody. Ten most wcale nie załamał się pod kłaczą, prawda? Powiem ci tylko, że musisz na nią bardzo uważać. I na siebie też. - Ruszyła do drzwi. - Kiedy mam być gotowa do wyjazdu. Muszę zarządzić pakowanie, a bagażu mam dużo. - Przystanęła w progu. - Aha, jeszcze coś...

- Tak, ciotciu?

- Hugh, składałeś kiedyś rymy? W samotne wieczory nawiedza cię duch poezji?

- Poezji?! Na pewno dobrze się czujesz, ciotciu? Ja i poezja?

- Szkoda! - Wyszła, zostawiając wnuka z otwartymi ustami.

Rozdział jedenasty

- Nie rozumiem, jak można z własnej woli przez cały wieczór nudzić się jak mops w salach Almacka. Krew mnie zalewa, kiedy pomyślę, że muszę być uprzejma dla protektorek. Rzeczywiście, ważne mi damy! Mam nadzieję, że nie powierzysz mi roli przyzwoitki. - Według ciotki May wśród londyńskich atrakcji nie powinno być miejsca na, jak sama to ujęła, ogłupiająco sztywne i pretensjonalne salony, gdzie liczy się tylko pozycja i konwenanse, a pić można jedynie letnią lemoniadę albo herbatę.

- Dostaliśmy karty wstępu - ponownie tłumaczyła Frances. - A ponieważ ciocia doskonale wie, że dopiero wchodzę w londyńskie towarzystwo, ważne jest, abym pokazywała się u Almacka! Niech ciocia nie utrudnia.

- Powiem tylko... hm...

- Poza tym Juliet i ja nie potrzebujemy przyzwoitki - dodała podstępnie. - Aldeborough będzie nam towarzyszyć, więc ciocia może zostać w domu i pogawędzić z markizą wdową...

Podróż powrotna do Londynu dłużyła się niemiłosiernie, a lady Cotherstone nieustannie narzekała na stan dróg, zajazdów, łóżek i wszystkiego, co akurat jej wadziło, za jedyną słuchaczkę mając Frances. Hugh sprytnie uniknął zrzędzenia starej damy, podróżował bowiem z Matthew konno.

Na Cavendish Square radośnie powitała ich Juliet, zachwycona powrotem Frances. Markiza wdowa prychnęła pod nosem i wyraziła

nadzieję, że lady Cotherstone miała przyjemną podróż, zaraz jednak zauważyła, że dla osoby w tym wieku życie w Londynie jest stanowczo zbyt męczące. Nie to co sielska i anielska wieś, gdzie leciwa matrona powinna wrócić jak najprędzej, mając swe zdrowie na uwadze. Ciotka May z błyskiem w oku oświadczyła, że do starości jej daleko, a odnowienie dawnych przyjaźni sprawi jej wielką przyjemność. W kwestii Wellingtona lady Aldeborough wyraziła przekonanie, że można „to zwierzę” zakwaterować w stajni, ale ciotka May udała, że niedosłyszy, tak więc skundlony pies gończy płatał się wszystkim pod nogami. Zapowiadało się, że konfliktów w najbliższym czasie nie zabraknie.

Stosunki Frances z mężem układały się chłodno. Wspaniałym dniom, gdy zaczęli odkrywać radość ze swego towarzystwa, położyły kres słowa markiza, które Frances trudno było usunąć z pamięci. Zachowywali więc dystans i starali się nie wchodzić sobie w drogę, aby jeszcze bardziej nie zaszkodzić małżeństwu. Frances często wkładała broszkę matki, on zaś udawał, że tego nie widzi. Charles byłby zachwycony, że udało mu się wsadzić kij w mrowisko.

Sale Almacka dobrze odpowiadały opisowi ciotki May, znacznie jednak ułatwiły nowej markizie wejście do eleganckiego świata. Wkładając zonkilową suknię, którą miała na sobie w dniu ślubu, uśmiechnęła się do wspomnień. Nieważne, co zaszło potem. Tego wieczoru chciała jedynie wyrzeć odpowiednie wrażenie na surowych protektorkach.

Hugh ubrał się w czarny frak i atłasowe spodnie do kolan, zgodnie z regułami Beau Brummela, i towarzyszył żonie i siostrze, rezygnując z miłych chwil spędzonych z przyjaciółmi. Tak naprawdę nie chciał spuszczać Frances z oka, bo choć sądził, że w Londynie jest bezpieczna, jednak strzeżonego Pan Bóg strzeże. Poza tym liczył, że w salach Almacka uda mu się doprowadzić do końca pewną ważną sprawę.

Frances rzuciła się w towarzyski wir. Hrabina Wigmore zaprosiła ją na podwieczorek w najbliższym tygodniu, lady Vowchurch uśmiechała się do niej protekcyjnie, a Penelope wyraziła radość, że Frances i Aldeborough wyszli bez szwanku z zatrważającej bandyckiej napaści. Spytała też, czy to prawda, że w Priory Frances spadła z konia. Bo to przecież okropne i widać po tym, że życie w mieście jest o wiele bezpieczniejsze, co zresztą jej mama nieustannie powtarza.

Młoda markiza przyjmowała wyrazy zatroskania z elegancją, oddalała wszelkie sugestie, by mogło jej grozić niebezpieczeństwo, a do swoich przeżyć podchodziła z dystansem. Co dziwne, uwierzyła w szczerłość słów Penelope.

Zdumiała się, gdy zobaczyła wśród gości Charlesa. W tym, że bawił w Londynie, nie było oczywiście nic dziwnego, ale nie sądziła, że sale Almacka mogą go pociągać. Przywitał się z nią bez uśmiechu i zamienił kilka zdań, tyle tylko, by nie wywołać komentarzy na temat rodziny. Nie zaprosił jej też do tańca, co przyjęła z prawdziwą ulgą.

Po godzinie zresztą zniknął, pewnie w poszukiwaniu ciekawszych rozrywek.

Aldeborough tańczył z uroczo wyglądającą Penelope i uśmiechał się do niej. Frances odwróciła wzrok i całą uwagę poświęciła konwersacji ze swoim partnerem.

W trakcie wieczoru po bardzo żywym kadrylu z mało doświadczonym tancerzem Juliet musiała naprawić naderwaną falbanę sukni. Frances poszła z nią do jednego z niewielkich przedpokoi, dających odrobinę prywatności. Już miały wrócić na salę, bo zaczynał się kontredans, gdy Frances usłyszała znajomy głos. Z wrażenia znieruchomiała.

- Jak mogę pani podziękować, Letitio? Doprawdy, nadużywam pani uprzejmości. Nie zdziwiłbym się odmowie i w tych okolicznościach nie śmiałbym pani winić.

- Na pewno wymyślę jakąś formę rewanzu. - Dama roześmiała się uwodzicielsko. - Podobne prośby słyszy się przecież nieczęsto.

Frances zacisnęła dłoń na rączce wachlarza z taką siłą, że omal nie spłaszczyła rzeźbionego ornamentu. Postąpiła kilka kroków i ujrzała Letitię Winters, która siedziała na obitej brokatem sofie, a obok markiza całującego ją w rękę. Juliet stanęła obok i trwały tak nieruchomo, gdy tymczasem Aldeborough uniósł głowę, wyjął z kieszeni niewielki pakunek i wsunął go w dłoń Letitii.

- Jestem to pani winien - powiedział cicho dobrze znanym Frances tonem z równie dobrze znanym oszałamiającym uśmiechem na twarzy.

- Zawsze do usług, milordzie. - Letitia schowała zawiniątko do torebki i poufale poklepała markiza wachlarzem po policzku.

Frances wreszcie cofnęła się i ten jej ruch zwrócił uwagę mizdrzącej się pary. Czowała się koszmarnie. Ledwie wrócili do Londynu, a jej mąż natychmiast nawiązał kontakt z tą kobietą. Nic dziwnego, że z taką ochotą wybrał się z nimi do Almacka.

Juliet mocno ujęła ją za ramię i szepnęła uspokajająco:

- Wracamy na salę, Frances. Obiecałyśmy ten taniec, więc partnerzy będą nas szukać. Tak będzie lepiej...

Jednak Frances stała jak zamurowana. I w tym momencie dostrzegł ją Hugh.

Podszedł do niej z wyciągniętą ręką.

- Frances...

Wróciła do tancerzy z dumnym uśmiechem na wargach i krwawiącym sercem.

W nocy przewracała się z boku na bok, jednak rano dzielnie usiadła przed lustrem, które zemściło się przykrym widokiem bladej twarzy z podsiniętymi oczami. Jak Aldeborough śmiał tak jawnie romansować z Letitią Winters na oczach całej śmietanki towarzyskiej! Czym innym jest taniec, czym innym intymna rozmowa w prywatnym pomieszczeniu, połączona z całowaniem w rękę i wręczaniem podarku! Ze złością cisnęła szczotkę i zaczęła chodzić po pokoju.

A jednak musiała przyznać, że go kocha. Musiała jednak również pogodzić się z tym, że bez wzajemności. Owszem, Aldeborough czasem jej pragnął, ale nie kochał. Była głupia ze

swoimi nadziejami. Pozwoliła mu na takie poufałości, że jeszcze teraz czerwieniła się na ich wspomnienie, a on zdradził ją z Letitią Winters! Po policzkach popłynęły jej łzy. Ale niedoczekanie! Pokaże mu, że zupełnie jej nie obchodzi, gdzie bywa i z kim spędza noce.

Spotkawszy się twarzą w twarz z Frances w bibliotece około południa, Hugh miał ochotę głośno jęknąć. Prawie nie spał, popełnił bowiem poważny błąd, przeniósłszy się od Almacka do White'a. W klubie wypił stanowczo za dużo brandy, przepuścił stanowczo zbyt wiele pieniędzy, a do tego teraz pękała mu głowa. Wiedział jednak, że zasłużył na najgorsze. Wina leżała całkowicie po jego stronie. Ale przecież musiał wreszcie porozmawiać z Letitią. Był jej dłużnikiem. Nie mógł przewidzieć, że Frances zastanie ich w kompromitującej sytuacji. A to, że nie był już kochankiem Letitii i po ślubie nie spotkał się z nią ani razu, niczego nie zmieniało.

Już pierwsze zdanie nie pozostawiło mu żadnych złudzeń.

- Dzień dobry, wasza lordowska mość. Ufam, że spał pan dobrze.

Oficjalne powitanie dosłownie go zmroziło. Potwierdziły się też jego najgorsze przeczucia. Frances przygotowała na ten dzień niezwykle staranną fryzurę. Włosy ułożone w ten sposób, że pojedyncze pasemka zakończone pierścionkami opadały jej na ramiona, stanowiły dla mężczyzny wielką pokusę. Poranna suknia z jasnoniebieskiego muślinu została perfekcyjnie dobrana do fiołkowych oczu. Była nisko wycięta i choć długie rękawy wyglądały skromnie, a dekolt zdobiły falbany, to delikatny materiał opinał się na

ciele, podkreślając kobiece kształty. Chociaż jednak Frances wyglądała w tej kreacji subtelnie i wdzięcznie, to w oczach miała wojownicze błyski. A najgorsze, że złe nastroje żony fatalnie odbijały się na jego samopoczuciu. I coraz trudniej było mu o niej nie myśleć.

- Tak, dziękuję - skłamał. - A ty?

- Doskonale. Szukałam gazety. Myślałam, że może leży tutaj.

Milordzie, nie widział pan „Morning Post”?

- Nie.

- Proszę mi wybaczyć, niepotrzebnie ambarasowałam waszą lordowską mość takim drobiazgiem.

Niemal zazgrzytał zębami na tę złośliwą, pogardliwą ceremonialność.

- Wybieram się do Newmarket. Biegnie mój koń, uważany jest za faworyta. Chciałbym, żebyś pojechała ze mną. Colbourne organizuje potem przyjęcie w swoim majątku w Suffolk. Znasz wielu ludzi, którzy tam będą, więc może wyjazd sprawiłby ci przyjemność?

Wreszcie spojrzała mu w oczy. Zobaczył w nich jednak tylko pogardę.

- To może być trudne. - Jeszcze bardziej wysunęła podbródek do przodu, co wyglądało na wyzwanie.

Postanowił nie podejmować rękawicy.

- Nie będzie mnie kilka dni, może nawet do końca tygodnia.

Chciałbym, żebyś ze mną pojechała - powtórzył.

- Naprawdę, milordzie? Rozumiem, że musi pan tak postępować, jak uważa za stosowne. - Na przykład spotykać się z Letitią Winters,

dodała w myślach. - Nie chcę zajmować pańskiego czasu. Oboje mamy swoje życie.

A więc wojna.

- Podejź tu, Frances Rosalind. - Aldeborough jednak przyjął wyzwanie.

Przyciągnął ją do siebie i przez chwilę spoglądali sobie w oczy. Zahipnotyzowana, nie mogłaby odwrócić wzroku, nawet gdyby chciała.

Pocałował ją, najpierw delikatnie, ale wobec jej oporu coraz gwałtowniej. Frances stała sztywno w jego objęciach, zdecydowana nie okazać żadnej reakcji, przeżyła jednak haniebną klęskę, bo po chwili przylgnęła do niego, ogarnięta niepojętą słabością.

Cofnął się, w jego oczach płonął żywy ogień.

- Wypowiedziałas wojnę, Frances Rosalind, więc powinnaś być przygotowana do bitwy.

- Zdawało mi się, że jestem - szepnęła.

- Udowodnij to. - Znów przystąpił do ataku. Tym razem był całkiem pewien, że otrzyma pożądaną odpowiedź, i nie pomylił się. Umysł Frances mógł stawiać opór, ale ciało było zdradliwe.

- Hugh! - szepnęła, odsuwając na milimetry usta. On tymczasem przeniósł pocałunki na jej szyję, ramiona, piersi, rysujące się pięknie pod cienkim muślinem...

Nagle wszystko ustało.

Zdezorientowana, uniosła powieki. Aldeborough puścił ją i cofnął się o krok. Wyraz jego twarzy wydał się co najmniej zagadkowy.

- Pojedź ze mną do Newmarket.

- Nie.

- Wygląda więc na to, Frances Rosalind, że musimy wytrzymać kilka dni bez siebie. Jak słusznie zauważyłaś, każde z nas ma swoje życie. - Skłonił głowę. - Proszę mi wybaczyć, zdaje się, że zniszczyłem ci fryzurę. Na pewno jednak temu zaradzisz. Do zobaczenia, milady.

Wyszedł, Frances stała zaś nieruchomo z dłonią przytkniętą do nabrzmiałych warg. Już nie wstrzymywała łez. Pragnęła Aldeborough. Och, jak bardzo go pragnęła. A on nigdy nie będzie do niej należał.

Na korytarzu Hugh przeklinał swoją głupotę. Sytuacja była zła, a on jeszcze ją pogorszył. Nie mógł zrozumieć, co właściwie usiłował osiągnąć. Co go opętało, żeby igrać z pożądaniem? Przecież tak naprawdę chciał zobaczyć w pięknych oczach żony miłość i zaufanie.

Ogarnęło go poczucie winy. Jak może jechać do Newmarket i zostawić Frances samą w Londynie, skoro wie, że jej życie jest w niebezpieczeństwie? Więc co? Miał cierpieć, odrzucony przez urażoną żonę? Do diabła! Pojedzie do Newmarket. Dla spokoju sumienia wydał jednak instrukcje, by milady pod żadnym pozorem nigdzie nie chodziła sama.

Następnego ranka Frances towarzyszyła ciotce May podczas wizyty w jubilerskim salonie Rundell and Bridge.

- Skoro trzeba oczyścić mój brylantowy naszyjnik i na nowo oprawić niektóre kamienie, to muszę iść tam, gdzie zrobią to najlepiej
- wyjaśniła ciotka May.

- Czy musi to być akurat dzisiaj, ciociu? - Frances wołała by zostać w domu. Z powodu uciążliwego bólu głowy, a i serca również, żaden cel wyjścia nie wydawał jej się dostatecznie ważny. - Kiedy ostatnio nosiłaś ten naszyjnik?

- Och, lata temu. Jeśli jednak mam przez pewien czas mieszkać w Londynie, to trzeba korzystać z okazji. Poza tym żadnej kobiecie nie powinno brakować brylantowego naszyjnika, a mój jest bardzo zapuszczony. - Spojrzała bystro na Frances. - Chodź, świeże powietrze dobrze ci zrobi. Przystaniesz też rozmyślać o Aldeborough i zgadywać, co mu może wpaść do głowy. - Juliet oczywiście zdała ciotce szczegółową relację z tego, co działo się u Almacka, w tym i o zdradzie brata. - Tęsknota za mężem nie jest w modzie, sama wiesz. Mogłabyś popробować dla zabicia czasu flirtu z kimś innym. Mały flirt zawsze dobrze robi na samopoczucie.

Frances zdumiała się, jak łatwo odgadnąć jej myśli.

- Moje samopoczucie jest jak najlepsze. Zapewniam cię też ciociu May, że nie interesuje mnie, co porabia Aldeborough I z pewnością za nim nie tęsknię. Co za niemądry pomysł!

- Cieszę się. Ruszajmy więc.

Ponieważ ranek straszył deszczem, skorzystały z kolaski dzięki czemu w wyprawie uczestniczył również Wellington.

Ciotkę May powitano w zakładzie z honorami należnymi

starej klientce. Pan Bridge wprowadził ją do środka i po wielu ukłonach szczegółowo wypytał o zdrowie. Ku rozbawieniu Frances lady Cotherstone wdziękowała się jak młoda panna, wspominając dni, kiedy zmarły i rzadko opłakiwany mąż kupił jej w tym właśnie miejscu wspaniałe kamienie.

Naszyjnik wzięto do odnowienia, a pan Bridge wyraził nadzieję, że nowa markiza Aldeborough również zostanie jego klientką. Obejrzawszy piękną złotą bransoletkę, Frances zapowiedziała powrót w najbliższym czasie.

Gdy pan Bridge odprowadził je na ulicę, Frances zauważyła ze zdziwieniem kobietę stojącą przy kolasce. Miała brązową pelisę podbitą futrem, która podkreślała złocisty odcień kręconych włosów. Jasny słomkowy kapelusz był wykończony jedwabiem i ozdobiony jedwabnymi kwiatami. Po przyjrzeniu się Frances stwierdziła jednak, że nie jest to osoba pierwszej młodości. W stosownej odległości stała służąca. Nieznajoma wyraźnie czekała na powrót pasażerek kolaski. W końcu Frances ją rozpoznała, a wtedy zatrzymała się niezdecydowana.

Letitia Winters, nie zdając sobie sprawy z efektu, jaki wywarła, podeszła z wdziękiem do Frances.

- Dzień dobry, lady Aldeborough. Nie zostałyśmy sobie przedstawione, ale sądzę, że pani wie, kim jestem. - Głos miała przyjemny, cichy i dźwięczny. Frances mogła sobie wyobrazić, że prośbie wyrażonej w ten sposób Aldeborough nie potrafi odmówić.

- Pani Winters. Naturalnie wiem, wskazano mi panią. - Frances głęboko odetchnęła, by uspokoić się w tej nader kłopotliwej sytuacji. Dobre maniere wzięły u niej górę nad emocjami. Wybrała chłodną uprzejmość. - Chcę pani przedstawić lady Cotherstone, stryjeczną babkę mojego męża. Ciociu May, to jest pani Winters... znajoma mojego męża.

- Wiem, kto to jest. - Ciotka May wyciągnęła na powitanie rękę i uśmiechnęła się miło. - Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać.

- Zależy mi na rozmowie z panią, lady Aldeborough. I z lady Cotherstone naturalnie również, jeśli uzna to pani za właściwe.

Uprzejmość uprzejmością, ale Frances miała trudną do zwalczenia ochotę obrócić się na pięcie, jednak inicjatywę przejęła ciotka May.

- Proponuję, abyśmy wsiadły do kolaski i przestały tarasować chodnik, a przy okazji zwracać na siebie niepotrzebną uwagę. Możemy objechać Hyde Park i pogawędzić sobie w tym czasie.

Wsiadły więc do kolaski, również i Frances, nie chciała bowiem piechotą sama wracać do domu.

Letitia Winters odczuła ulgę. Wcale nie była przekonana do swojego pomysłu, ale epizod w salach Almacka wzbudził w niej nie tylko zainteresowanie, lecz również troskę. Był zresztą z jej punktu widzenia dość zabawny, szczególnie wobec nudy spotkań u Almacka, gdzie obowiązywały sztywne reguły, protektorki nie szczędziły krępujących uwag, a bezalkoholowe, o zgrozo, napoje były podłej jakości. Zauważyła jednak również rozpacz Frances i zrobiło jej się

zał. Westchnęła. Lubiła Aldeborough, prawdę mówiąc nawet bardzo, i żałowała, że ich romans dobiegł końca. Gdyby wszyscy dżentelmeni byli tacy jak on... Miała jednak poczucie, że musi zachować się przyzwoicie wobec jego żony. To było takie urocze maleństwo. Bardzo młode, naturalnie, ale mające swój styl i prezencję, a do tego prostolinijne, co budziło u pani Winters uznanie. Poza tym mogła dopieć markizie wdowie i panie Penelope Vowchurch, co stanowiło niewątpliwą przyjemność.

Skoro zaś zdecydowała się już na tę rozmowę, cieszyła się z obecności lady Cotherstone, która mogła bardzo się przydać, zwłaszcza gdyby młoda małżonka okazała się zbyt pruderyjna, by przyjmować rady od kochanki Aldeborough lub po prostu nie chciała jej słuchać.

Jadąc do parku, wymieniały uwagi o pogodzie i modzie na futra w związku z wyjątkowymi o tej porze roku chłodami. Lady Cotherstone wzięła na siebie ciężar prowadzenia tej konwersacji, rozbawiona powściągliwością obu swych towarzyszek. Gdy jednak znalazły się na pustych jeszcze o tej porze alejkach Hyde Parku, zapadło milczenie. Cóż za absurdalna sytuacja, pomyślała Frances. Co powiedziałby Aldeborough na to, że żona pokazuje się publicznie z jego kochanką? A jak zareagowałaby markiza wdowa?! Z trudem powstrzymywała wybuch histerycznego śmiechu.

- Wiem, o czym pani myśli - przerwała milczenie pani Winters. - Co powiedziałby Aldeborough, gdyby zobaczył nas razem na przejeździe po Hyde Parku?

Zanim Frances obmyśliła stosowną odpowiedź, ciotka May się roześmiała.

- Mogłabym pani zacytować jego przypuszczalne słowa, ale zakłamanym konwenans na to nie zezwala. W każdym razie sytuacja jest pikantna, czyż nie, pani Winters? Nie miałam pojęcia, że czeka mnie tak ciekawe przedpołudnie. - Oparła się wygodnie i położyła ręce na spasionym Wellingtonie, który nie miał nic przeciwko małej porcji pieszczot.

- Chciała pani ze mną porozmawiać - odezwała się Frances. - Nie sądzę, byśmy miały sobie cokolwiek do powiedzenia. Nie wiem, w czym mogłabym pani pomóc.

- To raczej ja mogę służyć pani pomocą, milady. Proszę mi wybaczyć, jeśli moje spostrzeżenia wydadzą się pani zbyt osobiste, ale u Almacka zauważyłam, że wasze stosunki z Aldeborough są pełne dystansu.

- Jest pani w błędzie, a poza tym w jaki sposób to pani dotyczy?

- W żaden, rzecz jasna. Doprawdy, nie śmiałabym czynić jakichś przypuszczeń, rzecz w tym, że sama przyczyniłam się do powstania różnicy zdań. Moja droga... - Pochyliła się i delikatnie ujęła jej dłoń. Frances wzdrygnęła się i chciała cofnąć rękę, ale pani Winters udała, że tego nie zauważa. - Powiem prosto z mostu. Pani męża nie łączy ze mną nic oprócz przyjaźni, przynajmniej odkąd wzięliście ślub.

Frances zakłopotana się bardzo, policzki zaczęły ją palić. Rzuciła zbolale spojrzenie ciotce May, która tylko wzruszyła ramionami.

- Darzę go bardzo ciepłym uczuciem i życzę mu jak najlepiej - ciągnęła pani Winters. - Musi mi jednak pani uwierzyć, że nic dla niego nie znaczę. Zazdroszczę pani.

Frances wreszcie zareagowała spontanicznie:

- Jak mam pani wierzyć? U Almacka mój mąż poszedł z panią w odosobnione miejsce, by odbyć długą i... intymną rozmowę. Wbrew pani zapewnieniu odniosłam wrażenie, że wiele was łączy.

- Nie łączy, droga markizo, nie łączy... Po prostu mieliśmy sprawę do załatwienia, finansową, rzecz jasna. - Pani Winters uśmiechnęła się smutno. - Jak pani sądzi, kto zamówił tę piękną suknię, którą pani nosiła podczas ślubu i wczoraj u Almacka? Aldeborough nie mógł poprosić o to swojej matki, prawda? A ja dopilnowałam zakupu i dostarczenia sukni, a także pewnego gustownego kostiumu do konnej jazdy, którego pierwszy egzemplarz, o ile wiem, uległ zniszczeniu.

Ciotka May stłumiła wybuch śmiechu. Nawet Frances mimo woli się uśmiechnęła.

- Aldeborough powiedział mi, co mam kupić, a ja to dla niego załatwiłam. Dodam, że pięknie pani wyglądała. Jasny atłas doskonale pasuje do pani karnacji. Aldeborough dokładnie mi panią opisał.

- Wobec tego muszę podziękować. Nigdy nie miałam tak pięknego stroju. - Te słowa ledwie przeszły jej przez gardło, nie mogła jednak zaprzeczyć, że ma dług wobec tej kobiety. - To naturalnie dotyczy również całej reszty.

- A ty myślałaś, że bieliznę kupił Aldeborough! - Ciotka May z radości poklepała się po kolanie.

- Ciociu, jesteś niepoprawna!

- Milady, chciałabym pani jeszcze coś powiedzieć. - Pani

Winters spojrzała uważnie na Frances. - Aldeborough nie zasługuje na tak złą reputację. Owszem, sam się o nią postarał, ale zrobił to na złość matce i tym, którzy chcą słuchać jej oszczerstw. Jego braterską miłość mogą kwestionować tylko ludzie zaślepieni i ci, którymi powoduje zła wola. Wie o tym, lecz i tak bardzo go to ubodło, dlatego postanowił się bronić, stając się, na wzór plotek, niefrasobliwym i samolubnym człowiekiem. Znajomość nawiązaliśmy tuż po śmierci sir Richarda, gdy Aldeborough, jako nowy markiz, musiał wykupić się z wojska i już nie wrócił do Wellingtona na Półwysep Iberyjski. Nie czuł się szczęśliwy, to chyba pani rozumie?

Frances skinęła głową. Doskonale wiedziała, ile zła spowodowała śmierć Richarda i mściwa reakcja markizy wdowy.

- On darzy panią większym uczuciem, niż pani się zdaje.

- Nie - odparła z przekonaniem Frances. - Lepiej żyłoby mu się beze mnie.

- Z tym się nie zgodzę.

- Skąd pani może to wiedzieć? - szepnęła Frances.

- Cóż, muszę polegać na pani znajomości sytuacji. Pozwolę sobie jednak na szczerą radę. Proszę trzymać się z daleka od Penelope Vowchurch. Ona kieruje się wyrachowaną ambicją, na którą trzeba

uważać. Poza tym miała zaskakujący romans z pani kuzynem, Charlesem Hanwellem. Tej parce nie należy ufać.

- Charles i Penelope?

Frances zauważyła, że siedząca obok niej ciotka May kiwa głową.

- Nie patrz tak na mnie, moja droga. Wiem, że to twój kuzyn, ale sądzę, że pani Winters się nie myli, a ty w głębi duszy uważasz tak samo.

- Proszę mi wybaczyć. - Frances westchnęła. - Dała mi pani dużo do myślenia. Powinnam być za to wdzięczna.

- To znaczy, że spełniłam swój obowiązek wobec pani i jej męża. Jeśli zatrzymają panie powóz przy bramie, to czeka tam na mnie moja służąca. Miło mi, że mogłam w czymś pomóc, milady.

- Dziękuję, pani Winters.

- Mam na imię Letitia i tak mnie proszę nazywać, chociaż wątpię, czy nasze drogi będą się często krzyżować. Prawdę mówiąc, nawet tego żałuję.

- Ja też. - Wbrew wszystkiemu Frances uświadomiła sobie, że uśmiech, którym obdarzyła panią Winters, jest szczery. - W innych okolicznościach pewnie mogłybyśmy się zaprzyjaźnić.

- Jeszcze jedno, markizo. Proszę skłonić męża, żeby opowiedział pani o Richardzie.

- Próbowałam, ale nie chce.

- Niech się pani nie poddaje. To ważne. - Uniosła rękę na pożegnanie i z gracją opuściła kolaskę.

Przez większą część drogi na Cavendish Square w powozie panowało milczenie.

- Chyba musisz porozmawiać z Hugh - podsumowała wreszcie ciotka May.

- Owszem, to po prostu konieczne. Nie wykazałam się nadmiernym zrozumieniem.

- Nie o tym myślałam. Miałaś swoje powody, a mój wnuk nie jest łatwym człowiekiem. Nie obwiniaj się pochopnie. Oboje musicie zdobyć się na większą szczerłość i mniej się przejmować przeszłością. To nie będzie łatwe.

- Nie, ale muszę przyznać cioci rację - ponuro stwierdziła Frances. - Porozmawiam z nim po jego powrocie z Newmarket. Bez względu na to, kiedy to nastąpi!

Rozdział dwunasty

Trzy kolejne dni na Cavendish Square cechował spokój. Markiz w towarzystwie brata nadal przebywał w Newmarket Ambrose, który dzięki częstym wizytom na Cavendish Square zyskał status domownika, bawił w majątku stryja w Yorkshire, więc Frances i Juliet były zdane na swoje towarzystwo, zresztą ku ich obopólnemu zadowoleniu. Spacerowały po Hyde Parku, na wyścigi robiły zakupy, bo - jak zauważyła Juliet - ze spadku jest wtedy pożytek, jeśli można go poświęcić na przyjemności. Obejrzały też wzlot balonu, uczestniczyły w wieczorku i w kameralnym przyjęciu. Ciotka May brała udział w rozrywkach bardzo wybiórczo, ale chętnie podejmowała się roli przyzwoitki, gdy markiza wdowa usprawiedliwiała się bólem głowy bądź wprost odmawiała. Wciąż odnosiła się do Frances lodowato, ponieważ jednak synowa utrzymywała stosunki towarzyskie z hrabiostwem Wigmore i odziedziczyła ogromny majątek, odpadły preteksty do słów potępienia, a niechętnymi spojrzeniami Frances już się nie przejmowała.

Bardzo jednak tęskniła za mężem. Brakowało jej tego, co odnaleźli w Priory i czym dopiero zaczęli się cieszyć. Nie mogła więc dłużej udawać, że jedynym uczuciem, jakie łączy ją z Hugh, jest wdzięczność. I nieraz roniła w zaciszu sypialni łzy nad tym, że ta miłość nie doczeka się odwzajemnienia.

Czwartego dnia podczas śniadania, gdy przy herbacie zostały jeszcze tylko Juliet i Frances, do pokoju wszedł Watkins.

- List do milady. - Podał jej zapieczętowaną kartkę na srebrnej tacy. - Dostarczył go przed chwilą umyślny.

- Dziękuję, Watkins. - Z zainteresowaniem złamała pieczęć. Listy i zaproszenia wciąż stanowiły dla niej nowość.

- To pewnie kolejne zaproszenie. - Juliet ziewnęła. - Mogłybyśmy spędzać poza domem siedem wieczorów w tygodniu. Może tym razem będzie co innego, prośzone śniadanie albo wieczór poezji.

- Przecież nie lubisz wieczorów poezji. - Frances przyglądała się pojedynczej kartce papieru wyraźnie zaskoczona. - Tylko posłuchaj. - Jej stosunki z Juliet osiągnęły już taką zażyłość, że bez wahania przeczytała na głos co następuje:

Droga bratanico!

Smuci mnie bardzo, że taka przepaść rozdzieliła mnie z córką mojego jedyne go i ukochanego brata. Rozumiem, co czujesz, i mogę jedynie przeprosić za wszelkie nieporozumienia, jakie zdarzyły się w przeszłości. Jako Twój opiekun zawsze jednak miałem na względzie przede wszystkim Twoje dobro i chcę wypełnić swoją rolę do końca.

- Hm! - przerwała jej Juliet z błyskiem w oku. - To, prawdę mówiąc, pozostaje w sprzeczności z tym, co mi opowiadałaś!

Zaaferowana Frances pokręciła głową z niedowierzaniem i czytała dalej:

Wiem, że zostałaś poinformowana o rozmiarach należnego Ci spadku i życzę Ci jak najlepiej na przyszłość, skoro jesteś pełnoletnia. Mam w swoim posiadaniu trochę pamiątek, listów i biżuterii, które należały do Twojej biednej matki, a zostały mi powierzone na przechowanie do czasu, aż osiągniesz odpowiedni wiek. Nie mają one wielkiej wartości pieniężnej, ale jestem pewien, że z powodów sentymentalnych chciałabyś je mieć. Chętnie Ci je teraz przekazę. Będę jutro w Londynie i z przyjemnością wywiążę się ze swego obowiązku najszybciej, jak to możliwe. Nie sądzę, aby było rozsądnie z mojej strony składać Ci wizytę, Aldeborough wyraźnie bowiem dał do zrozumienia, że sobie tego nie życzy. Niech mi więc będzie wolno zaproponować, abyś to Ty odwiedziła Torrington House, co pozwoli załatwić nam sprawę po cichu, bez niepotrzebnego rozgłosu. Jestem pewien, że dostrzegasz potrzebę zachowania dyskrecji.

Do Twojej dyspozycji oddam powóz, który będzie czekał przy wjeździe na Cavendish Square po południu o drugiej. Ufam, że takie rozwiązanie zapewni Ci wygodę.

*Twój wierny sługa
Torrington*

- I co zamierzasz zrobić? Po tym, co mi powiedziałaś, na twoim miejscu nie chciałabym go odwiedzić. Może powinnaś poczekać na powrót Hugh. - Juliet w napięciu czekała na decyzję Frances.

- On pisze, że przechował różne rzeczy po mamie! Ja nie mam nic oprócz tej broszki... - Dotknęła ametystów na swojej piersi. - Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że istnieją jakiegokolwiek pamiątki. I listy! Nie mogę z tego zrezygnować, Juliet, po prostu nie mogę! Muszę przyjąć tę propozycję:

- Mogę pojechać z tobą, rzecz jasna. Czy to się mieści w pojęciu dyskrecji?

- Wątpię, czy stryj byłby takiego zdania, gdyby cię znał. - Frances wybuchnęła śmiechem, ale pomysł jej się spodobał. - Naprawdę pojechałabyś ze mną? Przecież nie napisał, że mam być sama. A ja bardzo bym chciała, żebyś dotzymała mi towarzystwa.

- To będzie pasjonująca przygoda. Ważne tylko, żeby Hugh o niczym się nie dowiedział. Może nawet poznam twojego fascynującego kuzyna Charlesa?

- Wcale nie jest fascynujący i przestrzegam cię przed tą znajomością. Poza tym nie sędzę, żeby jeszcze przebywał w Londynie. U Almacka wspomniał, że zamierza wkrótce wrócić na wieś. - Po chwili namysłu dodała z udaną obojętnością: - Jak myślisz, co zrobiłby twój brat, gdyby dowiedział się o naszych planach?

- Nie mam pojęcia, ale bywa bardzo surowy, gdy uważa, że postąpiłam nieskromnie lub naraziłam się na niebezpieczeństwo. Myślę jednak, że ty nie musisz się tym przejmować, Frances.

- Chciałabym mieć twoją pewność. Pokłóciłam się z nim przed jego wyjazdem do Newmarket.

- Słyszałam. Poszło wam o panią Winters.

- Skąd to wiesz, Juliet?!

- Od ciotki May, rzecz jasna. Ona wie wszystko. Nie martw się jednak. Hugh nigdy nie będzie dla ciebie surowy. Widzę, jak się do ciebie uśmiecha. - Wygłosiwszy tę zagadkową uwagę, pozostawiła Frances w rozterce nad pytaniem, czy rozważna jest wizyta, która mogłaby doprowadzić jej nieobecnego męża do podjęcia skrajnych środków.

Powóz zjawił się o umówionej porze. Gdy Frances i Juliet wsiadły, konie dziarskim kłusem szybko dotarły do Torrington House.

- Kołatka jest zdjęta z drzwi - powiedziała Frances z niemałym rozczarowaniem, gdy omiotła wzrokiem niepozorną, zapuszczoną kamienicę.

Frontowe drzwi otworzyły się i służący w liberii wprowadził młode damy do zaniedbanego, tandetnie urządzonego wnętrza. Po chwili zostawił je w pokoju na pierwszym piętrze.

- Proszę się rozgościć, milady. Jest pani oczekiwana. Zaraz dopilnuję, aby podano herbatę.

Pokój był równie brudny i źle umeblowany, jak całe Torrington House. Frances składała dotąd tylko jedną wizytę w tym domu, w latach dziecińczych, niewiele więc pozostało jej w pamięci. Przesunęła palcem po zakurzonym blacie stolika z orzechowego drewna, gdy tymczasem Juliet poprawiała czepek, usiłując się przejrzeć w zniszczonym lustrze nad kominkiem. Skrzywiła nos z obrzydzeniem.

- Nie sprawia to wrażenia zamieszkanego miejsca, prawda? Nie sposób zgadnąć, kiedy ostatnio palono w tym kominku.

- Na pewno nie w ciągu dwóch, trzech tygodni. Zastanawiam się, dlaczego...

Przerwał jej trzask otwieranych drzwi. Wraz z obiecaną herbatą pojawił się jednak nie wicehrabia Torrington, lecz uśmiechnięty Charles Hanwell, jak zwykle wymuskany i pewny siebie.

- Nie sądziłam, że jeszcze jesteś w Londynie. - Frances pozwoliła mu ująć się za rękę w kuzynowskim pozdrowieniu, a tymczasem lokaj zostawił tacę z przekąską i wyszedł.

- Czyżbym się myliła, że zapowiadałeś rychły wyjazd?

- Owszem, zapowiadałem. - Wciąż się uśmiechał, ale w jego głosie pobrzmiewała szorstkość, a już następne jego słowa kompletnie zaskoczyły Frances. - Nie spodziewałem się, że przyjdiesz w towarzystwie. To przykre, ale nie mogę wyrazić radości z pani wizyty, lady Juliet. - Elegancki ukłon był co najmniej kpiący.

- Dostałam list od stryja - stwierdziła coraz bardziej skonsternowana Frances.

- Nie od stryja, kuzynko. To ja go wysłałem. Ojciec przebywa na wsi.

- Proszę mi wybaczyć, Charles, ale nie całkiem rozumiem. Czy to ty proponujesz mi zwrot pamiątek po matce?

- Nie ma żadnych pamiątek, o ile mi wiadomo. To, droga Frances, była jedynie przynęta, aby cię tu ściągnąć. Wiedziałem, że nie oprzesz się takiej pokusie. Sentymentalizm bywa niebezpieczny.

- Czego ode mnie chcesz?

- Jestem pewien, że masz dość rozsądku, by domyślić się tego bez mojej pomocy.

- Czy słusznie podejrzewam, że chodzi o pieniądze?

- Naturalnie. - Z twarzy Charlesa nie schodził uśmiech, ale widać było, że to tylko maska. - Nie miałem innego wyboru, jak cię tu zaprosić. Pozostałe moje plany spaliły na panewce, więc chwyciłem się ostatniej szansy.

- Plany? Sądziłam, że chcesz mnie poślubić.

- To przebrzmiała historia, droga Frances. Zmieniłem zamiary. Nie oczekiwałem pani obecności, lady Juliet, ale nie oznacza to, że nie mogę zrealizować swojego pomysłu.

- Co chcesz z nami zrobić?

- Zostaniecie tu panie przez pewien czas. Zapewniam, że będzie wam całkiem wygodnie. Muszę tymczasem dopiąć na ostatni guzik pewne sprawy. Naturalnie proszę nie oczekiwać, że ktoś was tutaj znajdzie.

Frances przybrała minę, która w jej intencji miała wyrażać absolutne niedowierzenie i pogardę dla z pewnością haniebnych planów kuzyna.

- Jak możesz spodziewać się, że nikt nie będzie nas szukać? Gdy tylko nie wrócimy do domu...

- Nie żartuj, Frances - przerwał jej Charles. - I nie udawaj przede mną naiwnej. Założę się o każdą sumę, że nikomu nie powiedziałaś, dokąd się wybierasz. Komu zresztą miałabyś powiedzieć? Markizie wdowie? Wątpię. Lady May, jedynej w swoim rodzaju ciotce? Może,

ale przecież nie zrobiłaś tego, prawda? - Zauważył wymowny rumieniec na jej policzkach. - Nie zrobiłaś i już. Któż więc miałby się tu pojawić?

- Nie uwierzę, że zamierza pan trzymać nas tutaj wbrew naszej woli! - Juliet popatrzyła na niego w najwyższym zdumieniu.

- A ja w to nie wątpię - stwierdziła Frances. - On już ma sporo na sumieniu. Prawda, Charles? Na drodze do Yorku? Próboweś zabić Aldeborough, żeby potem mnie poślubić i zagarnąć pieniądze. Czego próbujesz teraz? Szantażu wobec Aldeborough? Mój spadek w zamian za moje życie?

Przez twarz Charlesa przemknął uśmiech.

- Miałem taki pomysł, ale nie musisz zaprzętać sobie tym głowy, droga kuzynko. Ostatnim razem nie powiodło mi się przez czysty przypadek. Nie powtórzę tego błędu. Bardzo mi przykro, że nie przyjęłaś moich oświadczeń, Frances. To oszczędziłoby nam wiele bólu i rozterek.

Otworzył drzwi i wstał, zachwycony niechybnym sukcesem swojego planu, a Frances poczuła, że ma ochotę rozorać mu twarz paznokciami.

- Nie uciekniecie przez okno, wszystkie są dokładnie zamknięte. A gdybyście próbowały wołać, nikt was nie usłyszy. Kiedy trzeba, moja służba potrafi być głucha. Zostawiam więc panie, żeby mogły sobie podumać. Życzę miłego popołudnia.

- Czy on naprawdę zamierza nas tutaj trzymać? - spytała Juliet z zadziwiającym jak na te okoliczności opanowaniem.

- Myślę, że tak. Bo kto mu przeszkodzi?

- Kiedy wraca Aldeborough?

- Nie wiem. Możemy tu tkwić wiele dni. Co za okropna perspektywa. - Frances z ponurą miną rozejrzała się po pokoju. - Jedno jest pewne. Musimy uciec.

- Obawiam się, że Charles miał rację. Okna są wykluczone. - Juliet bez powodzenia próbowała otworzyć jedno z nich. - Co gorsza, tu jest wysoko. Nie chciałabym złamać nogi lub poturbować się w inny sposób.

- Nikt nie wie, gdzie jesteśmy.

- List masz zapewne przy sobie. A może zostawiłaś go w pokoju śniadaniowym? - spytała z nadzieją.

- Niestety, mam go w torebce. - Frances westchnęła. - Znalazłyśmy się w bardzo trudnej sytuacji.

- Potrzebujemy strategii. Co zrobiłby Hugh? - Juliet usiadła ze splecionymi dłońmi.

- Pokonałby grząski grunt, stąpając tak lekko, jak tylko można. To zdaje się typowe zadanie podkomendnych Wellingtona. Nie jestem jednak pewna, czy teraz ma jakieś zastosowanie.

Zapadło milczenie, obie bowiem zadumały się nad swoim rozpaczliwym położeniem.

Juliet, odruchowo skubiąca rękawiczki, nagle z wyraźnym ożywieniem zwróciła głowę ku Frances.

- Pamiętasz powieść, którą czytałyśmy? Mama kręciła na nią nosem, kiedy znalazła ją pod poduchami w pokoju dziennym. Tam był

zamek w Alpach i piękna Marianna, a występny baron Oliver chciał siłą okazać jej swe względy.

- Tak. „Zamek Ravena”. Ale cóż to ma wspólnego z nami? Daj spokój, Juliet, jesteśmy tu uwięzione...

- No właśnie, uwięzione... Przypominasz sobie, w jaki sposób Marianna mu uciekła?

- Udała, że jest chora, i położyła się do łóżka, głośno jęcząc, a potem ukryła się za drzwiami i kiedy występny baron przyszedł sprawdzić, co się stało, uderzyła go świecznikiem w głowę. Baron padł bez zmysłów na podłogę...

- Myślisz, że nam się uda?

Na twarzy Frances powoli zaczął wykwitać uśmiech. Podeszła do stolika, wzięła z niego figurkę z brązu przedstawiającą psa myśliwskiego i zważyła ją w dłoni.

- Nie mam lepszego pomysłu. Którą rolę wybierasz? Cierpiącej damy czy nieustraszonego napastnika?

Juliet zachichotała.

- Cierpiącej damy. To na pewno potrafię. - Nagle spoważniała. - Nie mamy nic do stracenia. Cóż, ten twój kuzyn Charles jednak mi się nie podoba.

- Mnie też nie. Dobrze, ustalmy taktykę!

Scenę przygotowały z wielką inwencją i talentem dramaturgicznym. Rozwiązały sznury krępujące zakurzone draperie, aby stworzyć mroczną atmosferę, zostawiły tylko świecznik, który Frances ustawiła na stoliku koło sofy, gdzie Juliet miała odegrać swą

życiową rolę. Entuzjastycznie nastawiona do swego zadania zdjęła czepek i wyciągnęła szpilki z włosów, by romantycznie rozpuścić je na ramiona.

- Co mam z tym zrobić? - Frances znów podniosła psa z brązu. - Gdybym była ciotką May, ukryłabym tę figurkę w fałdach spódnicy, ale moja suknia nie nadaje się do tego. - Krytycznie spojrzała na leciutki muślin.

- Postaw ją za drzwiami, weźmiesz, kiedy będzie potrzebna - poradziła Juliet. - Tylko uważaj, bo figurka wygląda na ciężką. Nie zabij go, dobrze?

- Postaram się.

- Szkoda, że nie mamy krwi. To byłaby najlepsza sceneria i jakże wstrząsająca. Charles po prostu musiałby przyjść mi z pomocą. - Juliet zatrzymała wzrok na tacy z ciasteczkami i zaczęła z wielką uwagą przyglądać się leżącemu tam nożom.

- Nie mam zamiaru podcinać sobie żył, żeby cię zadowolić - oświadczyła Frances, która szybko przejrzała sprytny plan Juliet. - Tobie zresztą też nie.

- Pomyśl przez chwilę, jakie wrażenie wywarłybyśmy na Charlesie. Gdybym wymazała się krwią, na pewno nie przyszłoby mu do głowy, że to podstęp.

Frances wzięła do ręki nóż.

- Nie jest zbyt ostry.

- Och, nie trzeba nam wielkich ran, wystarczy małe skaleczenie. Nakapiesz na stanik mojej sukni. To nie będzie bolało.

- Czemu sama nie zgłosisz się na ochotnika?
- Bo muszę się skoncentrować przed odegraniem swojej roli.
- A ja mogę osłabnąć, a wtedy nie uderzę go dostatecznie

mocno.

- Och, znajdziesz siły, przecież to twój ukochany kuzyn -
zadrwiła Juliet.

- Tak, to mój kuzyn... - Frances podała jej nóż, a potem wyciągnęła ku niej rękę.

- No, gotowe - powiedziała po chwili Juliet. - Nie było tak strasznie, prawda? Teraz tylko poplamić moją suknię... Świetnie! I tak jej nie lubiłam, jest zbyt nijaka. Dobrze się czujesz, Frances? Dziwnie pobladłaś. Niesamowite, takie małe skaleczenie, a tyle krwi.

Frances starała się nie myśleć o swojej krwi rozmazanej na sukni Juliet. Ulżyło jej, dopiero gdy szwagierka uznała, że niezbędny efekt został osiągnięty, i zawięła jej rękę chustką.

- To zaczynamy, zanim opuści mnie odwaga.

Zgięta wpół Juliet zaczęła charczeć i krzyczeć boleśnie, przyciskając jedną rękę do brzucha, a drugą do gardła. Oczy miała zamknięte, twarz wykrzywioną, a na sukni smugi rozmazanej krwi. Frances załomotała w drzwi.

Otworzyły się dość szybko i pojawił się lokaj. Na widok rozgrywającej się w pokoju sceny zbladł. Jedna z kobiet, w zakrwawionej sukni, rzucając, z trudem chwytiała powietrze, druga była na krawędzi hysterii.

- Co się stało, milady?! Co...? - Zamilkł.

- Moja siostra! - piskliwie krzyknęła Frances. - Ona tak cierpi. Jak mam jej pomóc? - Podbiegła do lokaja i kurczowo chwyciła go za ramię. - Proszę powiedzieć panu Hanwellowi. Potrzebujemy jego pomocy!

- Pan Hanwell właśnie wychodzi. - Lokaj nie mógł oderwać oczu od Juliet, która przedstawiała opłakany widok.

- Sprowadź go natychmiast! - zawołała Frances. - Liczy się każda chwila!

Lokaj wybiegł z pokoju.

Juliet podniosła głowę i znów przesłała uśmiech Frances.

- Dobra robota! - szepnęła.

- Dopiero zaczynamy - syknęła Frances.

Charles wnet pojawił się w drzwiach i jednym spojrzeniem ogarnął całą scenę.

- Co jej się stało? - spytał szorstko, lecz nie bez niepokoju, kierując to pytanie do Frances, która, szlochając głośno, załamała rękę. - Godzinę temu była zdrowa.

Juliet bezwładnie opadła na sofę i odrzuciła głowę do tyłu, ustami chwytając powietrze. Potem znów zgięła się wpół z przeraźliwym rżeniem, które przeszło w kaszel. Drżącą ręką błędziła po omacku, jakby szukała pomocy. Tylko kompletnie bezduszna istota mogła pozostać obojętna wobec takiego cierpienia.

- Jej trzeba pomóc! - krzyknęła Frances. - Zjadła ciastko i nagle zaczęła się dławić. I ta krew! Ona ledwie oddycha. Pomóż jej, proszę!
- Popatrzyła na kuzyna przez łyży. - Nie wiem, co robić.

Charles podszedł do sofy i przykląkł, by lepiej przyjrzeć się cierpiącej Juliet.

Frances chwyciła figurkę psa i po cichu zbliżyła się do kuzyna, który właśnie zaczynał się podnosić. Nie ruszaj się! - błagała w duchu Frances. Juliet chwycił szczególnie gwałtowny paroksyzm kaszlu, który sprawił, że Charles pochylił się ponownie.

- Ona się dusi. Musi po prostu...

Gdy ujął Juliet za rękę, by pomóc jej wstać, Frances z niepojętą furią wymierzyła mu cios w głowę. Charles bezgłośnie osunął się na podłogę.

Juliet usiadła wyprostowana i klasnęła w dłonie.

- Nigdy nie sądziłam, że okruchy ciastka mogą się do czegoś przydać.

- Nie ciesz się za wcześnie! - ostrzegła ją Frances. - Charlesa mamy z głowy, ale musimy się jeszcze wydostać z tego domu.

Rozdział trzynasty

Bracia wrócili z Newmarket późnym popołudniem. Hugh skrócił pobyt i wyjechał zaraz po gonitwie, w której zresztą wygrał jego koń. Nie potrafił jednak cieszyć się tym sukcesem, bardzo bowiem niepokoił się o Frances. Gdyby coś jej się stało, nie wybaczyłby sobie tego nigdy.

- Dobry wieczór, milordzie. Dobrze, że już pan jest. - Watkins, o dziwo, wydawał się zmieszany. - Proszę iść do salonu. To pilne, milordzie.

Hugh zastał tam ciotkę May, pannę Vowchurch i markizę wdowę w różnych stadiach słabości i zaniepokojenia.

- Aldeborough, nareszcie! - rzuciła się na niego ciotka May. - Czy może jakimś dziwnym przypadkiem wróciły z tobą Frances i Juliet?

- Nie, skądże. Właśnie przed chwilą przyjechaliśmy z Newmarket.

- Powinny już być w domu. Zaczynam się martwić. - Nawet markiza wdowa zdawała się wytrącona z równowagi.

- Umówiłam się z nimi na popołudnie - dodała panna Vowchurch - ale nie przyszły.

Aldeborough zdrętwiał.

- Proszę mi powiedzieć, co o nich wiadomo - zwrócił się do lady Cotherstone. - Dlaczego pozwolono im wyjść bez opieki?

- Rano Frances otrzymała list dostarczony przez posłańca w liberii. Watkins nie potrafi jednak dodać żadnego szczegółu. - Ciotka May podała Aldeborough pustą kopertę, na której widniały imię i tytuł Frances. Czarne litery, bardzo zdecydowany charakter, jednak obecnym z niczym się nie skojarzyły. - Frances i Juliet wyszły razem tuż przed drugą. Nie wzięły powozu i nie powiedziały, dokąd się wybierają. Wygląda na to, że chciały to utrzymać w tajemnicy.

- Jest już prawie szósta. - Hugh zerknął na zegarek i stwierdził przy okazji, że drżą mu palce. - Czy miały jakieś zaproszenie na popołudnie? Mam na myśli lot balonem czy coś równie niedorzecznego, co mogłoby je zatrzymać dłużej niż powinno?

- O niczym takim nie wspominały. - Ciotka May pokręciła głową. - Myślałam, że poszły tylko do ogrodu tutaj, na placu.

- Kto mógłby napisać do niej prywatny list? Wicehrabia Torrington? Wigmore? Czy Frances jeszcze kogoś tu zna?

- Może powinien pan wziąć pod uwagę jej kuzyna, pana Hanwella? - Absolutny spokój; panny Vowchurch kłócił się z napiętą atmosferą w pokoju. - Wydawali się bardzo zaprzyjaźnieni. Wiem też, że rozmawiali u Almacka. Może umówili się na spotkanie?

- Czy pani sugeruje schadzkę? - spytała lady Cotherstone.

- Mój Boże, nie! Nie śmiałabym wysunąć tak niestosownej sugestii. Pani zna lady Aldeborough o wiele lepiej ode mnie. Jestem pewna, że wyjaśnienie okaże się całkiem niewinne. Nie sądzę, żeby Frances mogła rozważać ucieczkę, a pani?

- Bezsensowny domysł. Na pewno nie wzięłaby ze sobą Juliet, gdyby miała takie plany - trzeźwo zauważyła ciotka May.

- Chyba nie czyta pani w jej myślach, lady Cotherstone? - Penelope rozejrzała się po słuchaczach. - O ile wiem, Frances odbyła również długą rozmowę z panią Winters. Może to ma coś wspólnego z jej zniknięciem?

- Co takiego? - Markizowi trudno było nadal zachowywać pozory spokoju.

- Widziano je razem na przejażdżce w Hyde Parku, a w każdym razie tak mi mówiono.

- To przypuszczenie jest wyjątkowo nietaktowne, panno Vowchurch. Zapewne nie powiedziano pani, że i ja byłam przy tej rozmowie obecna. I nie znalazłam w niej niczego nagannego. O to nie musisz się martwić, Hugh. - Lady Cotherstone spojrzała wilkiem na pannę Vowchurch, ta jednak zignorowała ten wyraz niechęci, zainteresowana wyłącznie osobą markiza.

- Z pewnością nie. Jestem przekonana, że istnieje jakieś banalne wyjaśnienie ich nieobecności. - Przeniosła wzrok na markizę wdowę.

- Frances nie zrobiłaby niczego, co mogłoby zaszkodzić dobremu imieniu rodziny, prawda, lady Aldeborough?

Ciotka May dogoniła wnuka w sieni, gdy ponownie miał już na sobie płaszcz i właśnie wkładał rękawiczki.

- Nie powinienem był zostawić jej samej. Wiedziałem, że grozi jej niebezpieczeństwo, a jednak je zlekceważyłem. Muszę ją znaleźć.

- Musisz koniecznie. Sprowadź ją całą i zdrową, Hugh. I nie czyń sobie nadmiernych wyrzutów.

- Czy ona mnie zostawiła, ciociu May? Czy Charles Hanwell wciąż zajmuje miejsce w jej sercu? - spytał zboląłym głosem. - Sądziłem, że nie, ale może byłem w błędzie.

- Co ty opowiadasz! Gdzie twój zdrowy rozsądek? Frances nie opuściła cię, to pewne. Nie powinieneś słuchać insynuacji tej ladaczniczki Penelope. Nigdy nie widziałam takiej perfidii. To jest żmija z miną niewiniątka. - Ścisnęła jego ramię.

- Sprowadź je do domu, Hugh.

- Dokąd najpierw? - spytał Matthew, gdy szybkim krokiem zeszli ze schodów.

- Do Wigmore'a. Może po prostu poszły z wizytą do hrabiostwa. Wiem, że utrzymują coraz żywsze kontakty.

Niestety hrabina nie widziała Frances od czasu spotkania w salach Almacka.

- Torrington? - spytał Matthew, gdy stali na schodach domu Wigmore'ów.

- To jedyna możliwość, jaka moim zdaniem pozostała. Nie pojmuję jednak, po co miałyby tam się wybrać.

Na St. James Square dotarli już po zmierzchu. Kamienica Torringtona tonęła w mroku, a na drzwiach brakowało kołatki.

- Wygląda na to, że właściciel wyjechał z Londynu. Trzeba zasięgnąć języka. - Aldeborough wycofał się do wejścia na plac i zaczął jakiegoś urwisa.

- Hej, chłopcze. Działo się to coś ostatnio? Czy dżentelmen, który tam mieszka - wskazał Torrington House - jest w domu? -
Podrzucił na dłoni monetę.

Chłopak zmierzył Aldeborough nieufnym spojrzeniem i otarł rękawem umorusaną twarz.

- Tak, wasza miłość. Cały dzień przychodzą i wychodzą ludzie. Starego nie ma, ale jest młody. - Chciwie wpatrywał się w złoto. Do pierwszej monety dołączyła druga. - Wcześniej widziałem przed drzwiami powóz. Ale nie wiem, czy teraz ktoś tam jest. - Chwyił zręcznie rzucone monety i zniknął.

- Co sądzisz, Hugh? Porwanie? Uwiedzenie? Ale po co? - spytał Matthew, gdy brat podszedł do niego w ustronne miejsce za drzewem.

- Nie teraz. Po prostu mi zaufaj. Musimy dostać się do środka. - Przyjrzał się domowi. - Na górze żaluzje są spuszczone. Spróbujemy od tyłu, przez kuchnię lub piwnicę.

- Cicho... Drzwi się otwierają. To może być Torrington. - Nie zobaczyli jednak światła, bo w sieni było ciemno. - Widzisz coś? - szeptem spytał Matthew.

- Coś się dzieje.

Dwie postaci wyłoniły się z mroku i stanęły na górnym podeście schodków. Poruszały się nerwowo, z wielką ostrożnością, jakby każdy odgłos i każdy cień mogły zwiastować niebezpieczeństwo. Po chwili zbiegły na ulicę i zaczęły oddalać się po chodniku najszybciej, jak pozwalały im na to pantofelki.

- Frances! Juliet! - Hugh i Matthew ruszyli do nich.

- Hugh! Dzięki Bogu! - Frances mocno przytuliła się do męża. Wyczuła bicie jego serca i wtedy zrozumiała, że wreszcie jest bezpieczna.

- Czy coś ci się stało? Gdzie jest Torrington? - Spojrzał na Juliet, niepewny, czy znalazł je całe i zdrowe.

- To nie Torrington. To Charles - poinformowała Juliet, która zdążyła już nieco ochłonać w braterskim uścisku Matthew. - On jest... leży na podłodze w salonie na górze.

- Matthew, zabierz je do domu i niech ciotka May się nimi zajmie. O tym, co się stało, mówcie jak najmniej - polecił szybko. - Nie zatrzymujcie się po drodze bez względu na przyczynę. Dołączę do was, gdy tylko będę mógł.

Cmoknąwszy Frances w skroń i uściskawszy siostrę, szybko znikł w mroku otaczającym kamienicę Torringtonów.

Matthew przekazał zguby pod opiekę ciotki May i udzielił wyjaśnień, które tymczasowo zostały uznane za wystarczające. Właśnie wyruszał z odsieczą na St. James Square, gdy pojawił się Aldeborough. Kręcąc głową, zniechęcił brata do pytań, powiedział tylko, że Hanwell nie był w stanie udzielić żadnych informacji, z pewnością jednak zrobi to w przyszłości. Widząc minę Hugh, Matthew cieszył się, że nie jest w skórze sir Charlesa.

Gdy Hugh poszedł do pokoju żony, siedziała przed kominkiem z filiżanką gorącej czekolady w dłoni. Wydawała się całkiem odprężona. Zajął miejsce obok niej i ucałował ją w rękę. Wprost nie mógł oderwać wzroku od jej twarzy.

- Jak tam, Frances? Opowiesz mi swoje przygody? - Delikatnie ujął ją za rękę.

- Uwięził nas.

- Chodzi o Charlesa, jak wnoszę.

- Nie sądziłabym, że posunie się aż tak daleko. Wiem, że potrzebuje pieniędzy i łączył ze mną nadzieję na ich zdobycie. Żywi też urazę do ciebie, bo mu mnie zabrałeś. Podejrzewałam nawet, że chce nas zabić .. Sama już nie wiem. Tak czy owak, planował szantaż, zażądałby pieniędzy w zamian za uwolnienie Juliet i mnie. Bardzo jestem wdzięczna, że przyszedłeś nam z pomocą i że już po wszystkim.

Uznał, że o motywach Charlesa lepiej dalej nie rozmawiać. Niech Frances sądzi, że chodziło tylko o szantaż. Zapytał więc, w jaki sposób udało im się uciec.

Frances parsknęła śmiechem, a potem zaczęła relacjonować całą historię.

- Juliet zagrała tak znakomicie, że postanowiła zostać aktorką. Zresztą niewiele brakowało, żebym sama uwierzyła w to przedstawienie. Biedny Charles nie miał najmniejszych szans.

- Rzeczywiście, biedaczek. Ciekaw jestem, skąd wziął się u niego ten wielki guz na głowie?

- Uderzyłam go. Figurką psa odlaną z brązu.

- Frances! A gdzież się podziała cicha, potulna żona, którą poślubiłem?

- Czy miałam inne wyjście? Myślałyśmy, że jesteś daleko i nikt nie będzie nas szukał. W „Zamku Ravena”, ulubionej powieści Juliet, Marianne obezwładnia podłego barona uderzeniem świecznika.

Zrobiłyśmy więc podobnie.

- A to co? - Z uwagą przyjrzał się opatrunkowi na jej przedramieniu.

- Och... Uznałyśmy, a raczej był to pomysł Juliet, że jeśli Charles zobaczy krew, to łatwiej uwierzy w nasze przedstawienie. Musiałyśmy ściągnąć go do pokoju, żeby można go było unieszkodliwić.

- Sam nie wiem, co powiedzieć - wyznał głęboko poruszony Hugh. - Po prostu jestem pod wrażeniem. - Pocałował jej nadgarstek poniżej opatrunku.

- Czy jesteś pewien, że on żyje? - Z oczu Frances wycierał strach.

- Absolutnie. Trochę poboli go głowa, no i poważnie ucierpiała jego duma, ale to wszystko. Nie rozumiem jednak, jak mogłyście być tak nierozważne, by wplątać się w taką awanturę. Po tym, co przeżyłaś w Torrington Hall, nie wyobrażam sobie, byś z własnej woli odwiedziła swego stryja.

- Dostałam list. Stryj obiecał mi zwrócić pamiątki po matce. Temu nie umiałam się oprzeć, zwłaszcza że wspomniał również o listach. Ale to był tylko wymyślony przez Charlesa podstęp, żeby ściągnąć mnie do Torrington House. Nie spodziewał się jednak, że

przyjdzie ze mną Juliet. Proszę, nie złość się na mnie. Juliet wspominała, że potrafisz być bardzo surowy.

- Naprawdę? No, ona może coś o tym wiedzieć. O bardziej upartą i samowolną dziewczynę naprawdę trudno... chyba że mowa o mojej żonie. - Objął ją z wielką czułością. - Charles myślał, że zjawily się dwie słabe kobietki, lecz okazały się podstępne jak lisiczki i waleczne niczym lwice. - Nagle przypomniał sobie złośliwą uwagę panny Vowchurch, która niewątpliwie próbowała ich poróżnić. - A skoro mowa o uporze, to czy prawdą jest, że rozmawiałaś z Letitią Winters? - spytał jakby nigdy nic.

- Kto ci o tym powiedział? - Frances natychmiast nabrała czujności.

- Penelope. Wsunęła również sugestię, że mnie zostawiłaś i uciekłaś do Charlesa.

- O? - Zachwyciło ją, że widzi w jego pięknych, szarych oczach wyraźny błysk gniewu. - Wygląda na to, że zadała sobie dużo trudu, by dobrze, acz w niemałej części fałszywie cię poinformować. W każdym razie z panią Winters rzeczywiście rozmawiałam. Czekala na mnie, kiedy wychodziłam z ciotką May od Rundella i Bridge'a.

- Dałbym wiele, żeby wiedzieć, o czym rozmawiałyście - powiedział z pewnym zakłopotaniem

- Nic z tego. To zostanie między nami, i oczywiście ciotką May.

- Boże, na nudę narzekać nie mogę. I objechałyście cały Hyde Park?

- Tak.

- Już słyszę te wszystkie plotki! Czy obruszysz się, jeśli powiem, że nie chciałbym, by twoja znajomość z panią Winters zacieśniła się?

- Nie. Rozumiem, że to mogłoby być kłopotliwe w najwyższym stopniu - przyznała, choć jego uwagi nie uszedł przekorny błysk w oczach Frances. - Letitia ma takie samo zdanie w tej kwestii.

Oczywiście, że byłoby to niestosowne.

- A także nierozsądne.

- A ty na pewno nie chcesz, żebym rozmawiała z tobą o twojej kochance.

- Nie. Poza tym ona nie jest moją kochanką!

- Tak też powiedziała.

- Do diabła, Frances! Nie powinniśmy prowadzić takich rozmów. Chodź do mnie!

Chciał tylko jednego. Zatrzeć jej pamięć o przykrych zdarzeniach. Rozsunął draperie, by do pokoju wlała się księżycowa poświata. Nagie ciało Frances wyglądało cudownie. Obsypał ją delikatnymi pieszczotami, którymi oboje mogli się upajać. Nie zamierzał się spieszyć. Pragnął, by czuła się piękna i kochana.

Dla Frances była to chwila prawdziwego olśnienia. Bez reszty poddała się czułym pieszczotom, odpowiadała na nie. Wreszcie wiedziała, że są naprawdę razem.

Gdy w końcu bezsilna zasnęła obok niego, Hugh jeszcze długo patrzył na nią z niekłamanym zachwytem. Nie mógł zrozumieć, kiedy i w jaki sposób, wbrew swoim planom, po prostu się zakochał.

Pragnął dać jej wszystko, co w jego mocy. Opiekę, bezpieczeństwo,

wygodne życie. Wiedział jednak, że nie powie jej tego nigdy. Bał się, że ciężar jego miłości okazałby się dla niej zbyt przytłaczający. Cokolwiek jednak miało się zdarzyć, jakkolwiek miały się zakończyć jego rachunki z Charlesem, tę noc zapamięta na zawsze.

- Nie mogę po prostu przejść do porządku dziennego nad tymi wydarzeniami, Frances. - Hugh chodził tam i z powrotem po bibliotece. - Wiem, że jest twoim kuzynem i naprawdę wolałbym uznać, że nie będzie cię więcej niepokoił. Ale to jeszcze nie koniec. Musisz zrozumieć, że on jest niebezpieczny i aby go powstrzymać, trzeba ujawnić jego zbrodnie i publicznie go skompromitować. Nie dopuszczę, żeby znów próbował cię zastraszyć.

- Zgoda - powiedziała po długim namyśle. - Ale co z tobą? Czy nie będzie to niebezpieczne? - Podeszła do niego, położyła mu rękę na ramieniu. - Tego nie mogłabym znieść, Hugh.

- Nic mi nie grozi. Musisz mi zaufać. - Czułym uśmiechem przyspieszył bicie jej serca.

- Więc co teraz zamierzasz?

- Najpierw odnajdę Charlesa. To nie powinno być trudne.

- A jeśli wrócił do Yorkshire?

- Raczej nie. Moim zdaniem Charles czeka na mój następny ruch. Zbyt wiele by stracił, gdyby się poddał i uciekł do Torrington Hall. Tam nie może spodziewać się niczego z wyjątkiem ubóstwa i izolacji od eleganckiego towarzystwa. - Splótł dłonie. - Pozostaniesz tu z Juliet i ciotką May. Nie wolno ci nigdzie wychodzić bez opieki. Czy to jasne?

- Charles już się sparzył, nie porwie mnie ponownie.
- Skąd wiesz? Daj mi słowo, Frances!
- Pewnie muszę. - Poddała się stanowczemu życzeniu.
- Wiem, jakie to dla ciebie trudne, muszę jednak mieć pewność, że jesteś bezpieczna. Już raz dałaś mi słowo.

- Tak, ale tylko pod groźbą, że zamkniesz mnie w sypialni na tydzień. Nie miałam wtedy wyboru! - Uśmiechnęła się na to wspomnienie. - W każdym razie teraz solennie obiecuję, że nigdzie sama chodzić nie będę. Z czułością musnął jej wargi.

- Niech Bóg ma cię w swej opiece.

Wyszedł ubrany w strój wieczorowy. Na St. James Square znudzony, lecz życzliwy lokaj poinformował go, że pana Hanwella nie ma w domu. Raczej nie skorzystał z prywatnego zaproszenia, lecz wybrał się do jakiegoś klubu.

Hugh wpadł najpierw do White'a. Gdy przekonał się, że Hanwella tam nie ma, odrzucił wszystkie zaproszenia do stolików karcianych i wyszedł. Przyłączył się do niego Ambrose, który właśnie wrócił do Londynu. Wprawdzie nie rozumiał, dlaczego Hugh tak pilnie poszukuje Hanwella, nie był bowiem wprowadzony w sytuację, wyczuł jednak powagę chwili.

Jak się wkrótce okazało, Hanwella nie było ani u Brooka, ani u Boodle'a. Pozostały więc domy gry, gdzie lubiano wysokie stawki.

U Storridge'a na Pall Mall spotkali Matthew, który grał w faraona.

- Nie zapytam, co tutaj robisz - szepnął mu do ucha Hugh.

Wyraźnie zakłopotany Matthew zakończył rozgrywkę porażką.

- Wygrywałem, dopóki nie przyszedłeś - powiedział, ze złością rzuciwszy karty na stół, miał jednak przynajmniej dość przyzwoitości, by przybrać skruszony wyraz twarzy.

- Ile przegrałeś? Nie, lepiej mi nie mów. Może jednak powinienem ci pozwolić jechać do Hiszpanii. Wtedy martwiłbym się o ciebie mniej. Widziałeś gdzieś Charlesa Hanwella?

- Nie. Podejrzewam, że wszystkie najbardziej uczęszczane miejsca już sprawdziłeś. I nawet domyślam się, dlaczego go szukasz. - Zadumał się. - A próbowałeś zajrzeć do tego nowego domu gry kilka posesji dalej? Dyskretne miejsce i podobno bardzo drogie. Za wysokie progi na moje nogi.

- Hanwell nie ma pieniędzy, ale wydaje się, że to dla niego wymarzony klub. Pójdiesz z nami?

Po kilku minutach ubrany na czarno lokaj wprowadził ich do wspomnianego dyskretnego miejsca. Wciąż panował tu względny spokój, zebrało się już jednak dość ludzi, by można było rozpocząć partyjkę faraona lub makao.

Hugh dostrzegł go przy stoliku do wista. Charles Hanwell wydawał się zaskakująco zwawym jak na przeżycia z poprzedniego dnia. Ślady uderzenia starannie przykrył włosami. Śmiał się, dowcipkując ze swym partnerem, lordem Belmontem, i popijał porto. Sir John Masters, tęgi hazardzista, rzucił karty na stół, a widząc podchodzącego markiza, uniósł rękę w powitalnym geście.

- Niech pan się do nas przyłączy, Aldeborough. Może odwróci się moja zła passa.

- Wątpię. - Hugh podniósł odrzucone karty i skrzywił się znacząco. - Mówiąc szczerze, na pańskim miejscu dałbym już sobie spokój.

Charles Hanwell wbił wzrok w Aldeborough, przy którym stanęli również Matthew i Ambrose. Jeśli nawet trochę zbladł, to postanowił stawić czoło sytuacji.

- Dobry wieczór, Aldeborough - powitał go z udaną jovialnością. - Zapraszamy do stolika. A może woli pan grzechot kości?

- Nie mam szczególnych upodobań - odrzekł lekko, mierząc przy tym Hanwella morderczym spojrzeniem. -

Naturalnie nie dotyczy to towarzystwa, które wybieram do gry.

- Nie będę udawał, że rozumiem, milordzie. - Hanwell wybrał najlepszą w tej sytuacji taktykę. Wprawdzie Aldeborough przyszedł tu w oczywistym celu, było jednak mało prawdopodobne, by chciał zaszkodzić reputacji żony.

- Na pewno pan rozumie. Chyba że już zapomniał o wczorajszych zdarzeniach.

Charles głośno nabrał tchu. Skoro miała to być konfrontacja, musiał podjąć wyzwanie.

- Dziwię się, że zasługuję na pańskie zainteresowanie, Aldeborough. Mam mało pieniędzy. Między innymi za sprawą pana, bo uwiódł pan moją kuzynkę, która powinna była mnie poślubić. W ten

sposób zrujnował pan mnie i mojego ojca. - Inni gracze przy stoliku drgnęli, wyraźnie zakłopotani tą potyczką słowną.

Hugh zajął wolne miejsce i rzekł spokojnym, pojednawczym tonem:

- Mam wszelkie podstawy, by sądzić, że pańska kuzynka jest bardziej niż usatysfakcjonowana zakończeniem wczorajszego wieczoru. Natomiast pański ojciec z pewnością nie postąpił rozważnie, próbując ratować rodową majątność za pomocą hazardu. Postawił na jej spadek i przegrał. Może pan będzie miał więcej szczęścia. - Aldeborough wzruszył ramionami. - Muszę jednak ostrzec, że towarzyszy mi ostatnio dobra passa.

- To prawda. Postawiłem w Newmarket przeciwko panu koniowi i przegrałem - wyjął sir John Masters.

- Ma pan diabelne szczęście, co? - parsknął Hanwell.

- Tak sędzę.

- Może wreszcie przyszedł czas, by się wyczerpało. - Hanwell uniósł do ust kieliszek wina. Nie podobała mu się ta zabawa w kota i myszkę, ponieważ grał tę drugą rolę.

- Dlaczego pan tak uważa? Czyżby mi źle życzył? Przecież jesteśmy rodziną. Nieprawdaż, Charles? - Markiz wziął od lokaja kieliszek bordo. - Myślę, że to panu przestało dopisywać szczęście. Zniweczyłem pański plan, który polegał na tym, że chciał pan poślubić dziedziczkę wbrew jej woli i wbrew jej dobrze pojętym interesom. O ile wiem, ona z kolei odegrała wymarzoną przez siebie

rolę dopiero wczoraj wieczorem, kiedy wyrwała się z pańskich szponów.

Coraz bardziej zafascynowani słuchacze chciwie łowili teraz każde słowo. Hanwell doskonale wiedział, że jeśli nie odwróci skutków rewelacji markiza, będzie zgubiony.

- Ciekawe, że życie kuzynki Frances, od kiedy pana poślubiła, wciąż znajduje się w niebezpieczeństwie. Zdarzyło się niemało wypadków, prawda, Aldeborough? Czyżby pan zamierzał się jej pozbyć? Bądź co bądź, pańskiego brata również spotkała przedwczesna śmierć. Zginął w wypadku. Tylko czy naprawdę? Wszyscy świetnie wiemy, że to niefortunne zdarzenie było panu bardzo na rękę.

Po tej prowokacji w sali zapadła śmiertelna cisza. Na wielu twarzach pojawił się wyraz trwogi, ale Aldeborough odczuł ulgę. Charles dał się złapać na jego przynętę.

- Nie mów tak, człowieku... To nie tak... Śmierć sir Richarda była wypadkiem... Skręcił sobie kark... Nikt nie jest winien... - Kilkanaście głosów jednocześnie przerwało milczenie.

- No i co pan na to, Charles? - Uśmiech markiza nie wyglądał przyjaźnie.

- Powszechnie wiadomo, że śmierć sir Richarda dała Aldeborough tytuł i majątek, prawda? - Hanwell rozejrzał się dookoła, szukając poparcia. - Osobiście uważałbym, że ten wypadek to zbyt korzystny zbieg okoliczności.

- Niech pan odwoła to oszczerstwo! - Matthew, który do tej pory był jedynie biernym świadkiem, chwycił Hanwella za fular, wyraźnie rwąc się do bitki.

- Daj spokój, Matthew - polecił łagodnie Hugh. - Pozwól, że sam to dokończę. - Zwrócił się do Charlesa i zniżył głos. - To prawda. Z pewnością zyskałem finansowo na śmierci brata, ale na śmierci żony nie skorzystałbym wcale, nieprawdaż? Sądzę, że zna pan warunki testamentu jej matki. Musi pan je znać! Jest tylko jedna osoba, która zyskałaby na śmierci mojej żony. W ostatecznym rozrachunku pan! Bo jej majątek przeszedłby na pańskiego ojca, a potem na pana. Sądzę więc, że te - jak pan mówi - wypadki mają znacznie więcej wspólnego z wami niż ze mną.

- Jak pan śmie! Jak może pan oczerniać moje dobre imię takimi bezpodstawnymi oskarżeniami?! - Głos Charlesa stawał się coraz bardziej piskliwy.

- Sam pan chciał publicznej rozmowy o tej niesmacznej sprawie.

- Sprowokowany przez pana!

- Proszę więc pozwolić, że posunę prowokację nieco dalej, kuzynie Charlesie!

Aldeborough wziął ze stolika kieliszek i chlusnął jego zawartością w twarz Hanwella. Czerwony płyn spłynął po jego twarzy na surdut i koszulę. Doprowadzony do ostateczności Charles zerwał się na równe nogi, powstrzymali go jednak mężczyźni stojący najbliżej.

- Odpowie mi pan za to, milordzie - wysyczał.

- Tak pan sądzi?

Matthew położył bratu rękę na ramieniu.

- Nie przyjmuj wyzwania. On jest za bardzo pijany, by wiedzieć, co mówi.

- Czy pan jest za bardzo pijany, Hanwell? - spytał spokojnie Aldeborough. - Nie wydaje mi się.

- Świetnie pan wie, że nie jestem. Oskarżam pana o tchórzostwo i morderstwo! Czy przyjmuje pan moje wyzwanie?

- Naturalnie przyjmuję wyzwanie. - Aldeborough uśmiechnął się ponuro, zadowolony, że udało mu się zrealizować swój plan. - Wie pan, że nigdy nie odmawiam. Spotkam się z panem z olbrzymią satysfakcją. Może pańscy sekundanci zechcą przedyskutować warunki pojedynku z moimi. Matthew? Ambrose? Panu zaś, Hanwell, sugeruję, że rozsądnie byłoby wybrać sekundantów spośród obecnych tutaj dżentelmenów. - Potoczył wzrokiem dookoła, prowokując przytakujące skinienia głów. - Nie byłoby zrecznie rozpowszechniać treść naszej różnicy zdań.

- Wszystko da się załatwić. - Ambrose już otrząsnął się ze zdumienia, w jakie wprowadził go błyskawiczny rozwój wydarzeń, choć wciąż nie miał pojęcia, o co chodzi. - Szybkość działania jest tu niezbędna. Należy rychło zakończyć tę sprawę, aby zapobiec dalszym plotkom.

- Do jutra więc. O siódmej na Archer's Field. - Aldeborough skłonił głowę przed Hanwellem i zebranymi, po czym opuścił klub.

Wrócił na Cavendish Square późną nocą. Przebrał się w szlafrok i bez pukania wszedł do sypialni żony. Spała, ale na stoliku paliła się świeca, jakby Frances oczekiwała jego powrotu. By jej nie budzić, ostrożnie usiadł na krawędzi łóżka, a jednak poruszyła się i otworzyła oczy.

- Martwiłam się o ciebie - szepnęła sennie.

- Śpij ze mną, Frances Rosalind. - Pogłaskał ją po policzku drżącymi palcami. - Chcę być z tobą tej nocy.

- Naturalnie. Nie musisz prosić, Hugh. - Powieki już jej opadały.

Zrzucił szlafrok i ułożył się przy niej. Westchnęła i znów zaczęła pogrążyć się we śnie.

- Frances?

- Tak...

- Och, nic takiego. - Uśmiechnął się z wielką czułością. -

Chciałbym ci tylko powiedzieć, że cię kocham. I że bardzo wiele dla mnie znaczysz.

- Hm?

Nie takiej reakcji oczekiwał, ale nie zamierzał się zniechęcać. Zrozumiał, że musi jej wszystko wyjaśnić.

- Bardzo cię kocham. Sam nie wiem, dlaczego tak wiele czasu potrzebowiałem, by to pojąć i zaakceptować. - Wtulił twarz w jej włosy. - To prawda, że nie chciałem cię poślubić. I nie kochałem cię, bo przecież prawie cię nie znałem. Byłaś dla mnie tylko niepotrzebną komplikacją. Małżeństwo było po prostu dla nas najlepszym wyjściem z trudnej sytuacji. I niczego więcej po nim nie oczekiwałem. -

Uśmiechnął się nie bez goryczy. - Pragnąłem cię, to nie ulega wątpliwości. Jesteś bardzo ładna i miło mi było całować, dotykać i brać cię do łóżka. Ale miłość... miłości nie szukałem. A potem po prostu zakochałem się w tobie. Nie od razu, powoli i niepostrzeżenie. I nagle zauważyłem, że nie mogę się od ciebie uwolnić, nie mogę przestać zastanawiać się, co robisz, o czym myślisz. Stałaś się dla mnie ważna. To takie proste. - Przerwał na chwilę. - Wciąż widzę, jak stoisz w swojej sypialni przy Cavendish Square, mając strach w oczach, widzę blizny po uderzeniach twojego stryja, a ty jesteś w stanie powiedzieć tylko tyle, że zawdzięczasz mi ocalenie. Robi mi się zimno, kiedy o tym myślę. Zaslugujesz na lepszego męża, najdroższa Frances. Wcale nie jestem dumny ze swojego postępowania. Nie ma dla mnie usprawiedliwienia. - Gdy przyłgnęła jeszcze mocniej do niego, powiedział cicho: - Oddałbym nawet życie, byle zatrzeć pamięć o tym strachu i dać ci wszystko, czego odmawiała ci twoja rodzina. Bezpieczeństwo. Szczęście. Harmonię. Świadomość, że nikt nigdy już cię nie skrzywdzi... Potrzebuję cię, Frances. Żebyś uśmiechała się do mnie, budziła się przy mnie i pozwalała trzymać w ramionach. Kocham cię. Jesteś moim sercem i duszą, całym moim życiem. Wierzysz mi? - Nie odpowiedziała. - Frances? - Uśmiechnął się ze smutkiem, słysząc jej głęboki oddech, którego ciepło czuł na ramieniu. Rozluźniona dłoń z podkurczonymi palcami spoczywała mu na torsie. Zapewne Frances nie będzie pamiętać po przebudzeniu ani jednego słowa z jego przemowy. - Śpij dobrze, najdroższa Molly - szepnął. - Jutro wszystko będzie jasne, tak czy inaczej...

Zbudziła się bardzo wczesnie zupełnie sama z przerażającym poczuciem fatum. Odrzuciła koc i szybko weszła do pokoju męża. Był pusty, a nawet gorzej: opustoszały. Była pewna, że Hugh przedsięwziął coś niebezpiecznego, a ona może tylko czekać na jego powrót. Pamiętała zbójców spotkanych w drodze do Priory, ich przemoc i żądzę mordy. Nie chciała myśleć o tym, że Hugh może stać się coś złego, ale nie umiała powstrzymać łez, które potoczyły jej się po policzkach i zaczęły skapywać na koronkową koszulę.

Rozdział czternasty

Niebo powoli jaśniało nad grupką ubranych w ciemne stroje postaci.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć, Hugh. - Matthew nerwowo przeczesał włosy palcami.

Aldeborough z ostentacyjną obojętnością zapiął elegancki surdut.

- Nigdy nie sądziłem, że będę twoim sekundantem. Prędzej Richarda, ale nie twoim!

- Jak on strzela? - spytał zatroskany Ambrose.

- Nie mam pojęcia.

- Mógłbyś zrezygnować ze strzału - odezwał się Matthew po chwili kłopotliwego milczenia.

- To zły pomysł. Jego następstwem byłaby sugestia, że wina leży po mojej stronie.

- Ale on może cię zabić! To dziwne, że wydajesz się tym nie przejmować.

- Myślisz, że się nie przejmuję? - Aldeborough zwrócił się do brata z ogniem w oczach. - Nie masz pojęcia... - Urwał. Przed oczami stanęła mu przejęta lękiem Frances. Wnet jednak opanował się, choć gniew w nim nie wygasł. - Konfrontacja z Hanwellem stała się nieunikniona. Od dnia ślubu moje życie znajduje się w niebezpieczeństwie, a ostatnio to Frances stała się celem ataku jej kochającego kuzyna.

- Posłuchaj, Hugh. Z pewnością...

- Sam widziałeś zasadzkę po drodze do Yorku. To była pierwsza próba i nie ostatnia. Prawie im się zresztą udało. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak daleko Hanwell jest gotów się posunąć dla osiągnięcia swoich celów. Otóż przejmuję się, i to bardzo! Trzeba położyć temu kres, a to jest idealna okazja do ujawnienia win Hanwella przy świadkach. Na szali są życie Frances i spokój mojego umysłu, a ja jestem gotów na wszystko, byle zapewnić żonie bezpieczeństwo. Wbrew zdrowemu rozsądkowi stanę więc naprzeciwko Hanwella z pistoletem i to zakończy sprawę.

Dokładnie o siódmej rano elegancki dżentelmen w czarnym surducie podszedł sprężystym krokiem, gotów przejąć kontrolę nad wydarzeniami. W dłoni trzepotała mu biała chusteczka.

Skrawek materiału opadł na ziemię.

Aldeborough wymierzył w serce Charlesa Hanwella. Po chwili jednak, sygnalizując swój zamiar, skrzył rękę w prawo. Strzelił dokładnie tam, gdzie celował. Chybił.

Hanwell uniósł broń i również strzelił, by zranić, okaleczyć, zabić.

- Wymogom honoru stało się zadość, panowie. - Ambrose wystąpił naprzód, wyraźnie uspokojony.

- Na Boga, nie! Jeszcze nie. - Aldeborough szybkim krokiem wyminął Ambrose'a i ruszył w stronę Charlesa. Prawe ramię trzymał sztywno wyprostowane, nie zwracał jednak uwagi na krew, tworzącą coraz większą plamę przy mankiecie i ściekającą mu po palcach. - Czy wymogom honoru stało się zadość, Hanwell?

- Nie ma pan dowodu - mruknął poblady Charles, zaciskając pięści po bokach.

- Do tego nie potrzebuję dowodu. - Hugh wymierzył Hanwellowi powalający lewy prosty w podbródek. - Ostrzegam, jeśli pan wstanie, pošlę go na ziemię znowu - wysyczał przez zaciśnięte zęby.

Charles otarł dłonią krew ciekącą mu z wargi.

- Nie może pan niczego dowieść.

- O nic też pana nie oskarżyłem.

W oczach markiza Hanwell dostrzegł morderczy błysk.

- To były wypadki. Nie mam z nimi nic wspólnego.

- Jakie wypadki? Proszę mówić, chętnie posłuchamy. Hanwell czuł na sobie baczny wzrok swoich sekundantów.

Zacisnął usta i pokręcił głową.

- Zbójcy na drodze do Yorku? Próba morderstwa w Priory? -
podpowiedział Aldeborough. - Uwięzienie mojej żony?

Hanwell jeszcze raz pokręcił głową.

- Nigdy nie życzyłem źle pańskiej żonie. - Nie był w stanie spojrzeć markizowi w oczy. - Ale ten spadek powinien być mój. To mnie powinna była poślubić.

- Postanowił pan więc wziąć sprawy w swoje ręce. Powiniennem był go zabić za krzywdy, jakie wyrządził pan mojej żonie i siostrze.

- To była pomyłka. - Hanwell wpadł w panikę. - To nie powinno było się zdarzyć.

- Przynajmniej został pan ukarany. - Aldeborough uśmiechnął się ironicznie. - Wygląda na to, że moja żona umie trafić gdzie trzeba. A to ci historia... na pewno nie chce pan, żeby zaczęto o niej rozpowiadać, prawda? Nie pomogłoby to pańskiej reputacji. - Chwycił Charlesa za koszulę. - Niech pan dobrze posłucha, Hanwell. Nie miałbym skrupułów, żeby ujawnić tę historię i pańskie motywy. Jeśli więc mojej żonie stanie się najmniejsza krzywda, po prostu pana zabiję. Charles przez cały czas odwracał wzrok.

- Chodź, Hugh. - Ambrose pociągnął go za ramię. - Dowiodłeś swego, w dodatku przy świadkach. - Popatrzył na Hanwella z obrzydzeniem.

W tym jednym spojrzeniu Hanwell zobaczył swoją przyszłość - zszarganą opinię, straconą pozycję towarzyską i co za tym idzie, koniec nadziei na podratowanie finansów. Tymczasem Aldeborough pchnął go z powrotem na ziemię i odwrócił się do niego plecami.

- Nie tylko ja ponoszę winę, milordzie.

- Nie? - Aldeborough odwrócił się i zerknął przez ramię na Hanwella. - Na kogo tym razem chce pan zrzucić odpowiedzialność?

- Powinien pan szukać bliżej domu. - Charles zdobył się na kpiący uśmiech.

- Niby o kogo miałyby chodzić? Czyżby to Matthew postanowił oczyścić sobie drogę do tytułu?

- A kto mógłby być zainteresowany pańskim powrotem do stanu wolnego, milordzie?

Hugh znieruchomiał na moment.

- Naturalnie. O tym nie pomyślałem...

- Nie tylko mnie ciekawią sprawy pańskiej rodziny, milordzie. Mnie zaś łatwiej było działać, mając szczegółowe informacje o pańskich ruchach od dobrze poinformowanej osoby. Panu zdawało się, że jest sprytny i wszystko potrafi odgadnąć, a nie wie nawet połowy.

- Rozumiem. Chyba powiedział pan dość. Sprawa zakończona, panowie - zwrócił się do sekundantów, a potem spojrzał na Hanwella, ironicznie się skłonił i dodał półgłosem: - Niech pan pozwoli, że powiem mu, jak bardzo jest nikczemny.

Frances stała przy oknie w pokoju śniadaniowym pólżywa z niepokoju.

- Nie rozumiem tego zafrasowania - odezwała się Juliet. - Przecież nie wiesz nawet, dokąd poszli, więc po co się martwisz?

Usiądź, Frances. Na pewno zaraz wrócą i będą się dziwić, o co tyle hałasu.

- Po prostu wiem, że stało się coś złego. - Frances nadal spoglądała na bezludny plac, skubiąc chusteczkę. - Hugh wyszedł z domu przed świtem, a razem z nim Matthew.

- Pewnie wybrali się na wczesną przejażdżkę - włączyła się ciotka May. - To im się zdarza. - Stara dama, wciąż ubrana w szlafrok, który straszył jaskrawymi fioletowo-kremowymi paskami, karmiła Wellingtona kawałkami chleba maczanego w herbacie, mimo nieskrywanego obrzydzenia Juliet. - Lepiej usiądź, moja droga, bo rozboli mnie przez ciebie głowa. Słuchajcie! - Uniosła dłoń. - Słyszycie? To pewnie Aldeborough, więc możemy przestać się niepokoić. Dzięki Bogu.

W napięciu nasłuchiwały kroków dobiegających najpierw z holu, a potem ze schodów.

- To nie Aldeborough. - Frances modliła się w duchu, żeby nie mieć racji.

Zamiast tego wszedł Watkins.

- Przyszła pani Vowchurch, milady - zwrócił się do Frances. - Bardzo przeprasza za wizytę nie w porę, ale prosi o chwilę rozmowy.

- Czego może chcieć ta kobieta tak wcześnie? - spytała ciotka May. - Lepiej ją wprowadź, Watkins.

Panna Penelope Vowchurch pojawiła się w pokoju elegancka jak zawsze, jakby odwiedziny w porze śniadania należały do przyjętego obyczaju.

- Panno Vowchurch. - Mimo nieodpartej niechęci Frances wyciągnęła do niej rękę na powitanie.

- Proszę mi wybaczyć. Rozumiem, że to nie jest... to znaczy nie chciałam... ale musiałam przyjść. - Widać było, że niewiele spała tej nocy.

- Co się stało?

- Pojedynek. Musicie ich powstrzymać! - zawołała z niezwykłym dla siebie wzburzeniem.

- Czyli istotnie miałaś powody do niepokoju, Frances - powiedziała lady Cotherstone, zaciskając dłonie na krawędzi stołu. - A z kim mój wnuk stanął do walki, panno Vowchurch?

- Z Charlesem Hanwellem. Czy możemy temu zapobiec? Frances nie była w stanie sformułować sensownego zdania, ale wyręczyła ją ciotka May.

- Mało prawdopodobne, panno Vowchurch. Jeśli się pani nie myli co do samego faktu, to już dawno jest po pojedynku. Co też opętało tego chłopaka, żeby tak się narażać? - Na moment ukryła twarz w dłoniach. - Proszę mi jednak powiedzieć - zwróciła się do Penelope - skąd pani ma tę informację. Rozumiem, że nie podano jej do powszechnej wiadomości.

- Słyszałam... słyszałam pogłoskę - wyjąkała.

- Nawet jeśli jest prawdziwa, to nie tłumaczy pani obecności w tym miejscu. Jaki pani ma z tym związek?

Ku zaskoczeniu wszystkich Penelope wybuchnęła szlochem i zaczęła szukać chusteczki, aby wytrzeć łzy. Gdy w końcu się odezwała, było słychać, że trudno jej zebrać myśli.

- Prawie nie spałam... Wiem, że nie powinnam tego mówić, ale... Kocham go. Miał mnie poślubić, zanim wszystko stanęło na głowie... zanim poślubił panią! - Spojrzała na Frances z ledwie powściąganą złością. - Nie chcę, żeby Charles go zabił. Musimy za wszelką cenę ich powstrzymać. - Z oczu popłynęły jej łzy,

Frances patrzyła na nią wstrząśnięta. I nawet jej żałowała. Zbyt dobrze rozumiała ból nieodwzajemnionej miłości.

- Wydaje mi się, panno Vowchurch, że wie pani o tym pojedyńku więcej, niż mówiłyby pogłoski - nalegała ciotka May. - Czy rozmawiała pani o tym z Charlesem Hanwellem?

- Nie, oczywiście nie - zaprzeczyła oburzona i osuszając chusteczką policzki, spróbowała się uśmiechnąć. - Proszę mi wybaczyć, wiele musiałam ostatnio znieść...

Drzwi otworzyły się ponownie i wszyscy zamilkli, a do pokoju dostojnie wkroczyła markiza wdowa. Lady Aldeborough władczo potoczyła wzrokiem po zebranych, ciotkę May wyróżniła spojrzeniem pełnym niechęci i dając wyraz wieloletniemu nawykowi, natychmiast przejęła rządę.

- Widzę całkiem duże zgromadzenie. Penelope, moja droga, co panią tu sprowadza? Jestem naturalnie zachwycona pani widokiem i nie wątpię, że musi istnieć ku temu przyczyna. A gdzie jest Aldeborough?

- Pojedyнкуje się, o ile nam wiadomo. - W ponurym głosie lady Cotherstone wyjątkowo nie było cienia złości.

- Pojedyнкуje się? Nigdy! Markiz Aldeborough pod żadnym pozorem nie wdałby się w przedsięwzięcie tak skandaliczne i niestosowne dla człowieka o jego pozycji. Co pani przyszło do głowy, żeby powtarzać taką niebywałą historię? A teraz, droga Penelope, może wyjaśni mi pani cel swojej wizyty.

Trzask drzwi wejściowych po raz drugi tego rana wywołał nagłą ciszę w pokoju śniadaniowym. Frances pognęła na podest schodów. Niestety, przeżyła wielki zawód, gdy zobaczyła, kto podaje Watkinsowi rękawiczki i kapelusz.

- Matthew! - Zbiegła na dół pełna najgorszych przeczuć. - Gdzie jest Hugh? Czy rzeczywiście się pojedyńkował? Czy jest ranny? Nie żyje? - Szarpała go za rękaw. - Proszę, nie trzymaj mnie w niepewności.

Matthew delikatnie ujął jej dłonie.

- Już po wszystkim, Frances, proszę tak się nie gorączkować! Nie jest ani zabity, ani poważnie ranny. Spokojnie... nie trzeba płakać.

- Dzięki Bogu! - Poczowała niewysłowioną ulgę. - Och, Matthew, nie masz pojęcia... Gdzie on jest? Jeszcze w stajni?

- Przyjechałem sam. Hugh wkrótce tu będzie.

Frances spojrzała na niego przenikliwie, zdziwiona jego wahaniem.

- Gdzie on jest teraz?

- Pojechał do panny Vowchurch - odparł z wahaniem. -
Powiedział, że musi ją niezwłocznie zobaczyć i że jest to absolutnie
niezbędne.

- Zobaczyć Penelope?

- Tak. - Zdumiał go wyraz rozpacz na twarzy Frances. - Nie
sądzę, żebyś miała powody do zmartwienia, droga Frances. - Mars na
czole podawał jednak w wątpliwość szczerść tych słów.

- Czy wyjawiał powód?

- Nie. Powiedział tylko tyle, że musi.

- Penelope! - szepnęła. Sprawdzały się jej najbardziej koszarne
sny! - Przecież Penelope jest tutaj.

- Myślę więc, że zaraz tu przyjedzie, skoro nie zostanie jej na
Grosvenor Square. - Popatrzył na Frances z troską. - Naprawdę nie
sądzę, żeby miało to cokolwiek znaczyć.

Myśli wirowały jej jak szalone. A więc Aldeborough jednak
odwzajemnia uczucie Penelope. Musi bardzo ją kochać, skoro
pojechał do niej natychmiast po pojedynku. I ona też go kocha.

- Dobrze się czujesz, Frances? - Matthew dotknął jej ręki.

Wróciła do rzeczywistości. Należało działać. Nie spojrzwałyby
mężowi w twarz, wiedząc, jak bardzo pragnie Penelope, nie mogłyby
się przyglądać ich duchowemu pojednaniu po tak strasznym
doświadczeniu. Była jednak w stanie przynajmniej położyć kres
zagrożeniu ze strony stryja. Musiała podjąć decyzję natychmiast.

- Pomożesz mi, Matthew?

- Naturalnie. Jeśli tylko jest to w mojej mocy.

- Potrzebuję powozu z Bensonem. Muszę natychmiast wyjechać.
- Jak to? Dokąd?
- Do Priory.
- Do Yorkshire? Do diabła, Frances, nie możesz!
- Mogę i jest to absolutnie konieczne.
- Nie. Poczekaj na powrót Hugh. Porozmawiaj z nim, to najlepsze rozwiązanie. Nie ma potrzeby uciekać. Jestem pewien, że Hugh nie...

- Wcale nie uciekam! Nie rozumiesz tego, a nie ma czasu na wyjaśnienia. Muszę ruszać. Czy polecisz Bensonowi zaprząć konie?

- Nie wolno mi zostawić cię samej. - Potarł twarz dłonią z bardzo niepewną miną. - Czy jesteś całkowicie pewna tego, co chcesz zrobić?

- Bardziej niż bardzo.

- Wobec tego lepiej pojedź z tobą. Aldeborough nie wybaczyłby mi nigdy, gdyby coś ci się stało.

- Zapewniam, że to zbyteczne.

- Nie masz wyboru. - Mimo głębokiej zgryzoty Frances omal nie uśmiechnęła się, słysząc ton, którym Matthew naśladował brata. - Jeśli pojedziesz, to tylko ze mną.

- Zgoda, nie mam czasu na spory. Wyruszamy niezwłocznie. Spakuję tylko kilka rzeczy. Będę również wdzięczna, jeśli nikomu o tym nie powiesz. - Pobieгла schodami na górę.

Godzinę później Aldeborough wszedł frontowymi drzwiami do domu. Jego odwiedziny u Vowchurchów nie doprowadziły do

zamierzonego celu, ale przynajmniej uzyskał informację, że zostanie Penelope na Cavendish Square.

Najpierw musiał jednak uspokoić Frances. Bardzo tęsknił za jej widokiem.

- Gdzie znajdę milady, Watkins?

- Nie ma jej w domu, milordzie.

- Jesteś pewien? Kiedy wyszła?

- Milady opuściła dom godzinę temu. Wzięła powóz używany do długich podróży.

Przebiegł go zimny dreszcz. Zanim zdążył postawić następne pytanie, znów otworzyły się drzwi i do domu wszedł Matthew, ubrany w strój podróżny. Minę miał nietęgą.

- Hugh! Dzięki Bogu, że wróciłeś. Próbowałem ją zatrzymać, ale wystawiła mnie do wiatru. Bez wątplenia planowała to od samego początku. Jest mi diabelnie przykro.

- Co ona wymyśliła? - Gwałtownie zacisnął bratu rękę na ramieniu. - Mów!

- Pojechała!

- Ale dokąd? Na miłość boską, Matthew, powiedz mi, co wiesz!

- Czyżby Frances postanowiła zakończyć ich małżeństwo? Tylko dlaczego? Co takiego zrobił, że znikła bez żadnego wyjaśnienia?

Szybko jednak odzyskał zdolność trzeźwego myślenia. Nawet jeśli nie znał przyczyny odjazdu, to przecież wiedział, dokąd pojechała.

Istniała jedyna możliwość.

- Do Priory - potwierdził jego przypuszczenia Matthew. - Powiedziała, że to pilne, i była bardzo przejęta. Powiniennem cię chyba ostrzec, Hugh... Wcześniej wspomniałem jej, że postanowiłeś odwiedzić pannę Vowchurch.

- Co dokładnie jej powiedziałaś? - Markiz zmartwiał. Widział wahanie w oczach brata. Jego niepewność. - Matthew! Chyba nie...? Czy naprawdę myślałeś, że mógłbym wdać się w romans z Penelope Vowchurch? - Aż jęknął z wrażenia, widząc skruchę wypisaną na twarzy Matthew. - Więc teraz i Frances tak sądzi. Muszę ją zatrzymać, ale najpierw załatwię pewną pilną sprawę. To nie może czekać. Benson na pewno ma dość rozsądku, by zatrzymać się na postój w Hitchin, w gospodzie „Pod Białym Jeleniem”. Tam ją znajdę. Dla odkupienia swoich grzechów możesz pojechać ze mną.

- Do Priory? Przecież nie jestem ci do niczego potrzebny. Poza tym zaplanowałem...

- Pozwolę ci powozić kasztanami. Za bardzo boli mnie ręka, żebym prowadził kariolkę.

- Już szykuję zaprzęg!

- Hugh! Nareszcie! Dokąd pojechała Frances? - spytała Juliet. - Matthew nie chce nic powiedzieć.

- Zostawiła cię, Aldeborough - z satysfakcją stwierdziła markiza wdowa. - Wiedziałam, że z tego małżeństwa nic dobrego nie wyniknie, ale ty mnie nie chciałeś słuchać. Jak mogłeś pozwolić sobie na związek z...

- Myślę, że powinniśmy usłyszeć wyjaśnienie, drogi chłopcze - wtrąciła znacznie delikatniej lady Cotherstone.

- Oczywiście. Musicie jednak wiedzieć, że Frances wcale mnie nie opuściła. - Skłonił się ironicznie przed matką. - Wiem, gdzie ją znajdem, i znam powód jej wyjazdu. Jeśli zaś chodzi o resztę, to nie sądzę, abym właśnie ja był odpowiednią osobą do udzielania wyjaśnień. Zaskakuje mnie pani widok w tym miejscu o tak wczesnej porze, panno Vowchurch.

Penelope ucieleśniała w tej chwili zafrasowany wdzięk.

- Przyjechałam, ponieważ... ponieważ... - Głos lekko jej się załamał. - Nie mogę powiedzieć.

- Jak wiecie, właśnie stoczyłem pojedynek. - Aldeborough uśmiechnął się lodowato. - Panno Vowchurch, z pewnością zachwyci panią wiadomość, że Charlesowi nic już nie grozi, a zdrowie mu dopisuje mimo drobnych uszkodzeń ciała. Prawdę mówiąc, wątpię, czy z taką twarzą będzie mógł się w najbliższym czasie pokazać w towarzystwie.

- Widzi pani, Penelope, tak właśnie mówiliśmy - wtrąciła Juliet. - Nie ma powodu się frasować.

- Nie wydaje mi się, żeby panna Vowchurch zasługiwała na twoje współczucie, Juliet. Jest wręcz przeciwnie, zasługuje raczej na potępienie, czyż nie?

- Nie wiem, co pan sugeruje. - Penelope gwałtownie wstała i splotła dłonie, chcąc ukryć ich drżenie.

- Na pani nieszczęście Charles był dość gadatliwy. Chciałem rozmówić się z panią w jej domu, ale wygląda na to, że musimy to zrobić publicznie. Charles nie zamierzał wziąć na siebie całej odpowiedzialności za napady na moją żonę. Chociaż wydaje się to zaskakujące, coś was łączyło.

- To kłamstwo. Nie mam nic wspólnego z Charlesem Hanwellem. - Zachowała spokój, ale oczy miała spuszczone.

- Co gorsza, panno Vowchurch, Charles postawił pewne zarzuty. - Markiz bacznie jej się przyglądał. - A ponieważ zrobił to publicznie, z pewnością staną się one przedmiotem domysłów.

- Nie. - W tym jednym słowie kryły się zaczątki paniki.

- By pani zamiary mogły się ziścić, powinienem być wolnego stanu. Jednak na przeszkodzie stała Frances. Z kolei moja śmierć w pojedynku byłaby pani zdecydowanie nie na rękę. Charles nie był zbyt lojalnym współnikiem, prawda? Nie miał tak szczegółowo sprecyzowanych wymagań jak pani. Jemu nie przeszkadzało, że zginę i ja, i moja żona, a nie tylko sama Frances. Zależało mu tylko na tym, by odziedziczyć pieniądze kuzynki i odtworzyć rodowy majątek Hanwellów.

- Nie rozumiem. - Penelope pobladła. - Kocham pana i zawsze kochałam. A pan zniszczył wszystkie moje nadzieje i marzenia... zniszczył pan moje życie!

- Nie - odparł Aldeborough zimno. - Pani sama je zniszczyła. Wiązała pani nadzieję z czymś, co było nierealne. W dodatku

pozwoliła się pani wciągnąć w szytą grubymi nićmi intrygę, której kołem napędowym były chciwość i hipokryzja.

- Nie! - Zażawiona Penelope z gniewem zwróciła ku Aldeborough. - To pańska wina. Powinien był mi pan powiedzieć, że mnie nie poślubi. A pan pozwolił mi łudzić się nadzieją, że kiedy czas wyleczy jego rany, będę dobrą kandydatką na żonę.

- To prawda - przyznał po chwili Hugh. - Wina leży również i po mojej stronie. Zbyt mocno przeżywałem śmierć Richarda. - Ciężko przychodziło mu to wyznanie. - Gdybym nie miał wyrzutów sumienia z powodu tego wypadku, gdybym mógł spokojnie o nim mówić, łatwiej przysłoby mi zdobyć się z panią na szczerłość. Stało się inaczej, wyrządziłem przez to i pani, i Frances większą krzywdę, niż dotąd sądziłem. Nie ma jednak usprawiedliwienia dla pani knowań przeciwko mojej żonie.

Panna Vowchurch obrzuciła wzrokiem twarze zebranych. Mogła wyczytać z nich wiele: złość, litość, niedowierzanie, obrzydzenie. Bez słowa obróciła się na pięcie i z całą godnością, na jaką było ją stać w takiej chwili, podeszła do drzwi. Zanim wyszła, odwróciła się jeszcze do markiza, mierzając w niego wyciągniętym ramieniem.

- Kochałabym pana. Byłabym dla pana dobrą żoną. Ciotka May wstała, jakby zamierzała za nią wyjść.

- Nie. - Hugh położył jej rękę na ramieniu. - Niech idzie. Poniosła klęskę i to jest koniec.

- Skoro tak sobie życzysz... - Popatrzyła wnukowi głęboko w oczy. - Musisz odnaleźć Frances i nakłonić ją do powrotu. Nie będzie

to łatwe zadanie, skoro dowiedziała się, że poszedłeś najpierw do Penelope.

- Myślisz, ciociu, że o tym nie wiem?

Rozdział piętnasty

Frances zatrzymała się w gospodzie „Pod Białym Jeleniem” w Hitchin. Świeżo rozpalony ogień w prywatnym salonie zaczynał powoli ogrzewać pomieszczenie, ale Frances była zbyt wzburzona, by spokojnie usiąść i kontemplować płomienie. Coś nieustannie gnało ją z miejsca na miejsce, a na stole pozostał prawie nietknięty posiłek.

Nie chciała przerywać podróży, ale uległa wymogom zdrowego rozsądku. Benson, nie owijając w bawełnę, powiedział, że nawet jeśli milady nie potrzebuje odpoczynku, to koniom się on należy, więc skoro jest po drodze dobra gospoda, należy tam stanąć. Benson czuł się zresztą odpowiedzialny za bezpieczeństwo markizy, zwłaszcza że markiz nie wiedział o jej eskapadzie.

Nagle drzwi szeroko się otworzyły.

- Bardzo przepraszam, ale to prywatny salon... - Słowa zamarły jej na ustach. - Dobry wieczór, milordzie - zdołała wybąkać. Głos jej lekko drżał, ale nie zamierzała kapitulować.

Bez słowa wszedł do pokoju. Zdjął rękawiczki i płaszcz i cisnął je na krzesło. Oczy gniewnie mu lśniły. Frances znalazła schronienie

za wysokim oparciem krzesła, na którym z całej siły zacisnęła dłonie. Nie spodziewała się, że mąż za nią pojedzie, w dodatku tak szybko.

- Zamówić coś do picia? Jakąś przekąskę? Jestem pewna...

- Nie chcę jeść ani pić, Frances. Chcę tylko dowiedzieć się, co robisz.

- Jadę do Priory.

- To wiem. Ale po co, na miłość boską? I dlaczego nikomu nie powiedziałaś ani słowa?

- Powiedziałam Matthew.

- Ale nie mnie!

- Nie chciałam cię wzburzyć.

- Wzburzyć!? - Jeśli zamierzała doprowadzić do wybuchu, to jej się udało. - Mam za sobą jeden z najgorszych dni w życiu. Stoczyłem pojedynek z twoim niewydarzonym kuzynem, którego wbrew głosowi rozsądku nie zabiłem. A gdy wróciłem do domu, matka poinformowała mnie, że opuściłaś mnie bez słowa. Możesz sobie wyobrazić jej satysfakcję, gdy przekazywała mi nowinę. A potem jeszcze musiałem znosić powożenie Matthew, który przywiózł mnie tutaj moją kariolką, wskutek czego jestem oblepiony błotem, a ramię boli mnie jak sto diabłów! Ponadto...

- Niepotrzebnie za mną pojechałeś, nie widzę ku temu powodu - przerwała mu w końcu Frances.

- Pewnie, że nie! Powinienem godzić się z tym, że moja żona samotnie przemierza cały kraj. Ja tu odchodzę od zmysłów, a ty, zamiast leżeć gdzieś w rowie, siedzisz sobie wygodnie w gospodzie!

Przynajmniej Benson miał dość rozsądku, żeby cię tutaj umieścić, inaczej miotałbym się tu i tam jak Anglia długa i szeroka. Nie, moja droga żono, wcale nie jestem wzburzony.

- W każdym razie nie musisz na mnie krzyczeć.

- Nie krzyczę. Zważywszy na okoliczności, jestem wzorem spokoju i rozsądku. To gorsze niż walki w Hiszpanii. Tam przynajmniej nie musiałem martwić się o żonę. Wystarczy, że na chwilę spuszcze cię z oka, a już wpada ci do głowy kolejny niedorzeczny pomysł. Zaslługujesz na to, żeby ukreć ci kark! - Zacerpnął tchu. - I nie stój za tym krzesłem tak, jakbym chciał cię sprać na kwaśne jabłko! Nie mogę tego znieść.

- To nie jest w porządku.

- Nie mam ochoty być w porządku!

Do pokoju wszedł Matthew, nieświadom szalejącej burzy.

- Powiedziałem w stajni.

- Wynoś się, Matthew.

- Już mnie nie ma. - Wycofał się, przesławszy Frances współczujące spojrzenie. Markiz zamknął za nim drzwi.

- Powiedz mi, Frances, co było tak pilne, że nagle uznałaś za niezbędne popędzić do Priory. I proszę mówić prawdę. - Opadł na krzesło, a nogę oparł na osłonie kominka.

- Dobrze, powiem. To ci się nie spodoba, ale nie mam innych pomysłów, a zdania nie zmienię bez względu na twoją opinię. Muszę zobaczyć się ze stryjem. I byłam przekonana, że nie mogę z tym czekać, jeśli chcę mieć pewność, że nic nie zagraża twojemu

bezpieczeństwu. - Poderwał głowę i nagle zobaczył, że Frances jest tak samo zmęczona i wyczerpana jako on. - Stryj wini ciebie za odebranie mu moich pieniędzy - ciągnęła głosem aż do przesady spokojnym. - Nie chcesz ze mną rozmawiać o zbójcach, ale to nie był zwykły rabunek. To miało być morderstwo z zimną krwią. Gdybyś zginął, mój stryj mógłby odzyskać kontrolę nade mną i zyskać dostęp do spadku. I doprowadziłby do mojego małżeństwa z Charlesem, do którego zawsze dążył. Jednak ten plan się nie powiódł. Być może stryj uznał, że ponowna próba morderstwa byłaby zbyt ryzykowna. Zdecydował się więc na szantaż. Charles mnie uwięził, aby wymienić na okup. Zapłaciłbyś przecież dużą sumę za moje uwolnienie. Metoda inna, ale stryj zdobyłby pieniądze.

- Czy to Charles ci o tym powiedział?

- W jakim innym celu by mnie porywał? No i nie zaprzeczył, kiedy oskarżyłam go o szantaż. Ale to też się nie udało. Co więc stanie się teraz? Charles zdążył już wciągnąć ciebie w pojedynek, w którym mogłeś zginąć. Nie potrafię żyć w ciągłym strachu, że zostaniesz zabity lub zraniony. Postanowiłam więc pojechać do stryja i zaproponować mu pieniądze, których tak chce. To zagwarantuje ci bezpieczeństwo. Mój spadek nie jest wart twojego życia. Dlatego tak nagle wyjechałam.

Wszystko stało się jasne jak słońce. Aldeborough czuł, że opuszcza go gniew, a jego miejsce zajmuje zubożenie. Frances znalazła na swój użytek wytłumaczenie wszystkich zdarzeń i

zamierzała wykonać wspaniałomyślny gest. Jednak przesłanka była fałszywa.

Wstał, podszedł do kredensu i nalał dwie szklaneczki brandy. Jedną podał żonie i poczuł ulgę, gdy przyjęła ją bez oznak niechęci.

- Frances - powiedział cicho. - Upokarzasz mnie. Czy naprawdę byłaś gotowa oddać stryjowi cały spadek po swojej matce? Czy jestem godzien takiego poświęcenia?

- Tak zdecydowałam i nie powstrzymasz mnie.

- Jesteś bardzo rezolutną damą i nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo cię podziwiam. Muszę jednak ci coś wyznać.

- Och, Hugh! Przecież ja wiem! - Odruchowo wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć jego ramienia, skończyło się jednak na tym, że zasłoniła dłonią usta. - To już nie ma znaczenia. - Łzy popłynęły jej po policzkach.

Aldeborough uświadomił sobie, że jeszcze nigdy nie widział, by płakała.

- Wiesz? Ale skąd? Od ciotki May?

- Od Matthew. Kiedy wrócił na Cavendish Square po pojedynku.

- Przecież Matthew nie wie! Otarła łzy.

- Powiedział mi, że po pojedynku pojechałeś prosto do niej. Tyle że ona przez cały czas była na Cavendish Square. Ona bardzo cię kocha, Hugh. Była całkiem załamana i ciągle pytała, co zrobić, żeby nie dopuścić do pojedynku. Mówiła, że zawsze miała zostać twoją żoną i że cię pragnie. Jeśli się ze mną rozwiedziesz, będziesz mógł ją

poślubić i zaznać szczęścia. Ja to rozumiem. - Łzy popłynęły jej jeszcze obficie, nie była w stanie ich powstrzymać.

- O Boże, Frances, co za galimatias!

- Wiem.

- Nic nie wiesz. Od czego mam zacząć, u diabła, żeby rozplątać ten węzeł. - Popatrzył na nią. Serce mu się krajało, gdy widział, jak dzielnie walczy ze łzami. - Chodź do mnie, moja Frances.

- Nie. - Cofnęła się o krok.

- Wobec tego ja muszę przyjść do ciebie. Chcę cię pocałować.

- Wolałabym, żebyś tego nie robił.

- Myślałem, że lubisz moje pocałunki.

- Lubię, ale to tylko pogorszy sytuację.

- Rezygnuję więc, ale nie na długo. - Nie zważając na jej opór, ujął ją za rękę i pociągnął na krzesło, które sam przed chwilą zwolnił.

- Proszę, wysłuchaj mnie. Mam dużo do wyjaśnienia...

- Nie musisz...

Ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją w usta, żeby przerwać sprzeciw. Osiągnął pożądany skutek. Frances zamknęła oczy, usiłując pokonać budzącą się w niej tęsknotę. Gdyby tylko Hugh kochał ją tak jak Penelope...

- A teraz posłuchaj. Miałaś podstawy sądzić, że Torrington żywi do mnie pretensje, a zbójców najęto, aby mnie zabili i w ten sposób zwolnili cię z przysięgi małżeńskiej. Sytuacja jest jednak inna. Nie wiesz bowiem, że to przede wszystkim ty jesteś celem knowań stryja, nie zaś ja.

- Ja? Ale dlaczego? Jak moja śmierć mogłaby komukolwiek przynieść korzyść? - Przeszył ją dreszcz. - Nie mogę uwierzyć, że tak spokojnie rozmawiamy o moim stryju, który zaplanował moją śmierć.

- Hedges na moją prośbę nie ujawnił ci wszystkich warunków testamentu. Może postąpiłem źle, ale na swoje usprawiedliwienie powiem, że chciałem ci oszczędzić niepotrzebnego lęku. Sądziłem, że jestem w stanie zapewnić ci absolutne bezpieczeństwo. Kiedyś wspomniałaś, że to jedyna dobra strona naszego małżeństwa. Nie chciałem tego zniszczyć. - Uśmiechnął się kwaśno. - Dziedziczysz tyle, ile powiedział Hedges, ale z jednym zastrzeżeniem. Jeśli umrzesz lub nie wydasz na świat potomka przed ukończeniem dwudziestego piątego roku życia, wtedy cały majątek powraca w zarząd twojego ojca, a w tym przypadku wicehrabiego Torringtona.

- Czyli mój stryj skorzystałby i na twojej, i na mojej śmierci.

- Tak. Gdybym ja zginął, byłabyś ponownie wolna. Gdybyś ty zginęła... Wiadomo. Z tym że twoja śmierć załatwiała sprawę pieniędzy natychmiast, natomiast moja zmusiłaby Torringtona do trudnych i niegwarantujących sukcesu zabiegów wokół twojej osoby. Muszę jednak być uczciwy, Frances.

Twój stryj nie sprzeciwiał się tym knowaniom, ale nie sądzę, żeby to on za nimi stał.

- Charles?

- Skoro nie mógł ciebie zdobyć dzięki małżeństwu... Jestem pewien, że to rozumiesz. Przykro mi. Czy bardzo go lubiłaś?

- Trudno powiedzieć... Po prostu jest moim kuzynem i on jeden okazywał mi czasem odrobinę życzliwości, kiedy mieszkałam w Torrington Hall. Musiałam być wtedy szalenie łatwowierna.

- Albo bardzo samotna.

- Może. - Zamyśliła się na chwilę. - Wobec tego zbójcy mieli zabić mnie czy ciebie?

- Wtedy chodziło o nas oboje, bo sytuacja była nieco inna. Charles zamierzał pozbyć się ciebie, a i mnie przy okazji, bym nie dochodził prawdy i nie szukał zemsty. Być może zresztą zostałabyś porwana i przewieziona do Londynu, a twoje ciało znaleziono by w jakimś zaułku, by zasugerować winę zwykłych rzezimieszków. W każdym razie nie chodziło mu o kup, skoro mógł zyskać cały spadek.

- Nie mogę uwierzyć, że dopuścił się czegoś tak okropnego.

- Ale to jeszcze nie wszystko.

- Tyle tajemnic... - Westchnęła.

- Wypadek w Priory, kiedy Beeswing wpadła do rzeki, nie zdarzył się dlatego, że załamał się most. Klacz została zraniona wystrzałem z pistoletu. Selby zaczął to podejrzewać, kiedy obejrzał ranę, a Kington znalazł kulę wbity w tę część balustrady, która wpadła do wody. Nie mam dowodu, że to sprawka Charlesa, ale nie mam też wątpliwości.

- Mój Boże... - Spojrzała na Hugh. - Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wszystkim wcześniej?

- Przez tyle lat żyłaś w strachu przed swoją rodziną. Blizny na twoich plecach są tego najlepszym świadectwem. Jako moja żona

stawałaś się ufniejsza, zyskiwałaś poczucie bezpieczeństwa. Jak mógłbym znów obudzić stare lęki?

Wszystkie fakty i ich następstwa wreszcie stawały się jasne. Hugh po prostu próbował ją chronić. Powinna być mu za to wdzięczna, ale jej serce wciąż domagało się więcej, niż mogła od niego dostać. Trudno. Zasługiwał przynajmniej na uprzejmą rozmowę.

- Czy zagrożenie jeszcze istnieje? - spytała. - Czy Charles dalej będzie spiskować, póki nie osiągnie swego celu?

- Nie sądzę. Po pojedynku okazał się stanowczo zbyt gadatliwy. Sam się obciążył nie tylko przede mną, lecz również przed świadkami. Raczej nieprędko zobaczymy go znowu w Londynie. Właściwie jakby już przestał istnieć, nie ma wstępu ani na salony, ani do klubów. Jego nowe imię powinno brzmieć „persona non grata”. Poza tym wie, że gdyby coś ci się stało, czeka go śmierć z mojej, mojego brata lub któregoś z moich przyjaciół ręki. No i jego sekundantem był Masters, a on nie zna litości. Gdyby któreś z nas doznało jakiegoś szwanku, Masters uznałby za punkt honoru, by policzyć się z Charlesem. Możesz się już więcej o niego nie martwić.

- Czy go zraniłeś? To straszne, ale... chciałabym, żeby tak było.

- Celowo strzeliłem obok. Za to on mnie trafił... nie myślałem, że tak dobrze strzela. Och, nie rób z tego sprawy! - Uspokajająco wyciągnął rękę, bo przerażona Frances zerwała się z krzesła.

- Przecież Matthew powiedział, że nic ci się nie stało. Nie wiedziałam. Zaraz obejrzę.

- Nie ma potrzeby. Powierzchowne zranienie, niewarte uwagi. Matthew powożący kariolką po nierównościach Wielkiego Traktu Północnego sponiewierał mnie znacznie bardziej. - Spojrzał jej głęboko w oczy. - Zanim wyruszyłem z Cavendish Square, ciotka May dała mi pewną radę, z którą wyjątkowo się zgadzam. - Przyciągnął ją do siebie, nie mogąc oprzeć się pokusie jej warg. Po jego złości nie zostało już ani śladu. Chciał ją pocieszyć, być blisko niej, ale Frances się odsunęła.

- Proszę, nie.

- Mój Boże... Nie sądziłem, że wydaję ci się odrażający.

- Odrażający? - Zaśmiała się gorzko. - Kocham cię. Kocham i zazdroszczę całym sercem Penelope. - Urwała, przerażona swoimi słowami. - Wybacz mi. Nie chciałam cię obciążyć tym uczuciem. Proszę zapomnieć, co powiedziałam...

- Penelope!

- Tak. Rozumiesz więc, że łatwiej mi będzie, jeśli tymczasem zachowamy wstrzeźliwość. Po prostu muszę przyzwycząić się do tej myśli, żeby przyjmować rzeczywistość bardziej obojętnie.

- Mnie na pewno nie będzie łatwiej, więc musisz mi wybaczyć mój egoizm. - Znów zamknął ją w objęciach. - Odpręż się na chwilę i nie próbuj się wyrywać. Tak bardzo chciałem usłyszeć, że mnie kochasz. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak na to czekałem. - Frances nie miała wyboru. Trwała w ramionach Aldeborough, przytulona głową do jego policzka. Prawdę mówiąc, pragnęła pozostać tak na zawsze, wiedziała jednak, że to niemożliwe. Ujął jej dłoń i położył

sobie na sercu. - Czy czujesz, Frances Rosalind? Moje serce bije dla ciebie! Zbyt wiele czasu minęło, nim sobie to uświadomiłem. -
Uśmiechnął się smutno. - Kocham cię. Ciebie, a nie Penelope. Nie zamierzam się z tobą rozwieść i nie pozwolę ci ani zaszyć się w Priory, ani w ogóle uciec ode mnie, czy co tam szalonego mogłoby ci przyjść do głowy. Przypadek nas połączył, ale nie pozwolę ci już odejść. Kiedyś zapowiedziałem to z dumy i arogancji. Teraz mówię to z miłości. Kocham cię. Przewróciłaś moje życie do góry nogami, ale wcale nie chcę, żeby wyglądało inaczej. I co na to powiesz?

Nie była w stanie powiedzieć zupełnie nic, zaczęli się więc całować. I w ten sposób chwilę później, wciąż objęci, znaleźli się na miękkiej ławie przy kominku.

- Dlaczego nie wyznałeś mi tego wcześniej? - spytała, opierając mu głowę na ramieniu.

- Wyznałem.

- Nigdy. Pamiętałabym każde słowo!

- Zasnęłaś w moich ramionach. Wiedziałem, że nie będziesz pamiętać.

- Ale dlaczego zaraz po pojedynku pojechałeś do Penelope? Jeśli jej nie kochasz, to skąd ta potrzeba? Musisz też wiedzieć, że ona cię kocha.

- Nie. Ona chce małżeństwa. Pozycji. Bogactwa. Zawsze liczyła na to, że zostanie markizą Aldeborough. Po śmierci Richarda zająłem jego miejsce w jej ambitnych planach. A ja byłem nieuważny, zaaferowany własnymi problemami, i przez to nie dałem jej jasno do

zrozumienia, że to niemożliwe. A po pojedynku poszedłem do niej, ponieważ Charles coś mi powiedział. Otóż nie był w swych knowaniach osamotniony.

- Penelope? To niemożliwe!

- Zastanów się, Frances. Dla kogo oprócz Charlesa twoja śmierć byłaby korzystna? Przecież mógłbym się wtedy ponownie ożenić. Tych dwoje połączyło siły, bo mieli wspólny interes: twoją śmierć. Pomysł nie wyszedł od Penelope, ale gdy wyczuła zamiary Charlesa, zwietrzyła okazję i podżęgała go do działania. Zgodnie z umową, jaką zawarli, ja jednak miałem przeżyć. To był warunek Penelope. Dlatego tak się przeraziła pojedynku i roztrzęsiona zjawiała się na Cavendish Square.

- To straszne... - Pobladła. - To straszne być przez kogoś tak znienawidzonym...

- Nie. Po prostu stałaś jej na drodze do spełnienia ambicji. Ona chciała Richarda, a potem mnie. Nie sądzę, żeby cię nienawidziła, tak samo jak nie wierzę, żeby mnie kochała.

- A ja myślałam, że ją kochasz, Hugh. Penelope wydawała mi się dla ciebie stworzona.

- Nie chciałbym mieć takiej żony. Owszem, jest piękna i wytworna. Ma znakomite wykształcenie. - Uśmiechnął się szeroko. - Ale o czym bym z nią rozmawiał? O ulepszeniach w majątku? O hodowli koni? W jeden dzień wzajemnie zanudzilibyśmy się na śmierć. Czy potrafisz sobie wyobrazić Penelope podczas rozmowy z Kingtonem o naprawie dachu? A zresztą, i tak za nic nie

zamieszkałaby w Priory. - Spojrzał na nią czule. - Nie to jest jednak najważniejsze. Chcąc cię chronić, obiecałem ci swoje nazwisko, stało się to bowiem koniecznością, kiedy posłużyłaś się mną, aby uciec z Torrington Hall. - Jego oczy straciły blask, stały się smutne. - Niestety, zamiast zapewnić ci ochronę, sprowadziłem na ciebie niebezpieczeństwo. W dodatku czułaś się nieszczęśliwa i uciekłaś ode mnie. Zachowałem się bezmyślnie i gruboskórnie. Nie chciałem pozwolić, żeby małżeństwo w jakikolwiek sposób zmieniło moje życie. Miałaś dać mi dziedzica i na tym koniec... Wybaczysz mi. Obiecałem ci również swobodę prowadzenia własnego życia. Czy to ci wystarczy? Twierdzisz, że mnie kochasz, ale czy jesteś tego pewna? Zdaje się, że nie mam zbyt wielu zalet. - Czekał jednak na odpowiedź w wielkim napięciu, więc gdy zobaczył unoszące się kąciki ust Frances, omal nie podskoczył z radości.

- Jesteś stanowczo zbyt honorowy, milordzie. Jestem przyzwyczajona do bardziej wymagającego, zaborczego męża. Ciotka May powiedziała, że kula uszkodziła ci ramię, a pojedynek zaszkodził na rozum.

- Jaka jest twoja odpowiedź?

- Przecież wiem, dlaczego zgodziłeś się mnie poślubić. To było małżeństwo z rozsądku korzystne dla obu stron. Okazałeś mi jednak troskę i współczucie, chociaż byłam przekonana, że żaden mężczyzna nie jest do tego zdolny. - Stała przed nim i wspięła się na palce, by pocałować go w usta. - Kocham cię, Hugh. Potrzebuję cię. Nie chcę wolności. Nie chcę iść swoją drogą. Należę do ciebie i to mi

wystarczy. Dotknij mnie... Muszę uwierzyć, że niebezpieczeństwa są za nami i możemy już być razem.

Położył jej ręce na ramionach i przez chwilę wpatrywał się w jej twarz.

- Chcę cię za żonę, Frances, na dobre i na złe. I pozwól mi pokazać, jak bardzo cię kocham...

Rozdział szesnasty

Słońce już opadało, zalewając pomarańczowym światłem kamienny taras w Priory, na którym siedziała Frances. Żłocisty piaskowiec oddawał ciepło wchłonięte w ciągu dnia, był jednak dopiero maj, wkrótce więc należało wrócić do biblioteki, by ogrzać się przy kominku.

Przybyli do Priory poprzedniego dnia, jakby kontynuując jej szaloną ucieczkę, tylko Matthew odesłali do Londynu. Podczas podróży Hugh otaczał żonę czułą opieką, dodając jej pewności siebie to niespodziewanym dotykiem, to aroganckim spojrzeniem, wciąż jednak istniało między nimi napięcie. To prawda, wyznali sobie miłość i zmierzali ku dobremu, Frances wiedziała jednak, że mąż ma pewien problem, z którym uporać musi się sam.

Wiązała zresztą z tym niemal nadzieje, bo gdy przebudziła się rano, znalazła na toalecie podarek: piękną miniaturkę przedstawiającą złotą różę wymalowaną na kości słoniowej,

niewątpliwie dzieło mistrza. Obok zaś leżał najprawdziwszy cud, zważywszy na porę roku: kremowy pąk róży, jeszcze wilgotny od kropli rosy ukrytych wśród nieśmiało rozchylonych płatków. Oba drobiazgi spoczywały na złożonej kartce papieru.

Robiło się jej ciepło na duszy, gdy o tym myślała. Miniaturka stała teraz na stoliku przy jej łóżku i miała już na zawsze pozostać pamiątką ich powrotu do Priory. Różę Frances przypięła sobie do sukni. A kartkę przez cały dzień nosiła na sercu.

Hugh napisał dla niej wiersz. I to nie było jakie, bo miłosny. Jeszcze raz przeczytała słowa, uwiecznione na kremowym tle mocnym, wyrazistym charakterem pisma, wryte również głęboko w jej sercu:

*Weź różę tę, o Rózo,
Miłości jest symbolem,
To przez nią wszak kochanek
W twą oddał się niewolę.
Spójrz na tę różę, Rózo
I daj mi uśmiech w darze,
I śmiej się, wtedy szczęściem
Niewola się okaże.
Tę różę wachaj, Rózo,
Choć równać się z nią możesz,
Pachnidło twe wdychając,
Wasalny hołd ci złożę.*

*O Róžo, patrz, tę różę
Zrodziły trudy płonne,
To obraz jest, lecz malarz
Nie oddał duszy wonnej.*

Całość została opatrzona dedykacją:

Dla Frances Rosalind, mojej niezrównanej Róży

Przytknęła wargi do kartki, po czym znów starannie ją złożyła i ukryła. Skąd mógł wiedzieć? Jak udało mu się znaleźć takie czułe słowa, które podziałały niczym balsam na jej serce, lecz jednocześnie wywołały jego ból.

Westchnęła i zaczęła się zastanawiać nad posadzeniem na jednej z rabat krokusów na przyszły rok. Wkrótce jednak jej uwagę odwrócił kociak walczący z rąbkiem kaszmirowego szala, który okrywał jej ramiona. Roześmiała się i wzięła szarą kulkę na kolana. Tu natychmiast obiektem ataku stał się koniec niebieskiej atlasowej szarfy. W tej samej chwili usłyszała kroki na żwirowej ścieżce prowadzącej z ogrodu.

Pojawił się Hugh, ubrany po domowemu w koszulę, a za nim dwa psy myśliwskie. Wydawał się nieco zmęczony, popołudnie spędził bowiem w stajniach. Serce drgnęło jej, gdy stanął przed nią, szalenie przystojny, z miną wielce zagadkową. Jego pierwsze słowa też nie ujawniły nastroju, przez chwilę widziała jednak mars na jego

czole, a w oczach ślady nieznanej tęsknoty. Wnet jednak znikły, gdy uśmiechnął się do niej na powitanie.

- Hugh. Usiądź ze mną.

- Co to? - Zajął miejsce obok niej na kamiennej ławce i wziął z jej kolan kociaka, który, drapany za uszami, rozmruczał się na dobre.

- Prezent. Poszłam do stajni sprawdzić, jak się miewa Beeswing, i Selby dał mi to stworzenie. Pewnie nie chciał, żeby pętało mu się pod nogami. To żywe srebro.

- Właśnie widzę, że ucierpiała twoja szarfa. Co zrobisz z tym kotem? - Nogą odsunął jednego z psów, który wykazał wyraźne zaciekawienie.

- Zatrzymam go, naturalnie. Może będzie dobrze łapał myszy, więc przyda się w kuchni.

- To musiałyby być bardzo małe myszy. - Posadził uroczego kociaka między nimi, a ten natychmiast zwinął się w kłębuszek i zasnął.

Frances przekonała się, że mars na czole męża wciąż jest obecny, zdecydowała więc dzielnie stawić czoło problemowi.

- Hugh, powiedz mi, co cię dręczy.

- Nic takiego.

- To wciąż on, prawda? Stoi między nami.

Długo patrzył jej w oczy. Nie udał jednak, że jej nie zrozumiał, i to już był postęp. Wreszcie wstał.

- Przejdźmy się trochę. - Podał jej ramię i zeszli z tarasu, by wśród starych arkad i kolumn ruin klasztoru dojść do żeliwnej furtki wiodącej do kościelnego dziedzińca.

To właśnie w tym kościele wzięła ślub z prawie obcym człowiekiem. Na trawie kładły się długie cienie, a wiatr szeleścił w bukach i mierzwił jej włosy. Ciaśniej otuliła się szalem. Szli w milczeniu, wiedziała bowiem dobrze, dokąd prowadzi ją Hugh. Przystanęli przy grupie kamiennych nagrobków, znaczących miejsca ostatniego spoczynku Laffordów. Na wielu z nich mchy i porosty zasłoniły już litery, i tak zatarte wcześniej przez wiatry i deszcze. Aldeborough przystanął jednak przy najnowszym kamieniu, na którym imię było wyraźnie widoczne.

Richard.

Frances celowo odsunęła się od męża i stanęła naprzeciwko. Wypielegnowana zielona mogiła Richarda znalazła się między nimi.

- Musisz z tym skończyć, Hugh. Pochowaj tego ducha raz na zawsze, bo inaczej pochłonie i ciebie, i mnie.

- Wiem. Rozumiem. - Zdawało się, że długo czekał na tę chwilę, by zwierzyć się komuś, kto go wysłucha i nie będzie sądził zbyt surowo. Położył dłoń na nagrobku. - Wziąłem odpowiedzialność za śmierć Richarda, bo wydawało mi się niepojętą i niedorzeczną stratą, by w tak lekkomyślny sposób odchodził młody, pełen życia człowiek. Zdarzył się wypadek, ktoś musiał przyjąć za niego winę, wypadło akurat na mnie. A ponieważ z uznaniem winy łączy się również odpowiedzialność, odziedziczony tytuł i majątek stały się dla mnie

ciężarem, którym być nie powinien. Nie mogłem się pogodzić z tym, że musiałem porzucić swój sposób życia, dla mnie będący wyrazem sprzeciwu wobec ojca, a zamiast tego zaakceptować całkiem obce mi formy. - Po chwili wahania podjął bezbarwnym tonem: -

Zgorzkniałem, pozwoliłem, by kierował mną gniew, i wyrządziłem w ten sposób wiele zła.

- Hulanki? Letitia Winters?

- Między innymi - odrzekł z ponurym grymasem.

- Czy to znaczy - spytała spokojnie - że nie będzie między nami więcej tajemnic?

Bardzo chciała go objąć i zapewnić o swej miłości, rozumiała jednak, że najpierw musi rozliczyć się z przeszłością, cierpliwie więc czekała.

- Dużo piłem i grałem w karty, sama doskonale o tym wiesz. A Letitia? - Westchnął. - Ofiarowała mi pocieszenie w czasie, gdy żyłem wiedziony nienawiścią i uzalaniem się nad sobą. Nie miałem w sobie nic z bohatera. Tamtej nocy zawiozłem cię do Priory, ponieważ byłem zbyt pijany, żeby zastanowić się nad twoim położeniem. W żadnym wypadku nie powinienem był narazić twojego dobrego imienia. Poślubiłem cię z egoizmu, odczuwałem dumę z rodowego nazwiska i nie chciałem, aby zostało uwikłane w skandal. Zaniedbywałem cię, zostawiłem bez opieki, chociaż wiedziałem, co ci grozi. Charles wykorzystał tę okazję, by cię uwięzić. Gdyby zamordował cię z zimną krwią, miałbym cię na sumieniu tak samo jak Richarda.

Przecież nie musiałem jechać do Newmarket. Co więcej, powinienem

był zaraz na początku jasno postawić sprawę z Penelope. Wolałem jednak nie dostrzegać tego problemu i łudzić się, że nie ma on znaczenia. To było z mojej strony wyjątkowo samolubne, w ten sposób zresztą wyrobiłem w Penelope przekonanie, że jej starania o zajęcie pozycji mojej żony są mile widziane i całkowicie uzasadnione. W każdym razie jakkolwiek na to spojrzemy, nie ulega wątpliwości, że naraziłem twoje życie, Frances. Dlatego zasługuję na twoje potępienie, a nie miłość.

Skłoniła głowę i zapatrzyła się w skomplikowany ornament na nagrobku oraz słowa poświęcające Richarda Opatrzności Bożej.

- Zgoda. Przyjmuję to, co mówisz. Musisz jednak trochę inaczej rozłożyć akcenty. Nie mam poczucia, że mnie zaniedbywałeś. Dałeś mi rodzinę, pozycję, majątek, luksus. Dla ciebie to wszystko jest oczywiste, ale ja nic z tego wcześniej nie miałam. Nie musiałeś mnie przecież poślubić. Byłam przecież nikim. Mogłeś odesłać mnie do stryja z wyjaśnieniem, jak nierozsądnie postąpiłam, oraz słowami przeprosin, i wszystko dałoby się załagodzić. Nie groziła mi utrata reputacji, a jednak postanowiłeś zadbać o moją dobrą opinię. Jak mogłabym cię nie kochać? Okazałeś mi współczucie i przywróciłeś godność. Nigdy nie zapomnę tej nocy, kiedy z czułością dotykałeś moich blizn i całowałeś je, jakby były znakami piękna, a nie dowodem poniżenia. Dzięki tobie uwolniłam się od wstydu, który nosiłam w sobie, i za nic nie chciałam, by ktokolwiek się o nich dowiedział. To właśnie wtedy cię pokochałam.

- Pamiętam tę chwilę. I pamiętam lęk w twoich oczach. Nigdy go nie zapomnę.

- Poza tym powiedziałeś, że mogłeś ochronić mnie przed Charlesem. A przecież wiesz, że i on, i Penelope robili wszystko z chciwości i rozpacz. Nie możesz brać na siebie cudzych win.

- Jesteś zbyt łaskawa, Frances. - Wciąż miał posepny wyraz twarzy.

- Staram się myśleć realistycznie, Hugh. Kocham cię, ale nie zniosę ciągłej obecności Richarda. On nas rozdziela. Czy naprawdę sądzisz, że brat by to zaakceptował?

- Nie. - Spojrzał na nagrobek. - On pierwszy powiedziałby mi, że jestem głupcem.

- No właśnie. - Zamilkła zadowolona, że Hugh jest na dobrej drodze.

- Już widzę środki zaradcze. - Rozejrzał się wokół. - Są tutaj. To nasz majątek. Pieniądze mamy, trzeba tylko mądrze je zainwestować, i oddać rozum i serce tej ziemi. Dla ojca i Richarda Priory było jedynie sakiewką bez dna, z której finansowało się londyńską rezydencję, domek myśliwski w Leicestershire i wszystko to, czego rodzina markiza potrzebuje, by błyszczeć w wielkim świecie. Ja odmienię ten majątek, stanie się nowoczesnym, kwitnącym gospodarstwem. Będę też hodował konie. Sama widziałaś, ile tutaj trzeba zrobić i ile można osiągnąć. A ja pojąłem, że taka praca jest warta mojego czasu i da mi wielką satysfakcję. Teraz ponoszę również

odpowiedzialność za żonę. - Spojrzał na nią. - Czy jesteś gotowa zgodzić się na życie tutaj, a nie w Londynie?

- Co? Nie będzie sezonu? - Na jej wargach pojawił się uśmiezek. - To był przecież jedyny powód, dla którego cię poślubiłam.

- Może da się coś z tym zrobić. - Zachował powagę, ale Frances czuła, że nastrój stał się wyraźnie lżejszy. Przez chwilę milczała.

- Czy jesteś gotów zgodzić się na życie tutaj, a nie w wojsku, pod dowództwem Wellingtona, i jeszcze być z tego zadowolonym? - spytała w końcu.

Pierwszy raz od chwili, gdy weszli na cmentarz, uśmiechnął się.

- Sprytna jesteś - powiedział z uznaniem. - Jestem gotów. Może nawet poddam się naciskom i pozwolę wstąpić do wojska Matthew. To powinno go uchronić przed zbyt częstymi wizytami w domach gry.

- Wyciągnął do niej rękę, a ponieważ w tym geście i towarzyszącym mu spojrzeniu było mnóstwo władczości, jaką dobrze już znała, nie pozostało jej nic innego, jak mu ulec. - Jak brzmi odpowiedź, żono?

- Zamieszkać tutaj z tobą. Priory stało się bliskie mojemu sercu, odkąd pierwszy raz tu przyjechałam. Zajmij się tym majątkiem, Hugh. Zlikwiduj zaniedbania, niech naprawdę ożyje. A ja ci w tym pomogę i rozumem, i sercem, i pracą moich rąk.

Gdy wracali do domu, Hugh zatrzymał ją w bogato rzeźbionym portyku i położył jej ręce na ramionach. Gdy spojrzała na niego pytająco, pochylił się i pocałował jej włosy, potem oczy, wreszcie z

wielką czułością przycisnął wargi do jej ręki, by po chwili przykryć ją swoją dłonią.

- To było bardzo miłe, Hugh. - Uśmiechnęła się przekornie. - Powiedz mi, kochany, czy jeszcze kiedyś napiszesz dla mnie wiersz?

- No, skoro nalegasz... - Pochylił się, by pocałować różę na jej sukni. - Muszę ci coś wyznać, Frances Rosalind.

- Doprawdy, milordzie? - Urzekł ją rumieniec, który wykwitł mu na policzkach. - Co takiego?

- Korzystałem z małej pomocy pewnego średniowiecznego trubadura, którego akurat spotkałem. Ale jego uczucia są również moimi, a jego słowa wyrażają to wszystko, co mam w sercu.

- Wobec tego wybaczam ci. Nie może być inaczej.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy połączeni nierozzerwalną więzią.

- A teraz, milady, musimy zająć się pani spadkiem. Jeśli pamiętasz, jest on uzależniony od pewnego warunku.

- To znaczy? - Prawdę mówiąc, tylko udawała, że nie rozumie.

- Masz przed sobą cztery lata na urodzenie mi dziecka. Inaczej pieniądze wrócą do kieszeni stryja.

- Cztery lata? To mało czasu. - Uśmiechnęła się z zachwytem. - Ale musisz mnie przekonać.

- Chcę, abyś nosiła pod sercem mojego dziedzica, mojego syna - wyznał z żarliwością, która aż ją zaskoczyła. - Jest to Wszak jedyny powód, dla którego cię poślubiłem.

- Mało przekonujące. Myślę, że stać cię na znacznie więcej, milordzie. Poza tym chcę mieć córkę, której zostawię spadek. Jak wiesz, nakazuje to tradycja rodzinna.

- Wiedziałem, że będziesz piętrzyć trudności, milady. - Po-
całował ją namiętnie. Naturalnie odplaciła mu tym samym. - No, no,
milady... - Wtulił twarz w jej włosy. Ta miłość wciąż była dla niego
czymś zdumiewająco nowym, tak olśniewającym, że jeszcze nie mógł
w nią uwierzyć. Zachwycało go, że Frances jest taka pewna swojego
uczucia. - Moja kochana, duszo moja, uwielbiam cię. Czy kochasz
mnie, Frances Rosalind?

Gdy cofnął się nieco, zauważyła, że dłonią wygładza sobie
zmarszczki tym samym gestem, którym często dotykał jej czoła.

- Tak. - Westchnęła, choć wiedziała, jak blado słowo to opisuje
jej uczucie.

- Powtórz to, proszę, aby łatwiej mi było uwierzyć.

- Kocham cię. Daję ci moje ciało, serce i duszę dobrowolnie i
bez żadnych warunków. To jest twój majątek.

Z uwielbieniem musnął wargami jej czoło na znak przyjęcia
daru.